# Dwa romanse Walterscottowskie

## J. U. Niemcewicza „Jan z Tęczyna" i F. Bernatowicza „Pojata".

(Ciąg dalszy.)

Przejdźmy do poszczególnych motywów WScottowskich w obu romansach. Jest ich sporo — na niektóre już zwrócono uwagę.[1])

Są więc motywy, które możnaby nazwać nastrojowymi.

Do tych należy przeczuciowość, motyw u Scotta, w ślad dawnych tradycyi wprowadzany od czasu do czasu celem przygotowania czytelnika na to, co nadejdzie, i celem wywołania pewnej psychicznej atmosfery. Najjaskrawiej może wystąpił motyw ten w „Woodstock" w scenie wieczerzy w domu myśliwskim. U Niemcewicza przeczuć mnogość. Przeczuwa śmierć swą Barbara, smutne przeczucia żywi Cecylia przy pożegnaniu (211) i takież wyraża w liście do ukochanego (296). „smutne jakieś przeczucia nie odstępują mię nigdy" — mówi Tęczyński (264), one tłumią w sercu jego radość (274), one, choć źródła ich wytłumaczyć nie umie, wprawiają go w stan rozrzewnienia (304), one to trapią również serce wojewodziny (302). Jeśli autorowi istotnie chodziło o wywołanie przez użycie tego środka pewnego szczególnego nastroju, to cel osiągnął. Bernatowicz nie posługuje się wskazanym motywem w sposób nawiedziony, natomiast pozwala *czytelnikowi* przeczuwać. że zanosi się na coś niezwykłego, wprowadzając z arsenału środków romansu senzacyjnego (nie wzgardzonych i przez WScotta) osobliwe zjawiska. Czyni to, co prawda, raz jeden tylko, wówczas, gdy mówi nam o gwałtownych wichrach w gaju Perkuna, o hała-

[1]) W. Borowy. op. c., 96.

sach w opuszczonej wierzei zamku *o północy*, o szczękach broni, jękach, narzekaniach, burzach i widmach — przez kilka nocy (III. 104). To zapowiedź upadku starych bogów. [1])

Pokrewna kategorya — to sprawdzające się omina, znaki złowróżbne, nie w naturze, bez charakteru nadprzyrodzonego, ale przez osoby powieści brane za coś współrzędnego ze złem przeczuciem. Tak podczas iluminacyi w ogrodzie Kmity płonie wizerunek królowej, Tęczyński opuszcza portret Cecylii do morza, Cecylia gubi na jeziorze pierścień ofiarowany jej przez wojewodzica.

I jeszcze jedna kategorya pokrewna — to wróżby i wizye wspomnianej już postaci, „osobliwszej niewiasty", Apolonii. Pamiętamy, że sprawdziły się one, jak sprawdziły się przepowiednie M. Merrilies, wieszczące nieszczęścia domowe lairdowi Bertramowi (znów u Scotta echo z romansu senzacyjnego).

W „Pojacie" znaków złowróżbnych (poza zjawiskami w naturze) nie spotykamy; wróżby są, ale pozorne. Wprawdzie Helena przepowiada Jagielle, że znajdzie żonę równą mu stanem, ale naprawdę nie przepowiednia to, bo Helena ma na myśli Jadwigę;

---

[1]) PT—WSc 47 n: Borowy, op. c., 125. Nie trzeba zapominać że już przedtem mówi autor o duchach, ale w ten sposób, iż czytelnik nie wie, czy ma w nadnaturalne to zjawisko wierzyć, czy nie. Mianowicie po uwadze, że wszystkie „zakłady" w Kiernowie „smutny opuszczenia wystawiały obraz", dodaje: „powiększało to przykre wrażenie *podanie* mieszkańców o duchach dawnych władców Kiernowa, które zajmowały puste lochy i sklepienia zamku", (III. 115), a dalej czytamy: „Nie mogąc one odłączyć się od tego pomnika przeszłej swojej dzielności, często w nocy okropnym szczękiem oreżów objawiały swoją przytomność, a gniewne na niedbałość następców, którzy tak nieuważnie pogardzili zasłużonym grodem, z pogwizdem wiatrów rozsyłały po gruzach groźby swe i narzekania. Każdy smutny w zarodzie wypadek, śmierć pana, głód lub wojna, poprzedzone były ich smutnymi odgłosy". (II. 115) Autor zatem jakby umyślnie pozostawia czytelnika w niepewności: urojenia mieszkańców czy naprawdę realne zjawiska świata nadzmysłowego. U WScotta z nadnaturalnemi zjawiskami spotykamy się w trzech romansach: w „Waverleyu", w „Bride of Lamm." i w „Monast."; we wszystkich innych albo sprawa rzekomej nadnaturalności wyjaśnia się i, co się wydawało nadprzyrodzonem, to jest zupełnie proste i naturalne, albo przynajmniej może być prostem i naturalnem. Dodajmy, że w „Pojacie" (jak w „Wav." i w „Br. of L." a odmiennie jak w „Mon.") zjawianie się widm na bieg wypadków zupełnie nie wpływa, a posiada znaczenie wyłącznie nastrojowe. Zjawiska w III. 104 są oczywiście dziełem duchów z II. 115. Podnietą do wprowadzenia motywu były autorowi zapewne także i wierzenia, z któremi się zetknął i o których wspomina (koń biały, II, 115).

nie trudno jej także wieszczyć księciu litewskiemu, że czapkę książęcą w koronę zamieni, skoro Habdank już jest na Litwie. Tak wróżyć każdy potrafi. Czyli, że Bernatowicz z motywu wróżby w sposób tradycyjny korzystać nie myślał, a użył motywu raczej w celach na poły humorystycznych (Rodzianko!).

Szeroki użytek uczynił WScott z motywu „wróżb astrologicznych", acz astrologów przedstawiał także jako oszustów („Q. Durw.", „Kenilw." i i.), zabierając czasem głos bezpośrednio, jak wówczas, gdy w „Kenilworth" wtrąca uwagę: „wiadomo, że w tych czasach wierzono bezwzględnie w *bezzasadne* przepowiednie astrologii...". [1]) Mimoto pozwolił w „Mannering", by sprawdził się horoskop ustawiony przez Manneringa Harremu. Podobnie niezdecydowane stanowisko zajmuje Niemcewicz w „Janie z Tęczyna". Tu wielkim zwolennikiem astrologii jest wojewoda Tęczyński. Gdy przed pierwszym wyjazdem wojewodzica do Szwecyi badane przez wojewodę konjunktury są pomyślne, horoskop się nie myli i nie myli się jeszcze kilkakrotnie, ale gdy — według słów wojewody — i „konstelacye niebios" i „zgodne astrologów zdania... i podróży syna.. i ślubom, do których się zabiera jak najszczęśliwsze wróżą ewenta...", wówczas zdania astrologów okazują się najzawodniejszemi, bo konstelacye powinny były wskazać katastrofę. Zygmuntowi Augustowi każe autor patrzeć na sztukę czytania z gwiazd sceptycznie („i mnie, mój wojewodo — mówi król — a raczej miłej Barbarze mojej wróżyli astrologowie długie życie i panowanie, a przecież..."). Mniej też, zdaje się, chodziło Niemcewiczowi o uczynienie z wróżbiarstwa z gwiazd środka emocyonalnego, więcej zaś o to, by nie zatracić jednego z rysów wieku.

Natomiast wprowadzając do romansu element pieśniowy, miał Niemcewicz prawie wyłącznie na celu wywołanie u czytelnika za każdym razem odpowiedniego nastroju. Znów za wzorem Waltera Scotta. Autor „Waverleya" wplata w osnowę bardzo często piosnki, ballady, a ma przy tem na oku osiągnięcie różnorodnego efektu. Chce wnieść pierwiastek rozmaitości, ale to tło ogólne tego elementu, pozatem bowiem pragnie wesprzeć nim żywioł etniczny. Innym razem (jak w „Waverl." np.) chce dać poznać za pomocą piosnki, że coś się dzieje, na co czytelnik powinien zwrócić uwagę, czasem nawet — jak w romansie senzacyjnym — piosnka spełnia

[1]) „It is well known that the age reposed a deep confidence in the vain predictions of judicial astrology..." (wyd. lipskie z r. 1845, s. 243).

u Scotta zadanie przepowiedni (normandzka pieśń Luizy w „The Fair Maid of Perth“, romansie ogłoszonym zresztą po wyjściu „Jana z Tęczyna“). U Niemcewicza rola śpiewów jest bardziej ograniczona, redukuje się bowiem, jak zaznaczyliśmy, głównie do znaczenia środka nastrojowego. Ilustrują one uczucia osób powieści i mają wzbudzić pewnego rodzaju uczucia w czytelniku. Takie jest zadanie w romansie — obok może chęci oddania hołdu Kochanowskiemu — improwizacyi Hiszpana, takie „rymów“ nuconych przez Hannę, takie najniezawodniej żołnierskiej pieśni Tęczyńskiego, skandynawskiej pieśni Godwina. Naturalnie chodziło tu i o sui generis „upiększenie“ romansu na sposób WScottowski. co w szczególności odnieść trzeba do śpiewu Kozaków. Zauważyć należy, że odrębny charakter ma śpiew wieśniaków. którym Tatarzy spalili domy i dzieci zabrali (114) — charakter, nie przeznaczenie. „Żałosne pienia“ rozłożono tu na głosy: najpierw dwie zwrotki „razem“ t. j. przez wszystkich nucone — to biadanie pozostałych członków rodzin, potem „głos jeden“ (jedna zwrotka) — jęk żalu matki po porwanej córce, z kolei „głos drugi“ — kochanka porwanej, nietylko wyraz bolu ale i uczuć zemsty (znów jedna zwrotka), wreszcie „głos niewiasty“ (cztery zwrotki), wyraz beznadziejności („nie tu znajdziemy mścicieli; tam tylko koniec każdej ziemskiej straty, kędy się cmentarz ów bieli“). Ogólny pomysł układu i tonu tych „pieśni“ to jakby daleki refleks Mickiewiczowskiego Kurhanka Maryli.

W „Pojacie“ pieśń Sławeńki o Birucie ma być rzutem oka wstecz na dzieje Kiejstuta i jakby wskazówką, jak skończy się miłość „pokojowca księcia“ [1]); jego „duma“, nucona z „bardonem“ w ręku przy wstępowaniu na stos mówi aż nadto wyraźnie o swem przeznaczeniu nastrojowem.

Motywów rodem z „roman d'aventures“, przez WScotta przejętych i wprowadzanych w najrozmaitszych odmiankach. w obu powieściach, i w „Janie z Tęczyna“ i w „Pojacie“. znajdziemy kilka.

Więc w „Janie z Tęczyna“ uratowanie ukochanej kobiety z niewoli, od śmierci (Tęczyński ocala Cecylię, gdy koń dąży z nią już nad sam brzeg przepaści, a Don Ferdynandes Zofię Tęczyńską, gdy Hassan chce ją przebić sztyletem). Toż w romansie Bernatowicza. Tam Trojdan trzykrotnie ocala życie lub cześć Pojaty. Mo-

[1]) Niestety przypisek objaśnia, że zwrotki śpiewane przez młodzieńca „są zakończeniem jednej z ballad p. Witwickiego“.

Generałowej

# Benigny Kazimierzowej Małachowskiej Pamiętniki.

## 1830—1870.

(Ciąg dalszy).

*30-go Grudnia.* Potrzeba zakończyć ten rok, zawsze powiadamy, może przyszły będzie lepszy. Zobaczymy. Nie wiele znajduję rzeczy, któreby warto do mego dzienniczka zamieścić. Życie nasze samotne, jednostajne, tylko do progu szczęście swe liczy. Mąż mój do ludzi politycznych, ani wielkich nie należy — poprostu więc tylko w wewnętrznem uczuciu wszelkiego dla swej Ojczyzny dobra przechowuje, od chwili do chwili, życzenia pomyślnej zmiany dla kraju. Takie proste wyznanie wiary i u człowieka obciążonego wiekiem nie wiele znaczy — dlatego też zamknęliśmy je w szczupłem obrębie mieszkania naszego — dobrowolnie nikogo nie odsunęliśmy od braterstkich naszych uczuć, nadto staraliśmy się zjednać je sobie, ale, kiedy tak źle oceniono chęci i dążności nasze, nie pozostała inna droga, jak pogardzić intrygą i złością, zostać w domu, u siebie, spokojnie; kto go raczy nawiedzić znajdzie zawsze jednakowe przyjęcie — lecz podzielać zdań i intryg — nie możemy. Dzięki Bogu, dosyć nam dobrze czas schodzi, po dziennych zwykłych zatrudnieniach przychodzi, co wieczór, parę osób; do godziny 8 czytanie, jeżeli nie nowych książek i pism polskich, to wybornego Krasickiego. Tam zawsze się nowa i piękna myśl napotyka, nawet, gdy się ją setny raz powtarza.

Po 8-mej składa się robota. książka i wist, najczęściej we troje, rozpoczyna się. Mąż Dziadkowi układa karty, godzi nasze spory i rachunek utrzymuje, a że mało sypia i nie zbyt chętnie idzie do łóżka, gramy więc często do 11-ej i dalej. To mi nie przeszkadza wcale na drugi dzień o godzinie 6-tej wstać rano; taki porządek jest prawie dnia każdego. Mąż lubo ma jeszcze niektóre swe cierpienia, ale zdrów, dzięki Bogu, i chodzi — i to już dla mnie pociecha wielka.

Marya [1]) jest ciągłym dla mnie aniołem pociechy: jej listy prawdziwą mi pociechę przynoszą. Ona jedna, co zrozumiała dobrze uczucia moje. Dzięki Ci, wielki Boże, żeś mi dozwolił napotkać serce odpowiednie memu. Ona tyle pocieszających mi rzeczy pisze.

*1-go Stycznia 1841 r.* W Chontilly. Choroba Męża zatrzymała nas tu dłużej, jak mieliśmy zamiar. Co do mnie, o tyle tylko pragnęłam zmiany, o ile jej Mąż mój sobie życzył. Wiemy jak tu jest, a nie wiemy jakby tam było gdziebyśmy się udali. W naszem położeniu i wieku już niewiele rachować można na nowe znajomości, a niepodobna żyć samym. Na wiosnę udamy się do Paryża po radę biegłych doktorów, a kiedy Bóg dozwoli Mężowi cieszyć się lepszem zdrowiem, to wszędzie będzie dobrze. Nowy rok, dla zwyczaju, winszują sobie. Ja tego roku nawet od siostry mojej nie odebrałam listu; tak jej zapewnie wypada. bo o przywiązaniu wątpić nie mogę. Potrzeba ze wszystkiem ludzi oswaja.

*4-go Maja 1841 r.* 4 miesiące ubiegło, a jam nic nie znalazła, co by do mojego dzienniczka zapisać się dało. Unikam żalić się na ludzi, na wypadki, na stan obecny rzeczy, bo tem postaci jej nie zmienię — ludzi nie poprawię. a może jeszcze ktoś, kiedyś czytając to pismo pomyślał by sobie, że to mój znękany i cierpki dziś humor był powodem żalenia się na wszystko. Otóż w takim razie lepiej i rozsądniej podobno będzie, zamykać mój dziennik pod dobry klucz, żeby w nim drobnostek nie pisać i tylko czasami rzucić okiem w około siebie i co się da zapisać. Za dni kilkanaście mieć będziem kursa; jeżeli się nam powiedzie nająć nasze mieszkanie. to pojedziem na ten czas do Paryża.

*20 go.* Dopiero w dzień kursów mieszkanie nasze najęte. Niepodobieństwo jechać było tak nagle do Paryża. Przyjął nas przyjaciel i towarzysz niedoli do siebie — biwakujemy jak w obozie. Zjazd wielki: Orlean fetuje swą żonę. która tu raz pierwszy przybyła. Wszystko to niewiele nas interesuje.

---

[1]) Bolewska.

*24-go.* Po wielkich festynach, zjeździe, nasza Chontilly do swej dawnej spokojności powróciła, a my do swego mieszkania. Pojutrze jedziem do Paryża; najęcie mieszkania ułatwiło nam tę podróż. Niema potrzeby udawać, że bez tego niemożna byłoby wybrać się w tę podróż.

*3-go Czerwca 1841 r.* Otoż i z powrotem z Paryża. Tylko doktora Motoszyńskiego Mąż się radził: ten mu przepisał kąpiele, picie soków z ziół, trawy, etc.; dużo wszystkiego na raz, ale próbować będziemy. Mąż ma zaufanie, to już to samo dosyć. Widzieliśmy naszych przyjaciół; tyle obiadów, biesiad, że nie wiem jak wystarczyliśmy pożyć je — widać, że z dobrego serca ofiarowane nic nie szkodzą, bośmy zdrowi wrócili. Byliśmy w Wersalu przyjęci prawdziwie po polsku w domu posła Zwierkowskiego; dwa obiady wielkie, zbytkowne; zjeść tam potrzeba było i zwiedzić ciekawe muzeum wersalskie. Poznałam tam brata Maryi i zupełnie ucieszona wyjechałam stamtąd. Jeszcze powróciwszy do Paryża jeść i pić potrzeba było. Miło i wesoło zszedł nam ten czas i nic nie zaszkodziło, bo toż to w dobrem towarzystwie i przy wesołym humorze nigdy nikomu nic podobno nie zaszkodziło.

*4-go Lipca 1841 r.* List od Maryi. Ona była w Warszawie: widziała i słyszała wszystko i mnie to powtórzyła. O, czemuż ja tu dosłownie powtórzyć słów jej nie mogę, czyli lękam się. Nie! Polska żadnym sposobem upaść nie może, dopóki się takie istoty pojawiać będą. Niech sobie Mikołaj głowę zawróci nad wymyślwaniem nowych zbrodni, prześladowań etc. etc. Polska żyje i żyć będzie, dopóki ma takich synów i takie nieporównane polskie córy.

*10-go Października 1841 r.* Rocznica zaślubin naszych; tyle lat przebiegło nam w zgodzie, jedności i przywiązaniu wzajemnem: to są dary Wszechmocnego, które nie każdemu udzielone są. Wiele też w życiu naszem zabrakło nam pociechy. Niedozwolił Bóg, aby dzieci nasze, to jedyne szczęście, którego człowiek od natury wymagać może, pociechą nam się stały w każdej smutnej kolei życia. Lecz zgodzić się z przeznaczeniem potrzeba, i podwoić dążności, o ile można, abyśmy wystarczyli sobie. O, gdyby Bóg dozwolił nam jeszcze przeżyć z sobą lat wiele, takich jak dotąd przeżyliśmy z sobą. Narzekać na przeznaczenie byłoby występkiem. Kuracyę przepisaną, skrupulatnie przepisalismy. Mąż ma się nieźle; cierpi zawsze to przykre swędzenie ciała, ale kiedy powiadają, że to jest znak długiego życia, nie troszczę się tem cierpieniem; lepiej, żeby żadnego nie było, ale kiedy to być mają nieodzowne cierpienia

wieku i trudów — niech się drapie. a żyje dla szczęścia mego jaknajdłużej. Bolesno jest słuchać, to prawda, jak się żali na cierpienia swoje, boleśniej jeszcze, gdy im zaradzić nie można i cieszyć się tem złem i pragnąć go jeszcze.

*1-go Listopada 1841 r.* Nowa scena zjawiła się w emigracyjnym świecie. Bogata, milionowa imienniczka nasza przybyła umierać do Paryża. Powiadają, że miliony wywiozła z sobą i to może największą jest przyczyną, że choroba jej z ust do ust przechodzi.

*20-go Grudnia 1841 r.* O, zgroza, jakże to marne są widoki ludzkie, a dy to niesłychanie się tem niepokoją i martwią, że ta biedna, nieszczęśliwa, nie umiera! A wiedzą przecie. że umrze kiedyś, bo choroba nie do uleczenia; rak w piersi zaniedbany. O niczem nie mówią, jak o zapisach. Jeden z przyjaciół naszych z radością doniósł nam, że mu generał Sznayde powiedział, iż wie, z pewnością, jakóby Mężowi memu zapisała 150 tysięcy. Wiadomość ta nietylko, że nas nieucieszyła, ale przeciwnie zmartwiła. Pani M. miała miliony, a ocalić życia ani przedłużyć zdrowia nie mogła. My żyliśmy dotychczas bez obcej pomocy. Nikt się nie zapytał czy ten człowiek, obciążony wiekiem ma co jeść i w czem chodzić? Bóg i Opatrzność opiekowała się nami — i nadal nas może zachowa: niechaj więc tysiące rozda tym, którzy ich tyle pragną, tym, co życie jej na godzinę liczą; dla nas zaś. niech na tym świecie uprosi zdrowia i sił.

*29-go.* Kilka dni pisano do naszych tu panów codzienny opis zdrowia: oto już kona: zaniemówiła. już już dusza wychodzi z ciała, ale ta dusza, jak na przekorę, do dnia wczorajszego siedziała w tem zniszczonem ciele.

*1-go Stycznia 1842 r.* Radość wielka, niesłychana; winszując sobie Nowego Roku, winszują i tego, że gen. D. dostał dwa kroć stotysięcy. Biegano, opowiadano Francuzom. dosyć, że przy końcu dnia Bóg wie jakie z tego urosły wieści. W parę dni uspokoiliśmy się z naszej strony, bośmy się przekonali, że wieść o zapisach dla Męża była mylną. Gadali nam różne rzeczy, panowie w tym względzie interesowani; patrzyli się w oczy, czy z nich co niewyczytają, bo usta nasze tak, jakby przeczuciem jakiem nic w tym względzie do nikogo nie wyrzekły. Pokój niech będzie jej duszy, a co tam komu zapisała, to nas wcale nic nie obchodzi. Jeżeliby można żałować czego, pomyśleliśmy sobie, to chyba tego, że kraj zubożał o kilka milionów.

*10-go.* Na politycznym emigracyjnym świecie niedobrze idzie. Sejm się zebrać, ani zgodzić na nic nie może; wojna zacięta powstała między reprezentantami narodu, lecz, że to tylkosą potyczki dziennikarskie, wszyscy zapewne wyjdą zdrowo z tej potyczki. Zjednoczenie, które się tak długo zbierało, mało także wróży dobrego skutku i przewidzieć można, że wywoła także zaciętą walkę, poda dziennikom materyę do pisania paszkwilów i skończy się tak, jak wszystko: na niczem. Prorok Towiański, któren nam był w r. z. publicznie zapowiedział rozpoczęcie się sprawy polskiej — ucichł także. Czy to wszystko na pośmiewisko, czy na wypróbowanie cierpliwości naszej dzieje się, tego pojąć trudno. Może to przez zbytnią gorliwość dobre, poczciwe serca polskie tak się zapędzają. Może to kiedyś i co dobrego wyniknie z tego, daj Boże! Ale co teraz, to przykro.

*12-go.* A, co tego, to się nie spodziewałam. Odbieram list od P. Z.,[1]) któren mi pisze, że na pogrzebie ś. p. M.[2]), Pan L.[3]) żalił mu się, jakobym ja mówić miała, żebym umarła z żalu gdybym wiedziała, że M. zapisze swą fortunę L. i że P. L. będzie w Chontilly, w tym miesiącu i da mi to odczuć. Czekamy tego przybycia.

*24-go.* Był istotnie z dużą świtą sukcesor bogatej zmarłej, lecz albo niemiał serca stanąć przed oblicza tych, których usta nigdy się kłamstwem nie skaziły, albo też ci, co mu fałszywą wieść odnieśli, nie dopuścili wykrycia prawdy. A że miliony są, powiadają, dane do rozdania pomiędzy emigracyą, spadkobierca przywiózł i tu dla zasłużonych pułkowników po 500 fr. — Pułk. Borowy, szlachetnem zawsze powodowany uczuciem, zwrócił swój bilet bankowy i, w kilku słowach dziękując za dar, oświadczył, że będąc zdrowym może się obejść tem, co mu rząd daje, że fundusz ten lepiej użytym być może dla braci chorych.

*1-go Lutego 1842 r.* Zostawić w błędzie Pana L. nie wypadało; napisałam mu więc, że mylne mu rzeczy doniesiono, tłumaczyć się z tego nie widzę potrzeby i wspominać o tem nie bołoby warto, gdyby był, tak jak się oświadczył, będąc w Chontilly, odwiedził dom nasz — usłyszał by prawdę z ust człowieka, któremu by pewnie uwierzył. Lecz gdy to nie nastąpiło — potrzeba, aby wiedział, że w cudze interesa nie mieszamy się, że prócz

[1]) Walentego Zwierkowskiego
[2]) Hr. Małachowskiej.
[3]) Jan Ledóchowski.

spokojności nic nam więcej niepotrzeba, że słowa włożone w usta moje więcej krzywdzą tych, którzy je skomponowali. Życie moje potrzebnem jest do pielęgnowania skarbu, któren się, podług moich wyobrażeń, z żadnym pieniężnym porównać nie da etc. etc.

*4-go Marca 1842 r.* Najechało nas dużo gości; to prawda, że jest miło przypomnieć sobie ojczyste, krajowe zwyczaje i święto Męża obchodzić, gdyby tylko szczupła kasa emigrancka pozwoliła. Za to też święconego tego roku nie będzie, i post wielki podwójnym obrzędem odbędziemy.

*27-go.* Wielkanoc; pierwszy raz w życiu mojem, mówiłam sobie wczoraj, święconego mieć nie będziem, ani do nas nikt nie zajdzie. Jest przecie wyborna szynka, którą sama sprawiłam i chleb dobry, czy nie dosyć tego. Kiedym sobie tak dumała, zapukano do drzwi. Był to rodak, któren wiele znacznych, paryskich, opuścił święconych i przybył podzielić się jajkiem z nami. Byliśmy mu wielce radzi. Coś zastał bracie, tem cię uczęstujem — i, oto we czworo mile święta zeszły nom.

*3-go Kwietnia 1842 r.* Mamy mieć wielką szkołę polską; ustawy obejmują całą książkę; prezesowie, naczelnicy, sławnych imion i znaczenia, nadto odezwy po gazetach francuskich, wzywające do składek. Pan L. dał na ten cel 50.000. Narodowość pisze, że już 30 uczniów zapisało się.

Pan L. listem swoim zapowiedział przybycie swoje do Chontilly dla oddania uszanowania i porozumienia się, jak powiada.

*6-go.* Opowiadano nam dziś jak wspaniale odbyło się święcone dane w wielu domach polskich i klubach. Przewyższyło i zadziwiło dane przez Pana L.; było tam, powiadają, wszystko, co jest w Paryzu najdroższe i najlepsze, słowem, wyszukane. Kilkadziesiąt osób dni 12 biesiadowało tam; w same zaś święta 100 przeszło. Muzyka pułkowa, która była przysłana przez grzeczność pułk. z rana (bo się to działo na prowincyi) zatrzymaną została dzień cały. Wino szampańskie obficie jej stawiano; ciasta, pasztety sztrasburskie etc. — tak, że sami wyznali, że już grywali hrabiom, książętom, królewiczom etc. a od nikogo tyle uczęstowanymi, ani wynagrodzonymi nie byli. Niechże znają co to Polak, kiedy ma pieniądze!

*1-go Maja 1842 r.* Wszystko głucho i cicho około nas. Prócz pięknej natury, która się nam mile z wiosną ukazała i ożywia, pokrzepia siły nasze, nic innego nie dochodzi ani do uszu, ani do serc naszych, prócz złośliwych pisemek, których czytać nie można, bez mocnego żalu, — że jedno jest plemię polskie, jeden

interes. a tyle potwarzy, nienawiści i złej wiary. Zdaje się. że już wszystko straciło ufność — i do nas w tym roku nikt nie pisze, te nawet osoby, co żywo pragnęły utrzymać ciągłe związki z nami. Jaki tego jest powód łamać sobie nad tem głowy niepodobna; zostawić ludzi takimi, jak oni być chcą, to jest jedyny środek.

*10-go.* Jeszcze raz nie znalazło się dosyć odwagi. aby stanąć przed posiwiałą głową i wytłómaczyć się z plotek. Pojechali podróżować, powiadają, do Szwajcaryi, Pirenejów, Hiszpanii i Włoch: rozdawnictwo nie wszystkich zadowolniło, bo też to rzecz trudna każdemu dogodzić. Jednak pozycya wielu osób zmieniła się; wielu pojechało do wód, inni dotychczasowy pobyt na prowincyi przenieśli do stolicy etc. Są jeszcze pomiędzy nami biedni, nieszczęśliwi. potrzebni.

*28 go.* Wszelki duch Pana Boga chwali, zawołałam dziś. czytając list przyjaciela naszego, któren, jako dowód swej ufności, donosi nam, że się połączył z Towiańskim.

*2-go Czerwca 1842 r.* Że pierwszy przystąpił. to nie dziwiliśmy się bardzo, bo ognista dusza jego na wszystko by się rzuciła gdzie tylko jaka nadzieja. Ale Karol R.[1]), człowiek myślący, zastanawiający się nad wszystkiem przystąpił. powiadają z synem swoim. Teraz, to nieśmiem żadnego mego wyrzec w tem zdania.

*15-go Lipca 1842 r.* Na nowo Towiański wystąpił na scenę: dziwne rzeczy gadają i piszą o tem. Przykre bardzo słyszymy wnioski. czego dopuścić niemożna, aby coś podobnego w tem było. Odważyłam się nakoniec napisać do Karola. Odpowiedź jego utwierdziła mnie, że jest zwolennikiem Towiańskiego, bez granic.

„Tak jest, prawda, przez czcigodnego Towiańskiego głoszona, całą moją duszę zajęła. Na tej tylko drodze nieomylne. trwałe i świetne zbawienie naszej Ojczyzny spoczywa. Żałuję. żem tego Mistrza w samych początkach nie pojął i tak wiele drogiego czasu z mego życia wytrącił. Odtąd wzbudziła się we mnie silniejsza miłość ku Stwórcy wszechrzeczy, ku religii ojców [illegible] ludziom: większa i czysta gotowość poświęcenia się dla ludzkości. zupełne zrzeczenie się siebie samego etc.".

*6-go Sierpnia 1842 r.* Co dzień przybywało więcej wieści: szereg wyznawców powiększał się. aż oto na koniec p. m. odebrałam uwiadomienie, że Karol. Seweryn i Xawery odwiedzą nas. co też nastąpiło 4. b. m. Nie potrafię tu powtórzyć słów. które od

[1]) Różycki.

nich usłyszałam. Nie są to już ci ludzie, których znaliśmy w Fontainebleau. Są to tylko ich postacie, innym przejęte duchem, wiarą i nadzieją ożywieni. Są tak pewni swego, jak gdyby jutro Ojczyznę swoją odzyskać mieli. Ta ich pewność, radość, wyrzeczenie się światowych i ziemskich rzeczy, zrzeczenie się samego siebie, poświęcenie się bez granic etc., to wszystko ma w sobie coś rzewnego. Wątpić o miłosierdziu Boskiem nie można, ani też wierzyć zupełnie temu, że Towiański ma być posłannikiem Boga. Słuchaliśmy opowiadań, żadnej nie zaprzeczając. Pragniemy z całej duszy i prosimy Boga, aby spełnił te życzenia. Odjeżdżając od nas ci zacni trzej ludzie zapewnili nam rychłe zmiany, a jeden z tych ma sam przybyć i uwiadomić nas o tem. Czekaliśmy tak długo — nie mamy co lepszego robić, jak cierpliwie czekać jeszcze. Żydzi tak dawno czekają przybycia Mesjasza. Może też to jest ich Mesjasz, a nasz fałszywy prorok. Może, może, może... Zawsze dobrze ten czyni, kto się zbyt ze swym sądem nie spieszy.

*16-go* Dziesiątek dni upłynął, a Pana Seweryna[1]) nie widać. Otóż to jest skutek, kiedy sobie czem kto głowę nabije. Pszonka dużo nam rzeczy nagadała. O, chciałożby przeznaczenie, żebyśmy wszystkie dążności nasze na śmieszność wystawili?! Rzućmy okiem dalej; tymczasem Zjednoczenie zdaje się, że tylko igraszką było. Szkoła, bodaj, nie skończyła się na programach, szpital na jednem łóżku etc. Zobaczymy za dni 15, co mi się tutaj zapisać da.

*7-go Września 1842 r.* Lat 12 zbliża się, jak powzięłam myśl notowania niektórych wydarzeń i uczuć; była to epoka ważna dla kraju, a tem samem obojętną być nie mogła dla serca polskiego. Notowałam tak, jak czuło serce, pojmowała dusza i głowa. Nie w myśli, aby te notatki miały inny cel nad ten, że kiedyś rodzina moja przyjaciele, rzucą okiem na to pismo i dowiedzą się, jeżeli ciekawi będą, jaką koleją przechodziło dwoje ludzi, szukając w ciągłej pielgrzymce nadziei, która wskrzesić by mogła nieszczęśliwą ich Ojczyznę. Jesteśmy przy końcu roku 1842; od roku 1830 rozpoczęła się wędrówka nasza. Po tylu ubiegłych latach, człowiek najmniej pojmujący rzeczy nabyć mógł ciągłem doświadczeniem sądu zdrowego o wszystkiem. Nie mając żadnej zdolności do pisania, wzięłam sobie za podstawę, przenosić na papier, po prostu, każdą myśl, zdarzenie lub rzecz ogólnie nas interesującą, trzymając się rzetelnej prawdy. Nie myśląc, żeby kiedy pod krytykę moje wyrazy poszły, śmiało i bez namysłu zapisywałam to, co mnie

---

[1]) Pilchowski.

żywo zajmowało. Dopiero po latach tylu, odczytawszy dzienniki moje, widzę niesforność pióra, niedobór myśli. Zostawiam je przecież tak jak są; formować styl, a zboczyć od prawdy, niegodzi się. Lepiej jest zostawić serce i myśl taką, jaką ona była w chwilach przejścia. Niezrażona nieudolnością moją, jak zdołam, chcę tu zrobić ogólny obraz tych lat 12 ubiegłych. Człowiek dopiero z własnego doświadczenia może i powinien sądzić, czem by się stać mógł użyteczniejszym Ludzkości i Ojczyźnie swej. Powstanie narodowe zastało nas spokojnych i szczęśliwych w skromnem ustroniu wiejskiego życia. Nie było nic w tym domu wielkiego, ani wspaniałego, lecz było, co człowiekowi do wygodnego potrzeba życia. Mała liczba przyjaciół, ale szczerych, miłość familijna, zgoda i przychylność małżeńska, słowem wszystko, na czem ograniczyć można szczęście domowe. To szczęście, tyle od nas cenione, chętnie i bez namysłu rzuciliśmy, spiesząc tam, gdzie wzywało uczucie narodowe. Wiara i chęć dobra żadnych nie nastręczały uwag, bo kiedy 66 letni człowiek z młodzieńczym zapałem porywa za broń, tem samem dowodzi, że nie zwątpił o dobrej sprawie. — „Mamy wojsko, skarb i zapał narodu, uda się nam niezawodnie, zrzucić to ciężkie jarzmo tą razą“ — i z temi słowy ochoczo stanął w szeregach wojska. Niedługo trwała ta myśl szczęśliwa: z czynów sądzi się rzeczy! Bolesne było to dostrzeżenie, że sprawa nasza udać się nie może przy takiem skrzywieniu rzeczy. Zrobiliśmy powstanie, a bić się wcale nie mieliśmy ochoty. Starsi, od których wszystko zależało — żałowali domowego swego bytu; takich malcontentów zostawiono na czele pułków, brygad etc. etc. Gdzie niema władzy, tam niema siły. Dobra, szlachetna, pełna zapału i dobrych chęci młodzież nasza, źle zrozumiała wolność. Nadużyto jej, źle zastosowano; nieczynność wodzów, złe powodzenie, nieprowadzenie do boju żołnierza, któren się gwałtem naprzód wydzierał, widząc przed sobą nieprzyjaciela — wszystko to zdemoralizowało nakoniec i osłabiło ten zapał, na który wszystko liczyć można było w początkach. Grzeszyłby ten, którіby chciał utrzymywać, że wojsko bić się nie chciało.

Niesprawiedliwie dzieje się na świecie; chwałę zwykle przyznają wodzom, a niepowodzenie żołnierzom, czyli wojsku wogóle. Po bitwie ostrołęckiej, pokazało się, jak źle użyto wojska. Rząd i Sejm słaby; zamiast zaradzić złemu pobłażał błędom i w zarozumienie wprowadził niedołężnego wodza. Spostrzegli to ludzie serca i czystych dążności dla narodowej sprawy, ale tacy ludzie żadnego głosu nie mieli, ślepo dopełniali obowiązków swoich, bo

nie był to czas zrażać młodszych zwątpieniem, albo, co gorsza, oddaleniem się. Ze smutkiem każdy myślący człowiek patrzał na nieczynność wodza. Pozwolono zabrać wielkie magazyny żywności, opanować przez nieprzyjaciela kraj cały, zostawić mu czas wzmocnić się, zgromadzić siły, a co gorsza, wpłynąć na niemoralne i zepsute serca polskie. (Ze zgrozą sami Moskale wszedłszy do Warszawy, opowiadali, że oficerowie polscy, nawet rang wyższych, bywali w obozie nieprzyjacielskim i dokładne o wszystkiem czynili im relacye, że pierwszy prawie arkusz każdego rozkazu, gazety, postanowienia etc. był im natychmiast do obozu dostarczany. Wiem to od Polki, żony pułkownika rosyjskiego Wysockiej). Nadeszła nieszczęsna chwila, kiedy w szczupłym obrębie stanęło do boju wojsko, lecz jeszcze i w tej wytycznej chwili — w sejmiki zamienił się obóz polski. Winowajca, co zgubę przygotował przez nieczynność swoją wyszedł dobrze, bo on sam i wielu dziś utrzymuje, że gdyby mu pozwolono zostać do końca, tak źle by się nie skończyło. Nakoniec oddano los kraju w ręce intryganta złośliwego, zarozumiałego brutala. Sejm oddawszy szalonemu miecz w ręce, dla jakiejś czczej formy, chcieli mieć zastępcę wodza; wiedzieli, że nikt nie zechce poświęcić się na to, trafili więc do człowieka, któremu dość było powiedzieć: „Zrób ofiarę dla Ojczyzny“. — „Ofiary chcecie! to jestem“. I mieli czoło i sumienie wystawić tego cnotliwego i czystego człowieka na ściągnienie swej prawej ręki do podpisania ich niegodnych układów. Wszystko, co dotąd o tem pisano jest mylne; pisarze i chistorycy nasi, nie rozbierając rzeczy, pisali wypadki rewolucyi naszej z raportów rosyjskich, z gazet niemieckich, z podań ludzi, którzy sami swoje męstwo głosić chcieli etc. Słowem, że dotąd niema prawdy, bo niema cnoty, aby się do błędów przyznano, samolubstwo pierwszym było celem pisania. Warszawa wzięta, to jeszcze nie wszystko stracone było; połączywszy siły można było stoczyć walną bitwę, a nie wiadomo na czyją stronę przeważyłaby się wygrana. Ale bić się już nie było ochoty, a zbrodnia niesłychana, że rozkazów nie usłuchano. Jeden sobie wódz poszedł do Prus, a drugi do Galicyi i na tem się zakończyła smutna katastrofa powstania. Okropny i ciężki był do zniesienia los ten dla tych, którzy szczerze pragnęli ogólnego dobra. Ci zaś, co na materyalnym pragnęli pozostać bycie, radzi byli, że się, choć tak niepomyślnie, ukończyła wojna, a lubo bardzo pomylono się na swoich rachubach, bo nie każden wrócił do dawnego bytu, błądzili wszyscy w zdaniach i czynach swoich. Nie było ogólnej

dobrej woli — i upadliśmy. Zbyt ufano ludziom niezdolnym, zarozumiałym; o zdradę posądzać ich nie można, ale czy nie jest wszystko jedno użyć na złe swej władzy albo niedopełnić obowiązków swoich, tak jak interes Ojczyzny wymaga. I zbytnia skromność, mało cenienie siebie, w takim razie jest szkodliwą i jedni się pięli, cisnęli gwałtem do władzy, a drudzy przyjąć jej nie chcieli. Szukano ludzi, którzy mylną powierzchownością swoją zwodzili sprawę polską, mając nakoniec człowieka, z którego nakoniec, smutną ofiarę zrobiono. Czemu go od początku zaufaniem nie otoczyli i ludźmi, którzy wspólnie z nim pracując odpowiedzieliby temu zaufaniu. Ten nie marnował by czasu na korespondencyę ani z królem pruskim, ani z ministerjum francuskiem; uczyniłby pewnie tak, jak był nawykł w obozie rewolucyjnego wodza Kościuszki — odrzuciłby pochwę od swej szpady na bok i biłby się do końca i, pewnie, po trupach weszliby Moskale do Warszawy, gdyby taka wola Przedwiecznego była, że oni zwycięstwo mieć mieli. Powie może kto, że ten sam człowiek zastępcą był Wodza w ostatnich dniach walki. To prawda — ale jakże ta komenda smutną była? Kiedy nikt nie słuchał. (Każdemu z generałów zdawało się, że tam oddzielnie komenderuje i każden sobie, podług swej woli poszedł, kiedy chciał; a dziś cuda o swem bohaterstwie piszą). Ten nieszczęsny zastępca wodza bił się przecież, nie tracąc nadziei; tysiące kul przebiegły blisko koło tego prawdziwego polskiego serca, a żadna go nie przeszyła, bo przeznaczenie zachować go chciało, aby mu srogi cios zadać, tem sroższy, bo nieprzewidziany. Nie do mnie należy rozbierać tę ważną epokę; możem już i tak więcej tu powiedziała, jak rozum kobiecy pojąć może. Uczucia i widzenie rzeczy, czerpane z serca, które przechodziło i czuło te bolesne próby, mogą być dalekie od dobrego zrozumienia i wysłowienia się, ale — realne, prawdziwe. Kiedy już wojsko nasze zniknęło z placu boju i tam, gdzieś po za granicami, szukać poszło przytułku, smutne było położenie kraju, dotkliwe dla wielkiej liczby mieszkańców jego te wypadki; lecz nikt nie przewidywał następstwa. Ja sama płakałam rzewnie nad losem kraju, nad rozłączeniem się z Mężem, ale myśl moja tak daleko nie sięgała, że tułać się lat tyle będziemy. W nieszczęściu prędko się człowiek na wszystko decyduje, i mnie biednej kobiecie, która dalszej podróży jak z Wierzbicy do Warszawy nie znała i nie robiła, łatwo się zdecydować było na kilkadziesiąt milową podróż, w jednym celu, aby widzieć Męża i o dalszym naszym losie pomówić. W trzy dni przeleciałam pocztą granicę i znaczną odległość

miejsca. a w jednej prawie minucie zdecydowaliśmy oboje, że los wspólny wygnania dzielić będziem. Naturalnym to było wypływem rzeczy i nie dziw, że instynktem wiedziona, żadną przeciwnością zrazić się nie mogłam. Robiąc tak wielką podróż na powrót i, następnie, opuszczając kraj, na jak długo — niewiadomo, — nigdy nie przyszło mi na myśl, że szczupła fortuna nasza nie zgadza się z projektem tak wielkiej drogi. I lepiej ten robi, pokazuje się, kiedy się niezraża przeciwnościami wtenczas, kiedy ma święte obowiązki do spełnienia.

Mając paszport na pół roku, zdawało mi się, że ten dostatecznym będzie do powrotu, a dopuszczając sobie największe złe, to, że osiądziemy w Krakowie. Tak to, zapewne, Bóg zrządził, aby od razu ciężkim nie przywalić ciosem. Niech będzie chwała Jemu! Ale dlaczegóż nie przewidywali ludzie z zimnym rozsądkiem, którzy się na mój odjazd patrzyli? Troszczyli się oni, pamiętam, o to, że jadę bez służącej, z jednym tylko lokajem: mnie samej zdawało się, że to niepodobieństwem obejść się bez usługi. Ah, jakże słabe wyobrażenie moje wtenczas było, jak uboga w pomysły głowa! Wszyscyśmy więc troszczyli się tak małą rzeczą, a nikt nie pomyślał głębiej. Nikomu nie przyszło na myśl gdzie jedziesz, z czem i czy pojmujesz realny stan rzeczy. Nie, o tem ani ja, ani nikt niepomyślał — i dobrze się stało; tak zapewne zrządził Ten, co włada człowiekiem. Bez żalu więc i z największym pośpiechem opuściłam rodzinny dom. Przejechałam granicę ojczystej ziemi, tak jakbym wkrótce miała do niej powrócić z nadzieją i bytem. O, mylne są, mylne rachuby człowieka! Mało miałam głowy i czasu zająć się mojem wybraniem się w podróż. Zamknąwszy w szkatułkę skromny fundusz, jaki zebrać mogłam, resztę potrzebnych mi rzeczy wyborowi moich domowych kobiet zostawiłam. Dużo pościeli, rozmaitych naczyń do gotowania, napakowały biedne dziewczęta; one tylko o tem myślały, żebyśmy jedli i wyspali się dobrze; bo niewiedziały, nie znając kłopotów, że człowiek ani jeść ani spać dobrze nie może, kiedy dusza i serce uciśnione. Bielizny i odzieży mało — ona wróci do nas niedługo — zapewnie pomyślały sobie. Nie było szczęśliwszej istoty nademnie, zdawało mi się, kiedym już w szeregu emigrantów stanęła — i dziś nie mniej szczęśliwą się uważam, bo możeż być większe nad to, kiedy się obowiązków swoich dopełnia. Ale urok pierwotny zniknął, a 12-letnie doświadczenie inne dało mi o ludziach przekonanie. Niestety, rada byłabym powziąć je tak dobre, abym żadnego słowa źle o nich powiedzieć nie miała powodu; z taką szczęśliwą myślą

dążyłam na wygnanie. Tam — myślałam sobie — znajdę to, co mi w kraju smutne koleje losu rzucić rozkazały, tam, w niedoli, silniejszym węzłem łączyć się powinni ludzie, bo tylko nieszczęśliwi od siebie nie stronią. Tam nasze bogi domowe, tam bracia strzedz mają narodowości polskiej i czekać chwili, gdzieby się upomnieć o krzywdy narodowi wyrządzone można. To są apostołowie, którzy jak z Ewangelią w ręku, tak oni ze świętą prawdą, w zgodzie i jedności przebiegać będą świat szeroki i długi, dopóki odrodzenia Polski nie znajdą. Dzielić z takimi ludźmi los niedoli, szukać z nimi zatraconej Ojczyzny swej — rajem się niebieskim wydawało dla głowy egzaltowanej. Przybywszy do Elbląga, z religijnem poszanowaniem patrzałam na kwiat młodzieży, na ludzi podeszłych w wieku — wszystko było pełne życia, nadziei i dobrych chęci. Powoli poczęto się rozjeżdżać w różne strony; wielu do Paryża pobiegło. Prześladowano naszych biednych żołnierzy w fortecach; nie było komu upomnieć się o to. Mieliśmy wprawdzie pomiędzy sobą Naczelnego Wodza (dziś się dowiadujemy od Pana Sołtyka, z władzą Prezesa Rządu Narodowego); dlaczego ten wódz nie upomniał się za nich i co robił, to historya rozebrać powinna. Tymczasem Prusy opuścić nam rozkazano. Znaczna część emigracyi udała się do Francyi, nieco wróciło, za amnestyą, do kraju, reszta, gdzie kto i jak mógł jechał dalej. Niemcy, wogóle, okazali wielką sympatyę, niepowiem, że dla sprawy naszej, ale dla nieszczęścia. Ich domy, stoły, pieniądze, klejnoty, zgoła wszystko, co w domu mieli, duszą i sercem oddawali dla tych, którzy przyjąć chcieli. Nadużyto tej grzeczności i zapału dla nas dobrych Niemców, lecz z drugiej strony przejeżdżali przez Niemcy ludzie, których powaga i godność narodowa pokryła nieco błędy tych, którzy nieumieli szanować tej gościnności. Znali to dobrze sami Niemcy, że w rewolucyjnem wojsku zbiór ludzi jest rozmaity i często sami uspakajali troszczących się o to, że wypadki podobne nie wpływają na ogólny charakter narodu, który oni znają i cenią. Rozdawano pełną ręką dary w pieniądzach, kosztownościach, odzieży, bieliźnie etc. Po domach, klubach, komitetach, lożach masonskich — zatrzymywali w swoich domach, bawili z tak wylanem sercem, że to trudnem było, aby się najtwardsza dusza nie pocieszyła na takie oznaki przychylności. My, chcąc się jeszcze z bliska przypatrywać nadziejom — nie spieszyliśmy się do Francyi: siedm miesięcy w miłem Dreźnie oczekiwaliśmy na tą zręczną porę, która, podług naszych rachub daleką nie była. Żyjąc ze swych własnych funduszów, nie wydawało się życie nasze przykrem

i gdyby nie tęsknota za krajem, żal ciężki po utracie tegoż, powiedzieć by można, że to były chwile najszczęśliwsze w tułactwie. Tam nie znaliśmy obłudy, plotek i tej nienawiści bratniej, która dziś miarę nieszczęść naszych dokonała. Tam jeszcze szanowano wiek, zasługę; płakano wspólnie nad niedolą. Nie znano żadnej innej opinii nad tę, która do dobra Ojczyzny dążyła. Taki stan błogi, niestety, niedługo miał trwałość; brakło funduszów — potrzeba zmusiła jechać za drugimi do Francyi. Gorzki jest sam z siebie chleb dany z litości, a lubo to za dług narodowy uważany, jednak nieśmiało go się pożywa. Przybyliśmy do Francyi pełni nadziei, że tu żyć będziem spojeni węzłem niedoli, jeden mając interes wspólny wszystkim; czyż można było dopuścić, że takie rozdwojenie nastąpi? Nie. — Wjechaliśmy do Francyi z tem przekonaniem, że tu żyć będziem jak jedna rodzina. Wszyscy cisnęli się do Paryża, a mianowicie ludzie wyższych stopni; zdawało się, że nie inny był cel ich, jak zgromadzić się i radzić nad dobrem Ojczyzny.

Prezesi, Ministrowie, Posłowie, Wodzowie, Generałowie — wszystko tam już było. Stanąwszy na granicy francuskiej potrzeba było obrać sobie miejsce pobytu. Bez namysłu Mąż mój wybrał sobie zakład Berensoński, nie mając myśli odgrywania żadnej roli, chciał pozostać między swymi i wspólny los dzielić z nimi. Przybywszy do tego zakładu, ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że w Paryżu niezgody — Sejm nieczynny, każden pojedynczo chce się wynieść, bohaterem ogłosić etc. Błędne rzeczy pisać zaczęto, a kto pisać sam nie mógł, szukał autorów, którzy niezgłębiając rzeczy pisali, co im podyktowano. Takiemi fałszami napełniły się dzienniki, opisy rewolucyi 29 listopada, broszurki, dzieła po kilka tomów, encyklopedye niemieckie, angielskie i t. p. Pisano z wielkim pośpiechem, bojąc się, aby kto nie uprzedził, a chcąc napisać wiele, chwytano, co pod oczy i uszy podpadło i tym to sposobem wprowadziliśmy pod sąd opinii publicznej świętą naszą sprawą. Przepisując do historyi artykuły z gazet niemieckich, petersburskich, rozkazów dziennych moskiewskich, a co najgorsze, że chcąc się dać poznać światu naciągaliśmy do naszych widoków rzeczy, a tem krzywili interes narodowy. Nikt się do winy przyznać nie chciał — i owszem, czerniąc drugich, rozumiał, że tem oczyści winy swoje. Gdyby to tylko pisane było w języku polskim, ale niestety, Polacy niekorzystne, fałszywe ogłaszali rzeczy w języku obcym. Pomijam cudzoziemców, bo ci nawykli źle wystawiać sprawę naszą, czy to z nieświadomości rzeczy, czyli też inny mieli do tego powód; tym jeszcze przebaczyć można, bo oni mają tą narodową cnotę, że wszystko

chwałą, co ich własne, a prawie nienawidzą obcej chwały. Galopem tedy, po francusku napisał Pan Stroszewicz biografie 100 sławnych ludzi, po większej części, podane przez samych tych sławnych ludzi. Z urąganiem się pytali Francuzi: dlaczegoście upadali tylu mając bohaterów? Pan Brzozowski i Mierosławski dzieje powstania naszego opisali, po francusku; pierwszy gotowe czerpał opisy zbyt niedokładne i fałszywe — drugi niewiele więcej szukał prawdy; z talentem, poetycznie napisał 3 tomy, ale z mylnem wyobrażeniem tak o ludziach jakoteż i o rzeczy. Zbyt nawet porywczo opiniował o ludziach zasługi i cnoty, nie oddał im należnych zasług: obok tych sponiewieranych imion, czytamy niezasłużoną przyznaną chwałę innym etc. — Ale wróćmy do naszego zakładu. 1800 głów młodych, myślących. czekało co uradzą dygnitarze narodu. W początkach byli gotowi oddać się pod opiekę rozsądnej władzy, uorganizować się, stosownie do położenia etc. Ale nikt nie pomyślał o tem. Sejm ciężko zgrzeszył swoją nieczynnością; patrzał obojętnie na przywłaszczone sobie władze. Poznała wkrótce zapalona młodzież niedołężność Sejmu i dziwić się nie można, że straciła ufność i szacunek dla osób, które nieumiały korzystać z ich początkowej powolności i nie odpowiadały powołaniu swemu. Ta szlachetna i piękna młodzież dowiodła gotowości swej poświęcenia się dla swej Ojczyzny. Mając tajemne związki z ludami, zdawało się jej, że była bliską drugiego powstania — losem ciągnięte ofiary biegły radośnie i ochoczo: po co?... po śmierć do Polski. O. potrzeba było to widzieć, aby dostatecznie ocenić to poświęcenie się! Nieszczęśliwe ofiary szły z wiarą i ufnością, nie myśląc, że ludzie u steru błądzą; a przecież tak było. Wyjście do Szwajcaryi naszych cały porządek rzeczy wywróciło: rozrzuceni po całym świecie biedni tułacze w nic już, ani w nikogo wierzyć nie chcieli. Wysłanie emisaryuszów do Polski nierozważnie było przedsięwzięte; wiele złego zrządziło. Usprawiedliwić się przecież dać powinno, bo chęć była dobra, ofiary wielkie. Że się nieudało, to nie tych, co tam poszli jest winą. Gdyby kilkanaście milionów ludzi tak się poświęciło jak Zawisza, Wołowicz, Konarski i inni, to dotychczas tyran Północy niepastwiłby się nad biednym ludem naszym. Od wieluż to drzwi odepchnięto biednych wysłanych braci naszych? Nie może się nic udać dopóki sobie wszyscy wspólnie rąk nie podamy. Były szlachetne rodziny polskie, które, z narażeniem majątków, życia i wszystkiego, co mieli najdroższe, chcieli pomagać dobrej sprawie. lecz ich liczba była za małą: padli ofiarą srogości ciemięzcy naszego — ich imiona żyć będą w sercach naszych i przejdą

do pokoleń przyszłych, tak, jak zniewaga, złorzeczenie tym, którzy dla swego egoizmu i bytu, interes Ojczyzny poświęcili. Do chwili istnienia trzech wielkich zakładów był pomiędzy emigracyą niejaki porządek, bo w każdym zakładzie była rada, miała swego prezesa, sekretarza etc. Lecz gdy nas na małe podzielono cząstki, powstały partye, pokątne działania: stanęli ludzie, którzy się pięli do władzy i do przewodniczenia, ale ci ludzie nie mieli ani taktu, ani głowy, ani opinii powszechnej. Do każdego z takich menerów przyczepiła się garstka ludzi, którzy osobiste mieli widoki; zdawało się im, że chwila odrodzenia bliska, że ten, którego oni protegują, stanie na czele etc. etc. Główne 3 partye liczono: demokratów, arystokratów i umiarkowanych, czyli — niewiem jak ich nazwać — tych co się do niczego mieszać nie chcieli i spokojnie czekali chwili, gdzieby bez nazwy i wyznania swej wiary politycznej, mogli być użyteczni swej Ojczyźnie. Do wyniesienia dwóch pierwszych partyi i ludzi na czele tychże postawionych, zbierano głosy, równie jak i na potępienie ostatniej.

Nietrudno było zebrać takich wielu; liberalne zasady pociągały wielu, bo lubo bez formy dążyliśmy do nich (z małą liczbą, którym się te całkiem niezdawały) wszyscy — młodzież nasza szlachetna, którym pisma i przykłady Francuzów, głowy pozawracały — tak jak i oni rzucili się z potwarzą na wszystko. Zasługa, wiek, słowem wszystko, co dawne, sponiewierane zostało. Dobroduszni, co nic nie czytali, nie znali, łatwo potępiali wszystko i liczbę tych propagand powiększali. Druga partya mniejszą miała liczbę wyznawców, ale dwa silne żywioły: rozum i doświadczenie, a mianowicie siłę materyalną. Żartowali sobie z rzuconych na nią pocisków, nieodpowiadali na nic; robili swoje z godnością, bo niespotwarzali nic, ani nikogo, a lubo działania ich były piekielne, szkodliwe, utrzymały się przecież do dziś dnia przez wytrwanie. Przeciwnie zaś działo się z innemi; komitety Lelewela, Dwernickiego, konfederacya etc. etc. Wszystko to niedługim bytem cieszyło się, bo niezręcznie prowadzili rzecz swoją. Zarozumiałość, chęć pochwalenia się, nie dosyć energii i poświęcenia się, oto są główne wady naszych braci. Tymczasem oczernialiśmy naród własny przed światem: wszystko, co narodowe, było złe; cały porządek rzeczy przewróciliśmy; tu szukać wzorów zdawało nam się konieczną potrzebą, bez względu jakie one są. Prawodawcy, ludzie postępu w połowie większej pożenili się tu, z zastrzeżeniem, jak powiadają, że ich małżonki przyjęły Ojczyznę naszą za swoją. Powoli uspokajały się wrzaski, które gorsze następstwa po sobie zostawiły: nienawiść

wzajemną ku sobie. Praniewicz zanucił piosenkę o Królu Adamie; podobała się dynastykom i oto Król Adam na scenie. Rozumiano, z początku, że to są dziecinne igraszki; gdzie tam — to prawda. chce być koniecznie Adam Królem. — 6 lat temu, jak powzięto myśl zjednoczenia i utworzenia Komitetu z pięciu. Myśl dobra, cel piękny, ale egzekucya żadna: szukano w Emigracyi ludzi, lecz albo ich źle szukano, albo źle wybrano, dosyć że z tego dotąd nic się nie udało. Oziębłość dla emigracyi w kraju widocznie spostrzegać się dała; narzekali jedni, dziwili się drudzy, że ta oziębłość aż do familiów i rodzin całkowitych rozciągała się. Przykre to wprawdzie było uczucie, ale któż winien był, jeżeli nie my sami, żeśmy ostudzili ten początkowy zapał. Łatwość jechania do Xięstwa Poznańskiego dokonała miary niechęci dla nas. Tłumem cisnęli się potrzebni i niepotrzebni tam; każden po swojemu przedstawiał rzeczy, naturalnem wypływem stało się, że niekorzystne powzięto o nas wyobrażenie. Kto raz wiarę publiczną zawodzi i oczekiwaniom nie odpowiada, ten ściąga winę na ogół.

Pieniądz, rzecz tak powabna dla ludzi, stał się przyczyną wielu niechęci. Narzekano, że kraj mało daje na Emigracyę: ja powiem, że dawał za wiele. Miliony przeszły na korzyść emigrantów z kraju: zmarnował się grosz publiczny, losu nikomu niepolepszył, nikogo nie zadowolnił; mało zawsze było tym, co się ograniczyć nieumieli. Brali i narzekali, a szlachetne ubóstwo od początku do końca trwało w swym niedostatku. Czy nie dosyć ciężaru dla biednej Polski, że tu na nią zaciągamy dług narodowy? Czy ta biedna Polska nie będzie musiała zapłacić subsydyów naszych? Nikomu nie odmawia rząd francuski wsparcia, są tacy, co dla kaprysu porzucali Francyę, powrócili do niej i nieodmawiano im żołdu. Tysiączne zachodzą ze strony Emigracyi żądania, wszystko daje rząd francuski, grzeszyłby ktoby narzekał, bo istotnie, nadużywamy tej gościnności. Nie zarumienią się niektórzy pójść i żądać podwyższenia pensyi, nadzwyczajnego wsparcia i t. p. Mówiąc o nadużyciach gościnności na ziemi schronienia, małej liczby, pomiędzy nami, osób, pominąć nie mogę wysokich i wzniosłych cnót braci naszych, z którymi dzieliliśmy wygnanie. Ludzie, żyjący po wielkich miastach, jak naprzykład w Paryżu, porównać się nie mogą z tymi, co żyją na ustroniu. Tam jedni żyją zarobionym sobie groszem i żyją wygodnie, drudzy bogaci z domu, ani wyobrażenia nie mają, co to jest bieda. Tak dobrze, powiadają, jedzą, piją i bawią się w klubach, że nie w jednym domu w Polsce tak by nie było. Nie tak się dzieje z tymi, co żyją na pro-

wincyi i którzy za cały fundusz mają to, co rząd daje: 32, 45, 60 fr. na miesiąc i tak dalej w miarę stopnia. Ubrać się, żyć z tego, stancyę, opał, światło, praczkę opłacić, to potrzeba wielkiego na to wyrachowania. A przecież są ludzie, całą godność narodową z tym funduszem przechowujący. Nigdy się na nic nie żalą, długów nie robią, czysto, porządnie ubrani, nie głodni, mają swoje mieszkanie; ale jakże to wszystko skromne, jak niedostateczne. Zapłakać by nad tem trzeba, lecz to by ujęło temu szlachetnemu ubóstwu. Kiedy oni spokojni, kontenci i żyją z tem przekonaniem, że my tu nie dla dobrego bytu przybyli, lecz, aby się doczekać lepszego bytu dla Polaków — chętnie więc oddają się pracy: łatają, szyją, piorą, gotują sobie, a jak wyjdzie na ulicę, powiedziałbyś, że musi mieć porządnego kamerdynera i gdyby nie ponurość i zaorane czoło od zgryzot, myślałby kto, że po dobrym bankiecie wychodzi. Dusza się raduje, patrząc na takie cnoty, ale aby je znać i pojąć, potrzeba dzielić tą niedolę razem. Bóg mi świadkiem, że ona, ani przykrą ani ciężką się nie wydaje. Mój dobry Mąż ma lat 78, a sam sobie buty i suknie czyści od lat 10, pomaga mi w domowych zatrudnieniach i nigdy nas zgryzota z tej strony niedotknęła, że nie tyle mamy, coby życzyć sobie można. Gdyby tylko kraj dawał nam wsparcie, ale ileż tu obcej jałmużny. Nie tu koniec jeszcze nieszczęść naszych. Stronnictwa i pisma emigracyjne dokonały miary wszystkiego, co najboleśniejszem być może.

Skłonne, zapewnie, do niezgody serca nasze; silnie wpłynęły na nie rzucone potwarze jednych na drugich — mnożyło się takich pism bez liku; z czasem wyczerpano materye do pisania, potrzeba było szukać czem by je zapełnić. Każden popisując się z talentem pisarza, niezgłębiał rzeczy, nieszukał prawdy, pisał, co mu na myśl przyszło, a co gorsza, pisał potwarze. Rozjątrzone, tym sposobem, serca zadaleko żal swój posunęły, powstały pokątne szepty, plotki. Mężczyźni nawet poważni przejęli się tą naganną skłonnością, przeszli w sztuce obmowy płeć żeńską, pisali do kraju listy tak, jak się komu zdawało. Ci, co się tam od nas udawali, czy to w poselstwie stronnictw, czy ze swemi interesami, stosownie do swoich widoków rzeczy naciągali etc. Z tego wszystkiego, bardzo naturalnym wypływem, nastąpiła oziębłość naszych współbraci w kraju i słusznie niechęć ku nam. Intryga przemogła, zerwano z ludźmi prawymi stosunki, mylne o rzeczy i o ludziach powzięto wyobrażenie i t. p. Mam tego dowody niezaprzeczone, bo mam przed oczyma listy do mnie pisane, gdzie o jak największą proszą

łaskę, aby im nastręczyć sposobność przyjścia w pomoc swym braciom; były to listy jeszcze 39 i 40 r. pisane — dziś te same osoby umilkły. Żądałam funduszu dla prawdziwych sierót, bo bez ojca i matki, lub przyjęcia ich do domów swoich, bo to dziewczęta małoletnie były, odmówiono i to było ostatnie żądanie moje. Łatwiej jest odjąć sobie od ust ostatni kawałek chleba, aby się nim z biednym bratem podzielić, jak się narażać na odepchnięcie od serc niegdyś czułych dla siebie. O, nigdy człowiek w dostatkach, któren nieprzechodził smutnych kolei życia nie pojmie, co to jest obrażona szlachetna duma biednego! Powoli znikać poczęła z politycznego świata pełna nadziei młodzież nasza: znaczna część wymarła, wiele pożeniło się, inni nad warsztatami i nauką zasiedli, byt ich materyalny polepszył się. Ci, co do drugiej kategoryi należą, nie śmiem powiedzieć, czy ich tak, jak pierwszych, za straconych dla swej Ojczyzny uważać ich nie należałoby? Jeszcze nam pozostaje nadzieja na trzecich. Wogóle jednak sprawa Polski straciła wiele. Tem śmielej wystąpili, jeden po drugim, pretendenci do władzy: litować by się nad zarozumiałością potrzeba, albo się ubawić z takich fraszek, gdyby one nie miały wpływu szkodliwego.

Kto ma dziś pieniądze, ten ma wszystko: rozum, zasługę, zdolność, przyjaciół. Traf zdarzył się, że i na to niezabrakło funduszu i oto jedno stronnictwo więcej. Nie wszyscy przecież powabem pieniędzy pociągnąć się dali, została garstka upartych, zmęczonych okropnym stanem tułactwa, dla których już w niczem, ani w nikim wiary i ufności nie było. Dla tych zjawił się prorok Towiański — od Boga, czyli złego ducha albo Mikołaja, jak niektórzy utrzymują, zesłany. Początkowo mała liczba osób przywiązała się do niego i mało na to zważano. Następnie przylgnęli do niego ludzie, których o złą wiarę posądzić nie można, ludzie gruntowni, z rozwagą, krwią zimną i niepospolitą zdolnością. Miałabyż fatalność jakaś i tych nam obłąkać? Nie, porywczo sądzić o niczem nie można. Życzyć i [illegible] z całej duszy potrzeba, aby ta śmieszność, która tyle wywołała potwarzy skończyła się lepiej, jak my ją sobie wyobrażamy. Zdaje się, że w naturze jest ludzkiej wszystko potępiać, co robią drudzy, a do czego oni sami nie [illegible]. I ja powiadam, że Towiański nie jest posłany przez Boga, ani że, grzeszny człowiek jak on, rozmawia z Bogiem i słowa jego odnosi do nas; wiele rzeczy śmieszne, dziwaczne, niepodobne [illegible] wydają. Ale czemuż niemam dopuścić sobie tego, że ten Przedwieczny, co włada wszystkiem od wieków, nie zmiłuje się, nad [illegible] ie-

szczęśliwym narodem polskim. Dziś. jutro. — pojutrze! Czyliż dlatego niemam go sobie życzyć tego dnia zmartwychwstania Polski, że go pan Towiański przepowiada, albo żeby proroctwu jego nie stało się zadosyć?

Dosyć zostało by dla niego chwały, gdyby potrafił zaszczepić w sercach drugich gotowość poświęcenia się bez granic w sprawie ojczystej, żeby ludzie polityczni wyrzekli się osobistych widoków i zamiłowali jedynie to, co nosi cechę zbawienia. Odrzućcie od siebie nienawiść ku braciom, intrygi i zazdrość względem tychże; niemieć zarozumiałości w zdolnościach swoich, być gotowym na wszystko, co wypaść może, przyjąć stanowisko takie, jakie wypadnie etc. Czy nie są to już cnoty do wywalczenia rychłego pognębionej Ojczyzny?! Takie cnoty pan Towiański zaszczepił już w uczniów swoich. Mógł ich znieść, ale w takim razie nie potępiać, ale szanować poświęcenie się ich należałoby. Czas nam resztę wykaże. Trudno jest policzyć towarzystw, sekt etc. jakie się zawiązały w ciągu Emigracyi naszej; żadne nie doszło do tej doskonałości, aby cel zbawienny otrzymało, w żadnem nie dotrwano do końca. W charakterze to być musi naszym, że się wszystkiego nagle i bez namysłu chwytamy, a często nie mamy dosyć energii wytrwać w przeciwnościach; naturalnym stało się wypływem, że żadne z tych towarzystw nie miało miary, ani powagi, nikło jedno po drugiem i tylko śmieszność po sobie zostawiało. Byli niektórzy rodacy nasi, że przechodząc wszystkie związki, w żadnym nie nabyli przekonania, czy było które dobrem.

Wspomnieć mi tu należy, że się pojawiły 3 towarzystwa sekretne kobiet. Pierwszego niewiem jaką miały dążność i nazwę. Drugie, jak mnie zapewniono, nosiło nazwę Matek Polek — miało cel utrzymać dawne przesądy urodzenia, czyli szlachectwa. słowem różnice stanów; niezaprzeczone były tego dowody. Pan Bystrzonowski, zwolennik arystokracyi przychodził z tą propozycyą do pani Tomaszewskiej i ustawy związku tego jej zakomunikował, które ta dobra Polka odrzuciła i z czego wynikło, że się uformowało 3-cie Towarzystwo Ziemianek, celem którego było utrzymywać moralności, ludzkości i wolności ludu zasady; zachowując narodowość polską, dążnością było związku tego pozbyć się dawnych przesądów, cenić ludzi z ich realnej wartości, a tą wartością było poświęcenie się dla swej Ojczyzny bez granic. Ze smutkiem tu wyznać przychodzi, że nie mamy dosyć charakteru wytrwania w czemkolwiek. Do trzeciego z tych towarzystw miałam zaszczyt należeć; niestety, śmieszność zrobiono z tak poważnej rzeczy i dzi-

wić się nie można, że upadło jak wszystkie inne, bo upaść wszystko musi, gdzie niema jedności i wytrwania. Wiele już kobiety nasze pokazały patryotyzmu i poświęcenia się dla swej Ojczyzny bez granic; zbyt jednak mało takich liczymy, aby wytrwały do końca w tym chlubnym poświęceniu się. W małej liczbie związkowych naszych Ziemianek, rozmaite dostrzedz się dały przemiany i zdania. Wszystkie wogóle nie daleko posunęłyśmy dążności nasze. Brakło nam determinacyi, wytrwania, wiary i zgody: jedne ograniczyły się na noszeniu tytułu siostry, drugie z obawy, i tego właściwego w położeniu naszym uczucia braterstwa, lękały się — inne chciały być wszystkiem, a w istocie nie były niczem, nakoniec, były i takie, co na złą wiarę i śmieszność wystawiły całe te dążności. Dopóki Polki nie uznają tej potrzeby, że ich nieszczęśliwa Ojczyzna wymaga od nich większych ofiar nad wszystkie inne narody, dopóki wzorów dla siebie szukać nie będą, jak niegdyś było — w Sparcie, dopóki wogole niepowiedzą sobie: od nas zależy duch czasu, my Ojczyźnie naszej damy mężów, braci i synów takich, jakich dla wywalczenia praw i wolności narodowej potrzeba.. Gdy tego nie uczynią, to zawsze źle będzie: mężczyźni nasi zbyt lekce nawykli cenić płeć naszą: niektórzy są jeszcze w tym błędzie, że utrzymują, jakoby sprawa narodowa dla nas kobiet obcą być powinna; grzeszą, utrzymując się w tym błędzie — widać, że takich uczucia niedaleko się wznoszą. Przeciwnie, nam to, kobietom, ubolewać, zastanawiać się nad tem i wyrzucać mężczyznom należy, że do takiego stopnia zniewieściałości doszli, żeby ich żaden z naszych Ojców Sarmatów za swoich synów policzyć nie śmiał. Dawniej utrzymywano, że tylko kobiety czas trawiły na plotkach, obmowie i t. p. Dziś w tej sztuce wygórowali mężczyźni nasi; co powie na to Historja? Jeżeli powie prawdę, jak się spodziewać należy, to potomność nasza przekona się, że cała robota Emigracyi była dziełem, w części osobistego interesu, nienawiści, zazdrości. Potępialiśmy wszystkich i wszystko. Intrygi partye, zniweczyły piękny cel Emigracyi; szukano wyniesienia się na ruinach własnej Ojczyzny, a tem samem nie myślano już o niej, tylko o sobie. Czy potrafią kiedy sprostować historycy nasi tyle mylnie napisanych rzeczy? To tylko pewna, że jeżeli się im uda oczyścić z mylnych podań i bezstronną oddać prawdę, to w Emigracyi nie znajdą cnót i poświęceń Reytana i innych. O tem późniejsza generacya nasza wyrzec potrafi. Obecne nasze imiona zszarzane nie trafią do żadnego przekonania. Jak umilkną plotki, ludzie się osobistości wyrzekną, mężczyźni do właściwego wrócą stanu, kobiety z postępem wieku

szanowane i za obywatelki uważane będą, wtenczas, da Bóg, będzie lepiej.

Lecz jakże jeszcze wiele nam do doskonałości brakuje; w niczem zamiłować nie umiemy, co ojczyste — szukamy wzorów u obcych, tak właśnie, jakby wszystko u nas najgorszem było, tak, jakgdyby poprawić, ulepszyć nic się już u nas nie dało. Nie wszystko przecież jest dobre, co chcemy naśladować u obcych; nie cierpi duma nasza, że ci, których za model bierzemy nic naszego przyjąć nie chcą — i na tem to właśnie opiera się ich wielkość, że od wieków przyjęte zwyczaje nigdy się u nich nie zmieniają — nic nikomu dobrego nieprzyznają, a jeśli co pochwalą, to zaraz dodają, szkoda, że to nie francuska, albo nie francuskie, lubo z doświadczenia widzimy, że bardzo wiele rzeczy nie jest tu dobrem do naśladowania. My przecież, tego uznać za szkodliwe dla nas niechcemy. Da Bóg może, że my do zwyczajów i cnót staropolskich wrócimy, a długoletni pobyt nasz zagranicą nie będzie miał wielkiego wpływu na przyszłe pokolenia nasze. Strach pomyśleć, jak się wychowuje dzieci na Emigracyi naszej; wiele jest takich, które ojczystej mowy nie znają, a przecież napotykamy tu francuskie dzieci, zrodzone i wychowane na tułactwie, w obcych krajach, a nie nauczyły się tam cudzoziemskiego języka; mówią doskonale swoim, a nauczycielami ich byli: matka i ojciec ich [1]).

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Cnoty, które wzorowemi być mogą, tam ludzie, którzy prawdziwy zaszczyt narodowi czynią. Tacy ludzie i takie cnoty nie są głośne, bo oni żyją w ustroniu, nie odgrywają roli żadnej, nieszukają chluby, ubóstwo niepognębiło szlachetnych uczuć: żyją, jak mogą, bez narzekań, bez poniżenia dumy narodowej, takich mamy jeszcze wielu pomiędzy sobą. Żyjąc lat 10 po zakładach miałam zręczność przypatrzenia się z bliska złemu i dobremu. Wieleż to razy zdarzyło się ostatni grosz oddać przechodniom, którym nigdzie nie było dobrze; obiegali świat cały — niektórzy niekorzystną zostawiając po sobie pamięć — i takich trudno odepchnąć od serca i drzwi swoich, bez wsparcia, aby czasem i prawdziwie potrzebnemu bratu nie ubliżyć, lubo szlachetne i z realnego niedostatku wynikające ubóstwo łatwo jest dostrzedz w godnym człowieku. Taki się na nic i na nikogo nie żali i z całą rezygnacyą, w cichości żyje wraz z biedą swoją. Do takiego człowieka nie łatwo jest trafić z pomocą bratnią nawet! O, jakże wiele i w rozmaitych odcie-

[1]) W oryginale wycięta 1 kartka.

niach przypatrzyłam się, w ciągu pielgrzymki naszej, charakterom ludzkim. Są w naszej Emigracyi tacy, przed którymi nie wahałabym się czołem uderzyć dla ich wielkich cnót i poświęcenia się, dla ich wytrwania i skromności; takich, niestety, liczba jest mniejsza. Żeby takich ludzi pojąć, ocenić i zrozumieć, to potrzeba żyć z nimi, gdyż o nich nic nie mówią w eleganckich salonach, nic nie piszą w dziennikach, broszurkach etc. Ich wytarta suknia, nieprezentowanie się po domach możnych, niewystępowanie publiczne dowodzi, że to są ludzie niezdolni do niczego. Widzimy, jaką potrzeba odgrywać rolę, aby coś znaczyć na tym świecie i nie dziwimy się wcale, że do Was, bracia i siostry nasze, tylko głos świata przedziera się. Może i mój jest także mylny, bo każden ze swego punktu zapatruje się na rzeczy — i dla tej przyczyny zabraniam sobie dalszego rozbioru rzeczy.

*7-go Września 1842 r.* Dziś mija lat jedenaście, jak w tej własnie chwili błagałam przedwiecznego Boga, aby orężowi naszemu pobłogosławił, albo, jeżeli w jego wyrokach zguba nasza nieodzowną być miała, dozwolił zagrzebać się w gruzach stolicy naszej, które trzęsły się od huku dział. W owej chwili solennej, Ty wierz najlepiej, Boże, żem Cię niebłagała ani o zachowanie mi Męża, ani dni moich, bom czuła, żeś mi dosyć zostawił siły do zwalczenia wszelkich przeciwności, byle Ojczyzna moja ocalała. W Twoich to boskich i nieprzewidzianych wyrokach było żeś dozwolił przeżyć tą gorzka i bolesną chwilę. Dziś w lat 11, po za domem i krajem, bez rodziny i przyjaciół, błagam Cię, przedwieczny Boże, zachowaj dni tego, co całe szczęście moje stanowi — dozwól, aby kości nasze na rodzinnej spoczęły ziemi.

*13-go Listopada 1842 r.* Dziś zostałam matką chrzestną jednej z córek Zienkowicza wydawcy Pszonki. Przybywszy tu, do Paryża, na godzinę 1-wszą z południa, powitali mnie przy dyliżansie tak nazwani wyznawcy Towiańskiego i odprowadzili do drzwi tak nazwanych demokratów, bo już im dalej kroku zrobić nie należało, ani mnie wspominać o tem spotkaniu. O, jakże się mi smutno zrobiło, pomyślawszy, że my dzieci jednej Matki! Nieznałam tej rodziny, prócz Ojca: uściskałam czule, na wstępie matkę, z którą mnie związek łączy od lat kilku — troje dziatek ładnych i miłych powitało mnie także — zdało mi się, żem do rodziny mej przybyła. Wszystko tam polskie znalazłam i uradowała się dusza moja. O godzinie 4-tej odbył się chrzest; Maryą nazwana dziewczynka, już chodzić i mówić zaczyna: kumem moim doktor Korabiewicz,

przyjaciel domu. W wieczór zebrała się cała Centralizacya Towarzystwa Demokratycznego i miło mi było poznać tych ludzi i kilka godzin przepędzić z nimi.

*14-go.* Miałam się widzieć z przyjaciółmi mymi w kościółku Św. Seweryna, gdzie Towiański Matkę Boską Ostrobramską, stosownie, jak powiada, do Jej woli zawiesił na ścianie brudnego i zbutwiałego muru. Przybyłam tam o godzinie 8 zrana; weszłam, nie wiem dlaczego, z bardzo zbolałem sercem: wskazano mi Kaplicę, w której zawieszono obraz Matki Boskiej. Padłam na kolana, z pokorą, przed tym wizerunkiem; prosiłam o tą samą łaskę wlania w serce moje nadziei i wiary. Po modlitwie szukałam osób, które tam znaleść spodziewałam się, lecz prócz 2-ch nieznajomych rodaków, klęczących się przed obrazem Matki Boskiej, nikogo dostrzedz nie mogłam. Zimno, wilgoć i jakieś nadzwyczajne wzruszenie tak mnie przejęło, że mi się prawie słabo robiło. Czekałam przecież blisko dwóch godzin i nikogo się niedoczekałam. Chciałam odsunąć od siebie myśl smutną i szukać w tem milczeniu zbawienia, kiedy w tem postawiono mary przed obrazem, a głos jakiś chrapliwy zapytał mnie z tyłu: „czy Pani należysz do pogrzebu?“ — „Nie“ odpowiedziałam spiesznie. — „To odejdź stąd, bo to jest miejsce dla rodziny zmarłego“. — Obiegłam jeszcze raz kościół dokoła, widziałam jak wnieśli ciało jakiegoś biedaka i, więcej jak kiedykolwiek, z uciśnionem sercem, oddaliłam się z miejsca, gdziem się pociechę znaleźć spodziewała. Przed kościołem wóz pogrzebowy i człowiek w żałobie; dziwna rzecz — w Paryżu, ulica tak pusta. Nie miałam kogo zapytać się w którą stronę pójść potrzeba na na ulicę Mozarin, a do człowieka w żałobie zbliżyć się nie miałam odwagi; szłam więc prosto i zaszłam tam, gdziem zamierzyła. Tego samego dnia powróciłam do ukochanego mi Męża, bez którego, 24 godzin zdały mi się bardzo długie i pełne niepokoju.

*29-go.* Było przygotowań wiele, ale jak się odbyło, nie wiemy. My tu, wewnętrznem życzeniem wszelkiego dla naszej Ojczyzny dobra, obchodziliśmy ten dzień święta narodowego.

*30-go.* Mamy już wszystkie detale obchodu 29-go. Mówiono wiele, nic nie powiedziawszy nowego; zastanowiło niektórych wystąpienie publiczne kilku osób; mówią, że to na przekorę Panu Rybińskiemu, któren rości sobie prawo do władzy. Cokolwiek bądź, obchód tegoroczny zupełnie przybrał inną barwą — nie niepotępiono, chwalono nawet, co w przeszłości zdziałano dobrego dla Polski. Prorocy spowiadali się wszyscy i tyle, ile ich jest komu-

nikowali. Karol R.[1]) posunął swą pokorę aż do przeproszenia G. D.[2]). Kazanie X. Kajsiewicza miało być dobre.

*1-go Stycznia 1843 r.* Jeszcze w Chontilly. I rok nowy zaczynamy, a żadna z przepowiedni nie ziściła się. O, Boże, przebacz ludziom, co Twoje wyroki badać chcą i podług Twej woli zarządź nami! Niestety, zdaje się, że Towiański odurzył nam ludzi prawych i cnotliwych; już oni, zdaje się, zgubieni są dla towarzystwa i świata. Co chwila nowy nam zjawia się aktor na scenę. Jakiś Pan Jabłonowski wydał broszurkę, po francusku, bluźnierczą: stawia pod pręgierzem naród cały; dosyć tu powiedzieć, że porównał Kościuszkę z Ramorinem. Powiadają, że on tylko jest narzędziem osób, które przez różnych autorów chcą wmówić, że Czartoryski królem polskim być powinien i ma prawo. O, bieda, bieda narodowi, którego by król tym sposobem po koronę sięgał!

[1]) Różycki.

[2]) Gen. Dwernickiego.

Dr. Józef Frejlich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Wyprawa Zaliwskiego 1833 r.

## CZĘŚC DRUGA.

### Partyzantka.

(Ciąg dalszy).

Z obywatelstwa w Galicyi wschodniej odznaczyli się gorliwą pomocą przedewszystkiem wspominani tu kilkakrotnie oboje Ulatowscy [1]) w Laszkach, Dzieduszycki i Hermann w Rzepniowie; w Derewlanach Marcin Zamojski, w Lubieniu Jabłonowski; ci wszyscy stale gościli u siebie emigrantów i nie odmawiali też przytułku i pomocy emisaryuszom. Trudnoby wymienić wszystkich obywateli w Galicyi wschodniej, ktorzy robocie partyzanckiej sprzyjali lub z pomocą jej przychodzili; roji się w aktach od nazwisk obywateli galicyjskich: Koziebrodzcy, Drohojowscy, Starzewscy, Modzelewscy i tyle innych pomniejszych domów szlacheckich i nazwisk. Wielu z nich zupełnie nieświadomie, gościnnością tylko przychodzili partyzantom z pomocą.

Pozatem w okolicy Lwowa i w tarnopolskiem przebywali: Seweryn Goszczyński, Łucyan Siemieński i Wincenty Pol, którzy czynny i gorliwy brali udział w tem wszystkiem, co z wiosną z 1833-go działo się w Galicyi, jakoteż w tem działaniu, które się wkrótce potem z tej pracy wyłoniło.

---

[1]) Eugeniusz Ulatowski ur. 8-go Novembra 801 albo w Lwowie albo w Zadubiach cyrkuł Żółkiewski, żona Tekla z Korytowskich, — Laszki trzymał w dzierżawie.

Cały ruch partyzancki, który wyszedł z Galicyi skończył się jak widzieliśmy, źle, rzec można opłakanie. Nim się jednak zastanowimy na czyj rachunek złożyć winę za nieudanie się przedsięwzięcia, należy się przenieść jeszcze na drugą linię nadgraniczną zaboru rosyjskiego, którą inni emisaryusze Zaliwskiego przekroczyć mieli równocześnie, mianowicie na granicę W. Ks. Poznańskiego. Stąd również wielka ilość okręgowych wkroczyła do Polski, znalazłszy tam jednak po długiej tułaczce tylko śmierć męczeńską.

Wyruszający z Francyi okręgowi rozchodzili się w Dreźnie; jedni z nich drogą na Czechy podążyli do Galicyi inni znowu ku granicy pruskiej, gdzie znajdowali przyjęcie w domu barona Finka, jednego z głównych działaczy rewolucyjnych w Niemczech. W Poznańskiem na granicy pruskiej przyjmował ich hr. Stanisław Mielżyński, do którego mieli okręgowi już poprzednio polecenie. W samem Księstwie przygotowaniem miał się zająć, jak podano powyżej Krakowski. Zaliwski obwinia go, że przyrzeczeń danych na Podgórzu nie wypełnił, nawet na listy Zaliwskiego nie odpowiadał; mimo to jednak pierwszy okręgowy Sierzputowski, który z końcem lutego 1833 stanął w poznańskiem, — miał właśnie list polecający do Krakowskiego; Zaliwski prosił go o pomoc, dla chcącego się przedostać do kraju [1]). Sierzputowski był okręgowym w województwie podlaskiem w okręgu bielsko-radzińskim.

Przez granicę w Poznańskiem przeprawili się ponajwiększej części ci, którzy mieli okręgi w województwie mazowieckiem z wyjątkiem Szpeka, wszedł on do Królestwa jak wiadomo przez Galicyę. Najczynniejszym okazał się w tem województwie okręgowy warszawsko-sochaczewski Artur Zawisza-Czarny, sławny później z powodu swej śmierci męczeńskiej. Urodził się Zawisza w Sobocie w województwie mazowieckiem [2]). Studya odbywał w Warszawie w kolegium Jezuitów; uczęszczał następnie tam na uniwersytet, na wykłady prawnicze. Trochę poeta, dziennikarz, spiskowiec i żołnierz rewolucyjny, bierze udział w bitwach pod Białołęką, Grochowem i Ostrołęką. Rozpocząwszy od szeregowca, ukończył powstanie w randze kapitana 8-go pułku ułanów jazdy województwa płockiego, ozdobiony krzyżem waleczności. Należąc do twierdzy Modlina doczekał się w niej końca powstania, po którego upadku przez Prusy poszedł na emigracyę do Francyi —

[1]) Zeznania Krakowskiego.

[2]) Straszewicz str. 590.

do Paryża. Przekonań skrajnych, był jednym z najgorliwszych członków towarzystwa demokratycznego, należał także do lóż massońskich w Paryżu. Pod koniec r. 1832 zjednany został przez Zaliwskiego dla sprawy i przyjęty do towarzystwa węglarskiego w Paryżu; on sam zjednał następnie swego przyjaciela i towarzysza z wojny ostatniej, również kapitana 8-go pułku ułanów, bawiącego czasowo w Belgii: temu przeznaczył Zaliwski okrąg płocko-lipnowski w województwie płockiem.[1])

Zanim Zawisza w podróż ruszył udał się do Bourges, gdzie chciał według instrukcyi Zaliwskiego zwerbować sobie mały oddział, z powodu jednak niezgody i kłótni, panującej w tym zakładzie, nikogo nie nakłonił, z paszportem przeto na imię Bazalla wystawionym wyruszył około 20-go lutego z Paryża przez Belgię. Około 10-go marca stanął w poznańskiem we wsi Turzna, własności Działowskich. Nie mogąc zaś dość szybko uformować oddziału, postanowił na razie sam przekroczyć granicę w oznaczonym terminie, przemknąć się ku Warszawie, a przedewszystkiem w rodzinnej Sobocie odszukać proboszcza Ojrzewskiego, u którego spodziewał się znaleźć pomoc.

Z końcem marca przekroczył więc Zawisza w przebraniu chłopskiem granicę we wsi Złotoryja, przedzielonej rzeką Drwęcą między Lubiczem a Wisłą. Według ułożonego planu poszedł w województwo mazowieckie, zbadał dokładnie stan kraju, przyczem zauważył, że rząd ma się na baczności i w każdej najmniejszej nawet wiosce ustanowione są straże wieśniacze. Około 11-go kwietnia wrócił w poznańskie do Turzna, gdzie odebrał wiadomość o przybyciu Borzewskiego, który już od niejakiego czasu bawił w okolicy Chełmna uchodząc tam za kupca wełny, zbierał właśnie oddział, aby z nim wkrótce wkroczyć do Królestwa. Zawisza postanowił przyłączyć się do oddziału Borzewskiego i z nim razem wejść do Polski dnia 24-go kwietnia; punktem zbornym był las Karczewski nad Drwęcą. Zeszli się tam: zwerbowany przez Zawiszę Grzegorz Zając były żołnierz polski, Kurella obywatel z poznańskiego ze służącym Antonim. Zawiszę odprowadził obywatel Kosowski. Później nieco przybył Borzewski z akademikiem Kowalewskim, byłym oficerem 18-go pułku piechoty; obywatel Wilczewski przyprowadził Wojtkiewicza, Siedleckiego i służącego na przewodnika; przybył także obywatel Suleżycki. Obywatele ci przywieźli na brykach broń i żywność.

---

[1]) Zeznania Zawiszy.

Z wieczora mieli się przeprawić naprzeciw wsi Płomice, leżącej w Królestwie, na powiązanych liną tratwach, na rzece Drwęce płynących. Przeprawa nie udała się jednak, musiano wrócić w las i przeczekać dzień. Dopiero wieczorem 30-go kwietnia przeprawili się, a 1-go maja przeszli granicę we wsi Rudziszkach Małych w obwodzie lipnowskim. W Rudziszkach stał w chacie wieśniaczej posterunek kozacki; celem zdobycia broni dla swego oddziału postanowił Zawisza napaść na ten posterunek: dwóch więc z oddziału: Antoniego Aksamitowskiego i Kowalewskiego postawiono na pikiecie koło karczmy, reszta zaś sześciu ruszyło ku chacie. Przed chatą nie było nikogo, było w niej ciemno zupełnie i zamknięta była od wnętrza zaporą. Chcąc zbadać, czy w niej są kozacy w istocie i żeby ją otworzono, zapukali partyzanci do okna i jeden z nich przemówił po rossyjsku „zapisku prynoszu bratiec“. Na to wezwanie otworzył jeden z kozaków drzwi chaty, natychmiast wpadli partyzanci do wnętrza z impetem. W chacie było około sześciu kozaków, których wkrótce strzałami uprzątnięto, jeden tylko zdołał umknąć.[1]) Stąd, zabrawszy wszelką broń, którą znaleziono, ruszył oddział dalej w lipnowskie. We wsi Chojna, własności Borzewskiego, przyłączył się do oddziału dezerter moskiewski Morozow. Obywatelstwo w stronach, którędy oddział przechodził okazywało wiele życzliwości partyzantom: Wilczewski z Jastrzębia, Ostrowski, który przyrzekł agitować wśród obywateli, Zieliński z Kierza, Hupryk cukiernik z Lipna, Mystkowski, Rościszewski i Grewkowicz z Lenia. Do wójtów i gmin wydał Borzewski odezwę, aby nie szli na partyzantów z obławami i nie ścigali ich. Po dokonanym bowiem napadzie na posterunek w Rudziszkach urządzono w tych stronach obławy. Wreszcie widzieli się partyzanci zmuszeni około 13-go maja rozdzielić dla większego bezpieczeństwa oddział i po kilku rozmieścić po domach obywatelskich. Kurella ranny jeszcze w Rudziszkach został u Zielińskiego w Kierzu; Siedleckiego wziął do siebie Grewkowicz; Zawisza, Wojtkiewicz i Aksamitowski zostali u Mystkowskiego; Borzewski udał się do szwagra swego Czermińskiego w Gorzakowie. Tu bawiąc wydał Zawisza dwie odezwy do obywateli i do Żydów z datą „w maju na ziemi polskiej“. Cały czas przymusowej nieczynności obracał jednak na jednanie ludzi do swego oddziału, i obywatelstwo dla sprawy. Udało mu się w istocie zjednać Kownackiego z Dyblina,

[1]) Zawisza miał następnie ów napad nocny wierszem opisać, który przy nim po aresztowaniu znaleziono.

byłego wojskowego, i Kowalewskiego; prócz tego werbował dla niego ludzi Mystkowski i Rościszewski; Podoscy zaś z Fabjanek i Chełmiccy z Witoszyna dostarczyli broni. Zwolna więc formował Zawisza dla siebie oddział partyzancki. nie miał bowiem zamiaru, mimo piętrzących się trudności zaniechać działania. Borzewski natomiast, zupełnie zniechęcony, nie chciał się podejmować nowych prób i radził odłożyć przygotowania na sposobniejszą porę, lub ich zupełnie zaniechać. Wreszcie postanowił Zawisza ruszyć się z miejsca i zebrawszy swój oddział rozpocząć dalsze przemykanie się w głąb kraju do swego województwa.

W lasach tulibowskich nad Wisłą naznaczył miejsce zboru. Przybyli tu: Julian Rościszewski z Wierznicy, Aleksander Palmart i Dąbkowski oświadczając, że chcą należeć do partyzantki; stawili się dawniej zwerbowani Wojtkiewicz, Portella czyli Zając, Morozow, Kisielewski, Siedlecki. Antoni Luboradzki i Hilary Weber. Przez Wisłę jednak, jak początkowo zamierzano, z powodu braku wioseł przeprawić się nie mogli, ruszyli przeto dalej lasem, ciągnącym się między wsiami Krojczyn i Szpiegowo ku Płockowi. Tu również w dalszym przechodzie znaleźli się obywatele. którzy nie odmówili partyzantom pomocy: Ostrowita. Karwosiecki z Nasiegniewa, Łempicka obywatelka z pod Płocka; udzielali oni chętnie żywności, broni a niekiedy i przytułku. Niedaleko Włocławka znowu wydał Zawisza odezwy do obywatelstwa opatrzone pieczęcią (zrobioną z marmurowej solniczki pani Łempickiej) z napisem „Polska — Litwa" dołem „Zemsta ludu"; tu też pouczył Zawisza swój oddział o obowiązkach partyzanta i ogłosił cel wyprawy swego oddziału. Miał mianowicie zamiar udać się do Warszawy, gdzie miano się postarać o zniszczenie garnizonu, choćby nawet przez użycie tego ostatecznego środka. jak zatrucie wody w studniach koszarowych i zabicie księcia Paskiewicza gubernatora Warszawy. Wreszcie około 20-go czerwca przeprawił się oddział przez Wisłę i wysłał Palmarta z odezwami, żeby je rozdał w Włocławku. Skutek tych odezw był jednak minimalny, gdyż jeden tylko człowiek przyłączył się do oddziału: niejaki Wiśniewski. Zamiaru napadnięcia na Włocławek musiał więc Zawisza zaniechać, nie miał bowiem odwagi ze swoim małym oddziałem napaść na załogę wynoszącą około 60 głów. Na wszelki jednak wypadek, przygotowując się do starcia w myśl instrukcyi, zamianował Wojtkiewicza swoim następcą w razie śmierci lub dostania się w niewolę. Minął więc oddział Zawiszy Włocławek. gdy pod wsią Krośniewicami napadł ich patrol kozacki. Po krótkiej utarczce

oddział poszedł w rozsypkę; wielu zaś dostało się do niewoli: Dąbkowski, Palmart, Paweł Wojtkiewicz, Grzegorz Zając, Ignacy Moroz i sam dowódca Zawisza.[1])

Inny okręgowy województa mazowieckiego, okręgu gostyńsko-kujawskiego Antoni Winnicki.[2]) kapitan II. klasy artyleryi, również przez poznańskie wszedł do Królestwa. Z listem polecającym od Zaliwskiego do Krakowskiego wyjechał Winnicki z Paryża, w Lyon otrzymał paszport na własne nazwisko, które zapomocą chloryny wymazał i zmienił na Wannocki mechanik. Drogę odbył z Piszczatowskim okręgowym drohiczyńsko-bielskim w gubernii białostockiej na Litwie, z Leonem Zalewskim sąsiednim swoim okręgowym w województwie mazowieckiem w okręgu rawsko-łęczyckim i z Duńskim. W przeprawie z poznańskiego do Królestwa pomocny był Winnickiemu obywatel Kreski, który go zawiadomił o przybyciu już do Domania majątku Sulmirskiej, obu jej synowców Faustyna i Walentego. Z nich jeden był okręgowym w województwie kaliskiem w okręgu kalisko-konińskim; bawi tam również z nimi Piszczatowski. Około 4-go marca przebył Winnicki granicę Królestwa furmanką, przysłaną mu przez obywatela Królestwa Jakóba Psarskiego z Wielkiego.

We wsi Lubna niedaleko granicy dał mu ekonom, dawny towarzysz wojskowy — świadectwo z pieczęcią gminną, wystawiwszy je na nazwisko Górskiego pisarza prowentowego, który bryką i końmi jedzie za pańskim interesem do miasta. Przybył tak do Wrocławka w województwie mazowieckiem. Niedaleko Piotrkowa skomunikował się ze szwagrem swoim Więckowskim z Piotrkowa, Filipem Grodzickim i Łęczewskim z Białej, który miał być jego zastępcą. Zażądał od nich, żeby się zebrali we wsi Białej za Gostyninem, gdzie się naradzić miano nad dalszem działaniem. Gdy przybył do Białej nie zastał tam jednak nikogo, ostrze-

[1]) Źródła do wyprawy Zawiszy: Zeznania pojmanych z jego oddziału.

[2]) Urodził się w Kłodawie wojew. mazow. r. 1800. W r. 1814 wstąpił do wojska, do artyleryi lekkiej konnej bateryi drugiej. 1820 awansuje na pporucznika a 1829 dostaje dymisyę. Po wybuchu powstania na nowo powraca do wojska — rewolucyę kończy w randze kapitana. Z Prus dokąd wszedł po upadku powstania udaje się Francyi; bawił tu dłuższy czas w Paryżu, gdzie należał do Towarzystwa demokr.. a następnie celem zbierania podpisów na prośbie do izby dep. angielskiej wysłany został do Awignon. Tu zjednany przez Dziewickiego dla sprawy, przez Królikowskiego przyjęty do towarzystwa węglarskiego.

żono go natomiast, że obławy są na jego tropie, wrócił przeto do Więckowskiego do Piotrkowa, gdzie go jednak w mieszkaniu szwagra aresztowano.

W tych samych stronach także Faustyn Sulmirski zgromadził oddział partyzancki; pomocni w tem byli mu obywatele, których poprzednio jeszcze wtajemniczył główny agent dla poznańskiego Adolf Zaleski[1]). Obywatele ci: Kreski z Grembanina, Rekowski z Rudniczyska i Wiesiołowski z Strzyżewa trzymali w pogotowiu już zwerbowanych do partyzantki ludzi w nadgranicznych miejscowościach. Tak zwerbowany został Felix Bugajski podoficer w czasie rewolucyi, Stanisław Ostrzycki również exwojskowy. Obaj czas jakiś bawili w Bobrownikach u obywatela Albina Byliny; z nimi połączyli się przybyli z Francyi a bawiący w sąsiedniej wsi w Rudniczyskach własności Rekowskiego: Sperczyński, Duński albo Dunieccy — obaj akademicy warszawscy. Duński zaś okręgowy mławsko-przasnyski w województwie płockiem; Racięski i Antoni Chełmicki exwojskowi. Mieli oni zamiar połączyć się właśnie z oddziałem Sulmirskiego, operującego w tych stronach. Około 29-go kwietnia zeszli się wszyscy w lesie Bendkowskim niedaleko wsi Wąglewa, gdzie miał się znajdować skład broni, nagromadzonej dla oddziału[2]).

Prócz wyżej wymienionych, których przyprowadził Duński, przywiódł ze sobą Sulmirski 5-ciu ludzi t. j.: Faustyn Sulmirski dowódca, Polichnowski akademik, Egersdorf ex-wojskowy przybyły z Francyi, Antoni Hankiewicz oficer 4-go pułku ułanów i Antoni służący Sulmirskiego.

Oba te oddziały ruszyły złączone w głąb kraju i dalej wspomagane przez obywatelstwo województwa mazowieckiego i kaliskiego, przez które partyzanci przechodzili. Udzielał więc pomocy obywatel Karsznicki, Filip Sulmirski z wsi Brzeska, Prądzyński z Bilewa, Szymon Otocki z Malanowa, Cielecki z Szydłowa i inni. Dnia 3-go maja udało się partyzantom, przechodzącym przez miasteczko Szadek, znieść oddział kozacki: stąd przeszli w bród rzeczkę Ner w Łęczyckie.

8-go maja czytano dopiero oddziałowi instrukcyę i postanowiono skierować się ku Piotrkowi i Łodzi: już jednak 13-go maja został oddział partyzancki napadnięty w lesie janowickim, i po części poszedł w rozsypkę, po części zaś wpadł w ręce huzarów.

---

[1]) Zeznania Felixa Bugajskiego.

[2]) Zeznania Racięskiego.

Los ten spotkał, do ostatniej chwili broniącego się Bugajskiego i Sylwestra Racięskiego.

Sąsiednim okręgowym Piszczatowskiego na Litwie w gubernii białostockiej w okręgu białostocko-sokulskim był major Józef Horodyński [1]), autor historyi powstania listopadowego w języku angielskim. Mając polecenie do Finka i Mielżyńskiego, przeprawił się przy pomocy tego ostatniego i innych obywateli poznańskich przez granicę do Królestwa. Zewsząd, jak zeznaje, odbierał dowody sprzyjania zamiarom jego, obywatelstwo bowiem wiedziało już o emisaryuszach, gdyż przejeżdżali tą drogą okręgowi: Wołłowicz, Świętosławski, Rupelewski i Wesołowski. Przeszedłszy granicę, skierował się Horodyński w stronę Piotrkowa. Wszędzie po drodze mówiono mu o Duńskim zbierającym oddział w mławskiem i o Piszczatowskiem, który w bielskiem i drohiczyńskiem się krzątał. W tych stronach spotkał się także z księdzem Pułaskim, który jako emisaryusz na Litwę podążał. Na Litwie głośno mówiono o czynnym bardzo okręgowym Marcelim Szymańskim, który w okolicy Grodna najwięcej działał w kołach młodzieży. Szymański wysłany na Litwę najpierw przez Lelewela, potem dopiero przez Zaliwskiego naznaczony na okręgowego w okręgu grodzko-lidzkim w gubernii grodzieńskiej odegrał następnie smutną i mało zaszczytną rolę delatora [2]). Na razie działanie jego było faktycznie aż do zuchwa-

---

[1]) Ur. w Stryju w Galicyi (lat 38). Nauki w Wiener-Neustadt: w 1813 wstąpił do wojska austryackiego, w 1820 uzyskał dymisyę jako podpor. i udał się do Warszawy, gdzie uzyskał posadę inżyniera w dyrekcyi dróg i mostów. W r. 1825 z rozpaczy po śmierci żony i dzieci bierze udział w kampanii tureckiej jako podpor., w następnym roku bierze dymisyę i w randze porucznika wraca do Warszawy na dawną posadę; na której do 29-go listopada 1830 pozostał. Rząd rewolucyjny powołał go do służby wojskowej w randze kapitana do formującego się pułku jazdy podlaskiej — jenerał Załuski mianuje go swoim adjutantem. Po bitwie pod Ostrołęką przeznaczono go do szwadronów jazdy poznańskiej z którymi wszedł z korpusem Giełguda na Litwę. Zostaje 8-go lipca majorem 10-go p. ułanów litewsk. i w tej randze z korp. Rolanda wkroczył do Prus. Udał się następnie do Ameryki do Bostonu, tu wydał po angielsku historyę rewolucyi listopad. Z Ameryki udał się do Francyi 22-go sierpnia 1832, chciał tu propagować utworzenie kolonii w Ameryce, nie zyskał jednak aprobaty ani Lelewela ani Laffayetta i tu pozyskany dla wyprawy Zal. wyjechał do Polski wraz z innymi. (Arch. kraj. Fasc. XI.: zeznania w komisyi śledczej w Warszawie d. 15/27 marca 1834).

[2]) Prócz tego, że Szymański wydał nazwiska tych wszystkich obywateli litewskich, z którymi miał jakąkolwiek styczność, przewie-

łości śmiałe: planował mianowicie napad na Grodno wspólnie z Horodyńskim i ten mu dopiero z trudem odradził tak niebezpiecznej gry. Horodyński bowiem zdołał się był już do tego czasu rozczarować i dojść do przekonania, że całe działanie nie odniesie pożądanego skutku. Pod koniec maja przeto cofnął się z powrotem do granicy Poznania, przekroczył ją w przebraniu chłopskiem i czas jakiś tułał się po W. Księstwie, wreszcie zatrzymany został jako włóczęga bez paszportu. Osadzony najpierw w więzieniu w Gdańsku, następnie w kazamatach Weichselmünde, został ostatecznie w marcu 1834 roku wydany Rosyi.

Razem z Szymańskim działał w gubernii grodzieńskiej Michał Wołłowicz w okręgu słomińsko-nowogrodzkim, rodem bowiem z tych stron, miał tu wielu przyjaciół wśród obywatelstwa i zwolenników wśród wieśniaków, którzy mu chętnie przychodzili z pomocą. Zjednał więc nieco ludzi i z tymi rozpoczął swoje działanie od napadu na pocztę, który mu się wprawdzie powiódł, ale temsamem zaalarmował rząd, który zarządził poszukiwania [1]). Tułającego się po lasach ujęto ostatecznie jak tylu innych, zapomocą obławy urządzonej z chłopów, z innych okolic spędzonych. Podobno dla schwytania Wołłowicza 12.000 chłopów spędzono [2]).

Szymański na wieść o aresztowaniu Wołłowicza, nie czując się dość bezpiecznym w gubernii grodzieńskiej, podążył pod Wilno. Tu równie śmiało sobie poczynał, po dwóch jednak tygodniach został wyśledzony, a po dwóch następnych, w których przypatrywano się jego postępowaniu i robocie ujęty. W Litwie zresztą rząd rosyjski z szczególną zaciekłością urządzał obławy na emisaryuszów — następnie po ich ujęciu rozpoczął się długi szereg aresztowań wśród obywatelstwa, które z najmniejszą choćby pomocą przychodzili emisaryuszom: najopłakańsze jednak skutki pociągnęło za sobą aresztowanie Szymańskiego. [3]) Z innych emisaryu-

---

ziony dla ważności swoich zeznań do Petersburga ofiarował się za cenę wolności powrócić na emigracyę w roli szpiega. Dalsza jego działalność w tym charakterze nieznana. (Tygodnik Emigracyi polskiej 1834, str. 25 i 33).

[1]) Kronika emigracyi polskiej T. III., str. 195. Wyjątek z listu opisującego stan Litwy w r. 1834 po wyprawie uskutecznionej przez współtułaczy naszych z Francyi do Polski.

[2]) List Pietkiewicza z Tours 15-go sierpnia 1833.

[3]) List Pietkiewicza z Tours 23-go paźdz. 1833. — „Szymański okropnie śpiewa, z jego łaski uwięzieni Putkamerowie, Rymsza, Römer, Rogalski, Brzostowski i inni. Niektórzy mają już być powieszeni. Na nieszczęście, że on może wyspiewać wiele z powstania 1831. Porusza uśpione rzeczy".

szy działał tu jeszcze na Litwie Napoleon Nowicki przeznaczony dr gubernii witebskiej na okręgowego do powiatów witebskiego i rodowskiego. Przybył on tu również przez poznańskie, gdzie wśród obywatelstwa tamtejszego działał w duchu demokratycznym i tem samem zapoczątkował niejako pracę później w celu zakładania tu związków przysyłanych emisaryuszy. Podobno zapędził się Nowicki aż pod Mińsk i Słuck, wszędzie jednak po smutnym końcu innych emisaryuszy strach tylko i przerażenie spotykał. W ślad za Nowickim krążył po Litwie Buleski ze swoją misyą powstrzymywania obywatelstwa; tu jednak misya jego nieudała się zupełnie, zaszkodził sobie Buleski narzekaniami na Lelewela, którego mir na Litwie był bardzo wielki, i nic nie zdziaławszy cofnął się do Galicyi. To samo niedługo potem uczynił i Nowicki, bo mimo nieudałej misyi Buleskiego stosunki na Litwie były tego rodzaju, że dalszy pobyt był tam bezcelowy; „W Litwie duch obywatelstwa — zdaje Nowicki relacyę — ciągle płochliwy, radzi aby coś było, lecz by ich nie mieszano. Prosty lud bardzo dobry szczególnie na Polesiu, Pińszczyźnie i Żmudzi. Dezercya w wojsku moskiewskiem niesłychana....“ [1]). Udało się jednak Nowickiemu tyle zdziałać, że kilku obywateli przyrzekło mu zarządzić składki pieniężne, i wysłać celem porozumienia się z Galicyanami zaufaną osobę.

Wśród emisaryuszy litewskich znajdował się również sławny za lat kilka Szymon Konarski. Mianowany przez Zaliwskiego okręgowym w województwie augustowskiem w okręgu maryampolsko-kalwaryjskim kręcił się czas jakiś na Litwie, poczem widząc bezcelowość narażania się — cofnął się w poznańskie, skąd wrócił na emigracyę.

Taki był koniec partyzantki Zaliwskiego.

Wielki plan Zaliwskiego nie utrzymał się długo; już bowiem w maju wszystkie oddziały [2]) były rozprószone, większa część okręgowych i partyzantów ujęta, a pozostali z trudem ukrywający się emisaryusze nie czując się bezpiecznymi pod okiem rządu szybko cofali się z Królestwa i Litwy, ażeby w poznańskiem i w Galicyi rozpocząć pracę o innym zupełnie pokroju; pracę od podstaw. Przekonano się bowiem dowodnie, że dotychczasowe przygotowania były zupełnie niedostateczne; przekonano się, że poza bezgrani-

[1]) Cytowany list Dmochowskiego z 7-go czerwca i 12-go lipca do Pietkiewicza w liście P. z Tours 15-go sierpnia 1833.

[2]) Z wyjątkiem oddziału Zawiszy, który wytrzymał do czerwca.

cznem poświęceniem jednostek szerokie masy trudno poruszyć, że od nich przeto należy rozpocząć. Pierwszy bowiem błąd, jaki popełnili ci, którzy wyprawę przygotowali był właśnie ten, że na podstawie płonnej, bo doświadczeniem nieuzasadnionych nadziei wzniecenia wojny ludowej konstruowano plan cały. Z tego błędu wyniknął drugi: ufność w współdziałanie Europy, bo i tam mimo bezwątpienia bardziej rozpowszechnionego zrozumienia idei wolnościowych nie można było bezwzględnie rachować na tę część narodów, o których prerogatywy chciano toczyć walkę.[1] I tam bowiem z zapowiadaną rewolucyą stało się to, co z wyprawą partyzancką w Polsce: spełzła na niczem, zmalała do zera. Napad na straże miejskie w Frankfurcie, który miał być hasłem (i tak już spóźnionem) do ogólnego w Niemczech powstania, skończył się tego samego dnia jeszcze (3-go kwietnia 1833) fatalnie dla rewolucyonistów, bo zainicyował jedynie masowe aresztowania, procesy, prześladowania.

W innych krajach: we Francyi, Włoszech, Węgrzech nie przyszło wcale do wybuchu — sukurs więc spodziewany zawiódł najzupełniej. Jeżeli przeto teoretycznie plan ogólnej rewolucyi w Europie przedstawiał się ogromnie obiecująco, to w praktyce był on na razie tylko mrzonką, do ziszczenia której potrzeba było jeszcze 15 lat pracy, spiskowania, prześladowania.

Czy jednak niezrozumienie tego stanu rzeczy, zbytnie niejako zaufanie w swoje szansy było istotnie winą? — Zważyć należy, że środowisko, w którem się przyjął plan Zaliwskiego, było zupełnie odmienne, nie przeciętne. „Ogół polski na emigracyi, był z małymi tylko wyjątkami — wyznawcą jednej idei i jednakie żywił nadzieje na przyszłość; trudno tam było o refleksye, — te pojawiły się dopiero później, kiedy już z terenu działania przybywać zaczęły smutne i krwawe wieści; wtedy dopiero podniosły się liczne i głośne narzekania na „przedwczesność“ wyprawy, ale

---

[1]) Dopiero dużo później rozczarował się pod tym względem sam Zwierkowski... (Rkp. zap. roczniki 57 r. list do Lel. 15-go listop. 1833). „Co do ducha Niemców — pisze on — gniewa mnie bardzo im bardziej się rozpatruję, tem więcej widzę, jak daleko oni są za nami a dopiero za Francyą. Wszakże tu ani jednej gazety liberalnej francuskiej nie mają. Uniwersyteta w Heidelberg i Freiburg, gdzie byłem zniszczały, zabroniono zagranicznym, może po 500 uczniów tylko w każdym. [illegible] biedni, co od rządu dostają z tego żyją i rządu piosnkę [illegible]. [illegible] Rottek, co wotował przeciw żydom wielbiony, jest to juste milieu francuski“.

i wówczas jeszcze znalazł słowo obrony Lelewel w przepięknym liście do Dwernickiego. List ten uważać można za apologię niejako działań z r. 1833-go przed podniesionymi ze wszech stron zarzutami pod adresem Lelewela. — „Kiedy się wiązała konfederacya Tyszowiecka za Jana Kazimierza — pisze Lelewel [1]) nie pytała: czy czas? Pokonywany Czarniecki. nie pytał, czy czas? I ty Jenerale nie pytałeś. czy czas? w attaku na swoich wołając: idźcie, bijcie, bierzcie — i biłeś Moskali. Ale przed 29 listopada, kiedy mi Wysocki i Zaliwski polecili wyrozumieć ludzi poważnych, ludzi w znaczeniu będących; każdy mi nieledwie powiadał: nie czas. Wszakże okazało się doświadczeniem, że był jakokolwiek czas, i czas ten minął. inny bieży! I dziś są co wołają nie czas! Bezwątpienia, że wielkim i ponowionym krzykiem zmniejszą czas! Odpowiedzą oni potomności! — Ale kiedy już nieufność starła akcyę narodową wtedy *szkoda* było stracić pozyskanych laurów, i Moskale pod Warszawę podeszli: *szkoda* było pięknych murów stolicy. i Moskale Warszawę zajęli; *szkoda* było stracić konstytucyi i ośmiu województw; i dziś jest statut ograniczony, a dzieci od łona matek odrywane. Jenerale! jesteś ojcem i czuć umiesz. *Dziś* właśnie barbarzyństwo to pomnaża wściekły tyran. Ułożył sobie peryodycznie herodowe dopełniać morderstwo, i *jeszcze nie czas? Dziś* zacnym fanatyzmem niesiona młodzież puszcza się walczyć, jestże czas wołać: nie czas! A są przecie dyplomatyczne głosy, co tak wołać nie przestają: co krzyczą zbrodnia! Ciężko oni odpowiedzą potomności!"

Jak wielki był od początku zapał na emigracyi dla uczestniczenia w ogólnej rewolucyi narodów świadczy dowodnie choćby masowe wyruszenie całego zakładu Besançon (jako najbliższego granicy) do Szwajcaryi na wiadomość o ruchach w Niemczech. Dotrzymali Polacy Niemcom danego przyrzeczenia. wyruszą na pomoc, skoro tylko w Niemczech o wolność walczyć będą [2]) i na wezwanie Gartha z Frankfurtu natychmiast wyszli z Francyi. żeby przez Szwajcaryę wkroczyć do Niemiec. „Powinność, rozpacz i interes nam wspólny; serce i uczucia; sumienie i dążność powołują nas na obronę wolności Niemiec" tłumaczą się wyruszający

[1]) Borkowski Pam. str. 130.

[2]) Aktenmässige Darstellung: Garth pisze do Koseritza: „Nur losgeschlagen, kein Blunt geschont! Die Polen brechen auf aus Besançon ich habe sie bestellt, sie werden durch die Schweiz in Deutschland einfallen".

w odezwie do Komitetu Dwernickiego. — „Udajemy się w masie, chorągiew narodowa nam przewodzi. Tym krokiem wskazujemy ludom, że winni sobie wzajemne wsparcie" [1]). Za przykładem Bezansończyków poszło też wielu z zakładów w Salins w Dijon, inne zaś stały w pogotowiu i czekały na dalsze wezwanie braci z nad Renu. [2])

Trzecią wielką pomyłką w obliczeniach inicyatorów wyprawy było przekonanie, że z zawikłań politycznych w Europie bezwarunkowo korzystać należy i według nich układano plany działania. Mniemanie to w teoryi słuszne, w praktyce zawiodło również. Zachmurzony bowiem z powodu spraw wschodnich horyzont europejski rozjaśniał się właśnie coraz bardziej z powodu innych mocarstw wmieszania się w sprawy tureckie. Na terenie walki prócz Turcyi i Egiptu z europejskich mocarstw stały wciąż tylko Rosya i Francya: wreszcie preliminaria przedpokojowe 8-go kwietnia 1833 zawarte między sułtanem a Mehmed-Alim musiały rozprószyć nadzieje pokładane w zamieszanie europejskie, ostateczny zaś pokój w Kuthai z 6-go maja zupełnie nadzieje te zniweczył.

Jeżeli więc plan Zaliwskiego zmarniał, to było dość przyczyn w samem jego założeniu, przyczyn naprzód nieprzewidzianych. Partyzantka bowiem była pierwszą tego rodzaju probą, była pierwszym czynem emigracyi; — był to pierwszy dopiero punkt jej programu. po którym nastąpił szereg. [3]) Popełnione błędy z powodu niezdawania sobie sprawy ze stanu własnych sił; zawody niespodziane z powodu zbytniego ufania pomocy ludów; nie udałe obliczenia na temat polityki europejskiej; a więc to wszystko, co przytoczyć można przeciw przedsięwzięciu było jednak tylko błędem — nie wina.

Wina była bezsprzecznie, ale szukać jej należy zupełnie gdzieindziej: oto w samem przygotowaniu wyprawy. Jeżeli bowiem

---

[1]) Rkp. zapp. roczniki T. 69. Odezwa od Rady Polaków w Besançon do kom. nar. Emigr. pol. pod prezydencyą Jła Dwernickiego w chwili wymarszu do Niemiec i Szwajcaryi. — Besançon 7 kw. 1833 — vide także okólnik od Rady Polaków w Besançon do zakładów we Francyi w chwili opuszczenia Besançon i wyruszenia do Szwajcaryi.

[2]) Dodatek VII. okólnik rad polskich zakładów we Francyi odnoszące się do wyruszenia do Szwajcaryi.

[3]) Już bowiem uczestnicy wyprawy, jak Szymon Konarski, wracali na emigracyę z myślą powtórzenia podobnego przedsięwzięcia, co w istocie za lat parę nastąpiło.

ufano na ślepo obywatelstwu i ludowi polskiemu, jerzeli wierzono w jego dobre chęci i gotowość pomocy, należało jej w stosownej porze zażądać od niego, należało go przygotować do ofiar choćby one były tylko materyalnej natury. Plan Zaliwskiego był przecież bądźcobądź wojną, chociaż w małym zakresie, a jednak zaniechano przygotować to wszystko, co do prowadzenia wojny jest konieczne. Już od pierwszej bowiem chwili widzimy ów brak przygotowań: dawał się on odczuwać jeszcze na ziemi francuskiej w chwili opuszczania jej przez partyzantów: skoro jednak mimo trudności pieniężnych i pasportowych nie cofnęli się uczestnicy wyprawy zaraz na samym jej początku to tem dowodniej nas to przekonać musi, że wyprawa ta była ugruntowana na zrozumieniu jej istotnej konieczności, że nie mogły przeto zrazić do niej przeszkody materyalne. Tak było z u c z e s t n i k a m i, ale inny wpływ wywarł ów brak przygotowań na *samą wyprawę*, na jej powodzenie. Piesza bowiem podróż przez tyle krajów musiała spowodować opóźnienie wyprawy, dalej nie równoczesne, tylko kolejne przekraczanie granic, co osłabiło zupełnie siłę partyzantki i ułatwiło szybkie jej zgniecenie.

Co się tyczy przygotowań w Galicyi i Poznańskiem, to jak już kilkakrotnie wykazano, miały one miejsce doryweczo tylko, co również winą było inicyatorów wyprawy, którzy nie porozumieli się w tym celu dość wcześnie z obywatelstwem, spadłszy na nie nagle z żądaniami, w przeddzień przejścia granicy.

Mimo tych wszystkich niepowodzeń nie miał Zaliwski wcale zamiaru zaniechania wyprawy, nosił się i dalej z myślą rozpoczęcia na nowo działań z wiosną 1834. Zaliwski powróciwszy z wyprawy z końcem kwietnia razem z Dmochowskim do Galicyi, bawił czas krótki w Żółkwi, następnie udał się do Lwowa i do Laszek do Ulatowskiego. Z organizatorem Galicyi Tyszkiewiczem nie mógł się już widzieć, ten bowiem właśnie 25-go kwietnia został w Nawaryi pode Lwowem aresztowany, na skutek zeznań pojmanych już dotychczas uczestników partyzantki w Królestwie i Galicyi.[1]) Po aresztowaniu Tyszkiewicza punt ciężkości przeniósł się do Lwowa, gdzie zresztą i sam Tyszkiewicz bawił już tuż przed aresztowaniem. W Laszkach nie zatrzymał się długo Zaliwski; dla większego dezpieczeństwa odesłał go stąd Ulatowski do

[1]) Arch. kraj. fasc. I. do Nemethyego od Ferdynanda Nr. 595 26/IV. donosi, że hr. W. Tyszkiewicz został poprzedniej nocy aresztowany w Nawaryi i rano do aresztów policyjnych odstawiony.

kuzyna swego Grochowalskiego do Głuchowic, gdzie Zaliwski czas jakiś pozostawał i skąd też wydał ową sławną odezwę do obywatelstwa galicyjskiego. Postanowił bowiem Zaliwski korzystać z czasu i naprawić to, w czem się zbłądziło przed wyprawą i sądził, że najlepiej zabierze się do tego przez wydanie odezwy do obywateli, w której wypowie swoje żądania i swoje credo polityczne. Na tem praca Zaliwskiego się skończyła, sam bowiem przybrał na się rolę dyktatora „zamknął się u siebie i mało z kim chciał się komunikować“.[1] Wogóle był Zaliwski więcej rozgoryczony na „arystokratów“ niż na nieudanie się wyprawy, im przypisywał winę wszystkiego, co się stało; dlatego też odezwa jego jest raczej polemiką z arystokracyą, przeciwstawia w niej siebie Czartoryskiemu, wykazuje błędy i winy przez tego ostatniego popełniane. Odezwa Zaliwskiego była zbyt napuszoną i osobistą, aby mogła na kimkolwiek dobre wywrzeć wrażenie; krytykowali ją nawet najbliżsi Zaliwskiego. „Masz tam — pisze jeden z nich — wyprowadzonych na scenę Chrystusa, Mahometa, Regulusa, Tella Waszyngtona i Mnie dla porównania ze sobą; ale niemasz tam jednej przemowy obywatela do obywateli, wzywającej do udziału w tak świętej sprawie dla kraju i ludzkości“.[2] Niemile też uderzyć musiało to, że Zaliwski wyraźnie w odezwie dąży do dyktatury — „żeby była jedność i ufność — mówi w odezwie — musi ktoś być taki, coby złych i sprzecznych powycinał, a jednomyślnych zostawił i to jest Dyktatura“.[3] Kogo zaś rozumiał, pisząc o „złych i sprzecznych“, pod czyim adresem była ta groźba, nie trudno się domyśleć. W liście do Pietkiewicza[4] bowiem całkiem jawnie się wypowiada: „Piszę do Was, ażebym objaśnił co wypada robić nam na przyszłość względem tego interesu, który przedsięwziąłem koniecznie do skutku doprowadzić i teraz mam zupełną nadzieję w dopięcie jego. Połamałem już lody i przekonałem wiele umysłów, że chcąc wskrzesić naszą ojczyznę, trzeba hydrze łeb uciąć t. j. arystokracyi i poruszyć wszystkie masy ludu przeciw nieprzyjaciołom wewnętrznym i zewnętrznym.

Odepchnąłem ze wzgardą od siebie całą kartę szlachty i tych tylko z nich przyjmuję, którzy wyrzekają się swoich prerogatyw

[1]) List Zależyńskiego — w liście Pietkiewicza do Lel. Tours 28-go paźdz. 1833.

[2]) List Zarczyńskiego.

[3]) Odezwa Zaliwskiego przedrukowana w pam. Borkowskiego.

[4]) W liście Pietk. do Lelewela Tours 20-go września 1833.

w narodzie, i równają się z innymi mieszkańcami bez wyjątku nawet religii. W przypadku oporu zagroziłem wytępieniem. Pogróżki moje, ażeby nie były czcze, pokazałem niektóre symptomata że mogę to uskutecznić, znaleźli się więc między młotem a kowadłem: bo albo muszą zdemaskować się i z tronami połączyć się przeciw mnie, albo muszą uledz duchowi czasu; jestem więc pewien zwycięstwa. Choćbym sam zginął nauka moja pozostanie".

Rozgoryczony zaś był Zaliwski na arystokracyę przedewszystkiem z tego powodu, że widział się już przez nią zagrożony nawet i w Galicyi. Jak już wspomniano prawie równocześnie z Zaliwskim i jego towarzyszami stanął na ziemi galicyjskiej i wysłannik Czartoryskiego — Józef Swirski. Jeżeli w istocie tak było, jak utrzymuje Gadon,[1]) — że Świrski najzupełniej żadnych nie otrzymał zleceń odnośnie do gotującej się partyzantki, to jednak w kraju już przez samo zjawienie się i spełnianie swej misyi działał na szkodę przedsięwzięcia Zaliwskiego. Działał jednak dużo mniej systematycznie niż major Buleski. Trzeba było bardzo rozumnej głowy, żeby z całego tego zamieszania, które teraz powstało w Galicyi, wybrnąć i sprawą pokierować według intencyi Czartoryskiego; do tego rodzaju misyi nie zdawał się być uzdolnionym Swirski.

Podążał on do Lwowa w nadziei, że się porozumie natychmiast z Krasickim i Pietruskim, przybył jednak o parę tygodni zapóźno (16. kwietnia); członkowie bowiem komitetu, jak i jego prezes wyjechali już z końcem marca do domów. Świrski postanowił czekać na nich we Lwowie, tu więc i w okolicy bawiąc czas dłuższy, zetknął się z tymi emisaryuszami Podola i Wołynia, którzy przygotowywali się do przejścia granicy.

Rozpoczęła się więc walka polemiczna między przedstawicielami tak dyametralnie różnych obozów; starano się nawzajem przekonać. Naogół jednak nie liczono się zbytnio w sferach demokratycznych ze Świrskim. „Agent ich (t. j. arystokracyi) tutejszy, Świrski — pisze Dmochowski — tak jest głupi, że służy za powód do przysłowia: kiep, jak minister Zakroczymski — kursującego tu między szlachtą, niezgrabnie prowadzi tu interesa swego pana..." [2]) W istocie zdawał się być Świrski nieco pod wrażeniem bohaterskich wysiłków; dla zrozumienia więc tych działań, lub porozumienia się wzajemnego odbył się zjazd w lasku o trzy mile od Lwowa, na którym Bobiński przez dokładny rozbiór instrukcyi

[1]) Emigracya T. II. Rozdz. XXII.
[2]) List Pietk. do Lel. Tours 15-go sierpnia 1833.

partyzanckiej zbił wszystkie, o niej krążące zmyślane wieści. Świrski zaś „dawał uroczyste słowo honoru, że nietylko szkodzić nie zamierza, ale owszem pomagać będzie“ [1]) Skończyło się oczywista na przyrzeczeniu, pozatem zaś zostało jak dawniej: nie dowierzano sobie nawzajem i każdy działał na własną rękę w myśl swoich przekonań lub poleceń.

Zaliwski po szumnej odezwie zamilkł i faktycznie nic więcej nie czynił celem propagowania swej myśli i wprowadzenia w czyn odłożonego działania. Miasto nawiązania stosunków z obywatelstwem i utrzymywania nadal łączności z emisaryuszami stał się Zaliwski prawie nieprzystępny i czas tracił na zajęciach, nie innych — jak literackich. Był to „Opis Żółkwi“, przepojony refleksyami politycznymi, nawet programami przyszłego ukształtowania się republiki polskiej, pełen fałszów historycznych i liberalnych zasad. [2]) Ten sposób zachowania się nie mógł się jednak podobać tym, którzy z nim dla czynu przybyli. Oskarżał go Zależyński, że nie komunikował się z nikim, niemniej krytykował Dmochowski „niestosowność jego działań“. — „Za powrotem z wyprawy — pisze Dmochowski — siedział (Zaliwski) prawie nic nie robił i gburowacie rady odpierał, garnących się, szukających go, i przyjeżdżających doń odpychał widzieć się nawet nie chciał. Pisał tylko, a pisał niedorzeczkości, siebie nad wszystko wynosił, groził i ślepego posłuszeństwa wymagał“. [3])

Niezadowolenie z wodza wyprawy było więc ogólne prawie wśród obywatelstwa i jego podkomendnych; wielka część tych ostatnich, widząc jego nieczynność, zaczęła się odsuwać od niego i działać na własną rękę: nie obeszło się i tu następnie bez ambicyjek osobistych. [4]) Zaliwski jednak nie zdawał się zupełnie zwracać uwagi na te zabiegi i prace, które działy się pod jego bokiem, niby jako dalszy ciąg jego projektów z użyciem tylko innych sposobów a co gorsza, z zupełnem usunięciem jego samego: zostawiał on wszystkim swobodę działania — niewiadomo, czy z powodu krótkowzroczności, czy też ze zbytniej pewności w trwałość swej władzy.

Przybywającym do niego po powrocie z królestwa okręgowym, gdy pytali o dalsze zamiary jego i instrukcye dla siebie,

[1]) List Zarczyńskiego.
[2]) Rkp. zap. Nr. 89, Józef Zaliwski. Opis Żółkwi.
[3]) List Pietk. do Lel. Tours 23-go paźdz. 1833.
[4]) Pam. Chodźki i uwagi do niego Borkowskiego.

dawał tylko ogólnikowe odpowiedzi: „że trzeba ufać i oczekiwać, że jak czas przyjdzie stanowczy, będą zawiadomieni“.[1]) O ufności jednak wśród emisaryuszy, mowy być nie mogło: pełno tam było rozczarowań i niewiary już w zdolności Zaliwskiego. Ambitniejsi zostawili go wreszcie zupełnie na boku, nie licząc się już z nim wcale: uważali oni, że misya jego już skończona.

Z okręgowych tylko Henryk Dmochowski stale z Zaliwskim trzymał: komunikował się z nim także Bobiński, który przebywał w Laszkach. Z obywatelstwa znosił się z nim stale Ulatowski, jako następca Wincentego Tyszkiewicza. Przez Ulatowskiego też została rozpowszechniona odezwa do obywateli Galicyi, która tak małe znalazła uznanie. Wznieciła ona wśród malkontentów-emisaryuszy nietylko ostrą krytykę, ale wprost wzburzenie, które graniczyło z małą rewolucyą. Mieli bowiem zamiar ci malkontenci publicznie zaprotestować przeciw pretensyom Zaliwskiego stawiania się na czele demokracyi narodu. Ostatecznie zaniechano publicznej protestacyi a ograniczono się tylko do pisma prywatnego, w którem część okręgowych oświadczyła, że zwalnia się z pod komendy Zaliwskiego.[2]) Mimo wszystko zachował Zaliwski dużo zimnej krwi i nie odpowiadał zupełnie na nieprzyjazne objawy okazywane mu przez własnynh towarzyszy; postanowił iść dalej niezmiennie w obranym kierunku. W tym celu odniósł się do Pietkiewicza z żądaniem przysłania mu nowych sił. — „Poślijcie więc do zakładów — pisze — i do Szwajcaryi, ażeby ci wszyscy wyruszyli w październiku i listopadzie, którzy się podjęli służyć ojczyźnie i ażeby przed pierwszym lutego byli już w Galicyi i w Prusach“. Do Prus wysłany zostanie Dmochowski, który wszystko przygotuje;“ prosi dalej Zaliwski, ażeby przysłano około 60 okręgowych, którym jednak nie należy naprzód powiedzieć, że są okręgowymi; każdy z nich powinien zaraz po przybyciu z Francyi widzieć się

---

[1]) Pamiętnik Chodźki.

[2]) Pam. Chodźki — dodatek Borkowskiego (25) — „Nie ja bowiem podkopywałem zaocznie wpływ przeciw Zaliwskiemu, ale ci wszyscy — a do tych i p. Michał Chodźko należał, którzy Zal. podchlebiali a zaocznie go oskarżali. Nie miałem potrzeby bynajmniej kryć się w mojem zdaniu i wszędzie mówiłem otwarcie, że nigdy nie byłem faworytem, ani pochlebcą, ani też ślepem narzędziem Zal., i to właśnie było powodem, że mnie Zal. posądził, jakobym był sprężyną pisma, które p. Michał i inni wystosowali do niego, oświadczając uwolnienie się z pod jego komendy — a do którego pisma nie należałem“.

z Zaliwskim, i tu dopiero, o ile by okazał zdolności, dostanie nominacyę od samego Zaliwskiego i instrukcye działania. „Bądźcie spokojni — kończy Zaliwski — ja dam sobie radę w każdym przypadku — i mój plan przyprowadzę do skutku; wy tylko ze swej strony starajcie się wszystkiemi sposobami, żeby nasi nie poszli ani do Algieru ani do Don Pedra, ani do rewolucyonistów francuskich i niemieckich, bo będą mieli w domu co do roboty; niech ta garstka nie będzie na usługach ani u tronów ani u narodów, inaczej zginiemy zupełnie, bo nie będzie czem swego domu odbudować a ja nie ufam obcym narodom żadnym". [1])

Ten ostatni sąd świadczył jednak o zmianie przekonań Zaliwskiego, który pod innymi względami był zresztą konserwatywny i ani na jotę nie odstąpił od pierwotnego programu. Przybyli z Zaliwskim towarzysze z Francyi, byli to ludzie ogromnie ruchliwi; po nieudanej wyprawie poddali to co się stało ostrej krytyce i jęli się doszukiwać przyczyn nieudania, chcieli dawny plan zreformować. Podnieśli oni przedewszystkiem zarzut, że wzniecenie powstania w jednej tylko prowincyi nie ma teraz racyi bytu, że należy przeto plan inaczej skonstruować i wywołać przy najbliższej sposobności powstanie we wszystkich trzech zaborach. Plan ten dyktowało emisaryuszom bezwątpienia rozgoryczenie i na inne zabory, które usłużnie przyszły Rosyi z pomocą. W tym też celu starano się Zaliwskiego nakłonić do zmian, ale spotkano się ze stanowczym oporem z jego strony. Trwał on nadal w przekonaniu, że należy Galicyę i Poznań uważać jedynie za punkty oparcia w czasie działań w Królestwie i prowincyach zabranych i dopiero w razie udania się tych działań „upomnieć się" o inne zabory. [2]) To przekonanie Zaliwskiego było drugą przyczyną zerwania z nim większej części emisaryuszy. Zaliwski odtąd był prawie zupełnie izolowany — a odnosząc się o pomoc do Francyi, nie wiedział o tem, że i tam już — na wychodźctwie, wyprawa jego straciła zupełnie mir u ogółu. Ochłódła już była egzaltacya, a rzeczywistość napominała do rozwagi. Abstrahując od wieści o męczeńskim końcu kilku okręgowych i partyzantów, oddziaływały przedewszyst-

---

[1]) List. Pietk. do Lel. Tours 5-go września 1833.

[2]) Pamiętnik Borkowskiego str. 41—2. — Pamiętnik Chodźki. Uwaga Bork. (25) „To — co mówiłem otwarcie o błędach Zal. przed innymi, mówiłem także sam osobiście przed nim bez żadnej ogródki, wtedy, kiedy z Wiercińskim Ludwikiem i Glińskim jeździłem do niego dla przedstawienia mu naszego projektu".

kiem na ogół opowiadania uczestników, którzy byli już z powrotem we Francyi i nie omieszkali rzecz przedstawić w najgorszem świetle, albo też zgodnie z rzeczywistością, co również nie mogło wypaść zachęcająco. Takie wieści rozgłaszali okręgowi Duński i Borzewski: ten ostatni przedewszystkiem; groził on nawet inicyatorom napisaniem historyi wyprawy.[1]) Nie ukrywał swego zrażenia do wyprawy i Konarski bawiąc czas jakiś w Brukseli, chociaż planu nie zarzucał i radził go tylko na lat parę odłożyć.[2]) Nadzieja więc w pomoc z Francyi była zupełnie płonna — tam już bowiem wśród ogółu nie myślano wcale o wsparciu prac Zaliwskiego.

Nastąpiła teraz, że tak powiem zmiana ról: nie oddziaływała już bowiem emigracya na kraj, lecz odwrotnie kraj teraz starał się pobudzić do działania emigracyę; z kraju wyszło do niej żądanie kontynuowania rozpoczętych przez nią prac; zażądano rady, pomocy.

Zaliwski zwracając się do Francyi o pomoc, czynił to na podstawie umowy, że może w razie potrzeby odnieść się do „rezerwy“ na emigracyi; rady jednak i pomocy od emigracyi zażądali także i ci, którzy wśród obywatelstwa polskiego w Galicyi i z za kordonu sprzyjali projektowi Zaliwskiego. Od nich też wyszła inicyatywa porozumienia się z Zaliwskim, który od wydania odezwy żadnych nie czynił kroków celem zbliżenia się do tych, od których żądał „prochu i broni“. — Zwołano przeto zjazd „dobrych“ obywateli Galicyi, na który przybyło i kilku z za kordonu; na zjeździe tym postanowiono wysłać kogoś do Paryża, żeby osobiście wywiedział się, co dalej czynić należy; przedtem jednak chciano się porozumieć z Zaliwskim, żeby działanie było wspólne. Wysłano przeto do Zaliwskiego Zależyńskiego, który był również przeznaczony na owego wysłannika do Francyi. Zaliwski zgodził się na projekt, opatrzył ponadto Zależyńskiego w listy i instrukcyę, z kim

---

[1]) Pietk. do Lel. List z Tours, 5-go kwietnia: „Wielu z oddziału Zawiszy wróciło do Londynu i Paryża. Okropności opowiadają i chórem łżą Zaliwskiego. Borzewski się odgraża w łeb strzelić jemu i Lelewelowi. A tymczasem chce drukować historyę związku i przygód w Polsce. Czytałem niektóre wyjątki, nie wiem, czy prawda, ale zgroza, co pisze o namowach, przysięgach i różnego rodzaju kłamstwach, jakiemi ich łudzili Z. i L. Nowa pastwa dla arystokracyi będą się cieszyć łotry. — Staram się przeszkodzić drukowaniu, ale trudno“.

[2]) Roczniki T. 72. list Lelewela do Zwierkowskiego. Bruxelles 29-go września 1833.

się ma widzieć i naradzać.[1]) Zależyński wyruszył istotnie, ale podróż odbywał w ten sposób, że dopiero po trzech miesiącach t. j. w październiku stanął w Paryżu. Po naradzeniu się z kierownikami miał Zależyński polecenie wrócić napowrót do Galicyi i zdać sprawę z tego, co widział i co mu powiedziano; skoro jednak stanął na emigracyi, zmienił zupełnie swoje zdanie o potrzebie kontynuowania działań, tembardziej, że jeszcze w drodze dobiegła go wiadomość o aresztowaniu Zaliwskiego przez rząd austryacki. Misya więc Zależyńskiego spełzła na niczem a od emigracyi nie należało się na razie niczego spodziewać. Uradzono raczej doradzić Galicyanom zaprzestania dalszych prac: — polecono po długich naradach Pieczętarskiemu, aby pisał do Galicyi, — (ponieważ nikt osobiście nie miał odwagi zawieźć odpowiedź) — „istną prawdę, jak jest, że z Fanogalii (Francyi) żadnej pomocy oczekiwać nie mogą, żeby tedy sami patrzyli co mają począć i jeśli słabi i nieliczni, jeśli źle widziani, niech raczej siedzą“.[2])

Zapewne na skutek tych rad a przedewszystkiem z powodu aresztowania Zaliwskiego, głównego propagatora myśli odnowienia z wiosną 1834 r. partyzantki — zaniechano tego projektu tymczasowo, ale nie zaniechano pracy, mającej doprowadzić kiedyś do zrealizowania nieudałego na razie przedsięwzięcia.

Ci, którzy pozostali — a były to już bardzo aresztowaniami przerzedzone szeregi — kontynuowali dalej ideę przywiezioną z zachodu: ideę zdemokratyzowania narodu; tą bowiem drogą sądzili, że najłatwiej dojdą do celu. Rzecz prosta, że działalność ta musiała się uciec do tajności, że chwycono się sposobów znanych już i wypróbowanych na zachodzie, przeszczepiając je na grunt galicyjski.

Została więc zainicyowana w Galicyi doba tajnych związków, zorganizowanych na sposób węglarstwa.

---

[1]) List Zależyńskiego.
[2]) List. P. do L. Tours 1-go grudnia 1833.

Dr. Hermina Naglerowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Legendowe postacie zakopiańskie.

II.

## Ksiądz Stolarczyk.

(1847—1893).

(Ciąg dalszy).

III.

W miarę, jak Zakopane, za wpływem Chałubińskiego, coraz bardziej stawało się modnem letniskiem ogólnopolskiem, zaczęła wzrastać potrzeba obszerniejszego kościoła; stary, drewniany kościółek z r. 1847, oddawna już był za ciasny, tak, że w niedzielę podczas nabożeństwa, gdy wewnątrz tłoczono się nadmiernie, przynajmniej drugie tyle, zwłaszcza górali, modliło się na dworze, tuląc się do modrzewiowych ścian świątyni. Nawiasem mówiąc, był to bardzo malowniczy widok, utrwalony przez Józefa Rapackiego na jednym z jego zakopiańskich obrazów.

Wobec tego postanowił ks. Stolarczyk w r. 1877 zbudować nowy kościół, większy znacznie, murowany, zakupiwszy odpowiedni grunt we wspaniałem miejscu, co mu wobec oporu górali, niechętnych temu kosztownemu przedsięwzięciu, wcale nie przyszło łatwo.[1]) Gdy wreszcie plan nowego kościoła, sporządzony przez

[1]) „Tak czy owak — pisze Witkiewicz — działalność ks. Stolarczyka nie przeszła bez śladu: założyła ona podwaliny porządku społecznego, ociosała etyczne pojęcia górali, zgruba, ogólnie, gdyż, jak mówi w swym pysznym stylu pleban zakopiański, duch ludzki nie da się złamać, jak kij, na kolanie, i dziś po pięćdziesięciu przeszło leciech, znajduje on, że rezultat jego pracy jest znacznie mniejszy, niż się spodziewał.“ To też było powodem, iż księdza Stolarczyka nieraz, jak do tego przyznawał się Witkiewiczowi, ogarniało „zwątpienie i pesymizm“, tak dalece, że była nawet chwila, iż chciał opuścić Zakopane.

warszawskiego architekta Dziebnickiego, a ofiarowany przez Chałubińskiego, uzyskał potrzebne zatwierdzenia, w roku 1880 stanęły fundamenty, poczem budowa zwolna postępowała naprzód, gorliwie popierana przez zabiegliwego „Jegomości“, który nie szczedził trudów, gdy chodziło o zbieranie potrzebnych funduszów. Od tej chwili różne koncerty i przedstawienia „na budowę kościoła“ stale były na porządku dziennym zwłaszcza w czasie sezonu.

Po sezonie, we wrześniu, gdy już goście rozjechali na wszystkie strony, a pogoda ustalała się pod znakiem polskiej jesieni i babiego lata, ksiądz kanonik, dobrawszy sobie do towarzystwa Wojciecha Ślimaka, albo Wojciecha Kościelnego, szedł w góry, najczęściej do Czarnego Stawu, bo już na większe uciążliwe wycieczki nie pozwalał mu wiek podeszły. Ale za to przy Czarnym Stawie, lub poniżej hali Gąsienicowej pod jednym ulubionym świerkiem, z pod którego cudny był widok na cały łańcuch Tatr od Koszyckiej po Świnnicę, przesiadywał po kilka dni, żyjąc głównie żentycą i pięknościami natury górskiej, dla której miał tak wyjątkowe zrozumienie i kult.

Bo ksiądz Stolarczyk, choć pochodził z ludu, choć był człowiekiem pierwszego cywilizowanego pokolenia, odznaczał się nietylko bystrą inteligencyą, ale podobnie jak Chałubiński, był podszyty poetą, wrażliwy na piękno wogóle, a zwłaszcza na piękno w przyrodzie, na którą patrzył nietylko okiem człowieka religijnego, pełnego podziwu dla dzieła Stwórcy, ale i okiem artysty, umiejącego odczuć istotę tego piękna, n. p. jego walory kolorystyczne, które tak trafnie i subtelnie uwydatnił n. p. w swym opisie Okna Chałubińskiego pod Gerlachem. Wykształcony humanistycznie, dobry łacinnik, wcale niezgorzej władający językiem niemieckim, rozmiłowany w poetach Złotego Wieku, zwłaszcza w Kochanowskim, posiadał nietylko znakomicie zaopatrzoną piwnicę z całą kolekcyą win węgierskich, które gromadził z amatorstwa, sam pijąc bardzo mało, ale i doborową bibliotekę, bo choć do tego nie przyznawał się otwarcie, miał... żyłkę literacką.

Że nie był pozbawiony i talentu pisarskiego, tego przedewszystkiem dał dowód w swym mistrzowskim, a poniekąd klasycznym opisie swej W y c i e c z k i n a s z c z y t G e r l a c h u, napisanym tak bezpretensyonalnie i poprostu, a tak pięknym językiem i stylem, że wcale nie przesadza Witkiewicz, gdy na jego „pyszny styl“ zwraca uwagę.

Ten „pyszny styl“ księdza Stolarczyka przejawił się również w jego uroczystych przemówieniach okolicznościowych przy różnych

nadarzonych okazyach w Zakopanem, styl, którego mu wielu mówców kościelnych i świeckich mogło pozazdrościć.

Zachowały się dwa z tych jego przemówień: Mowa, wygłoszona d. 30. lipca 1882 r. na uroczystości poświęcenia Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem i mowa, wygłoszona d. 29. lipca 1883 r. na uroczystości poświęcenia Szkoły Snycerstwa w Zakopanem.

Pierwsze z tych przemówień, wypowiedziane w sali, szczelnie wypełnionej publicznością, wśród której, obok Zyblikiewicza, Chałubińskiego, Baranowskiego, Eliasza, znaleźli się i dwaj goście belgijscy, August Couvreur i Karol Buls, przemówienie, które „na słuchaczach głębokie wywarło wrażenie“, brzmiało, jak następuje:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Na chwalebne życzenie szanownych mężów Towarzystwa Tatrzańskiego dopełniłem poświęcenia domu tego. Dawny to obyczaj w Imię Boże przez kapłany błogosławić domy, przez co się niejako świątyniami stają, zatem i dom ten od dnia dzisiejszego jakoby świątynią, nad którym Bóg w szczególniejszy sposób opiekę mieć będzie, co mu pewną przyszłość wróży, bo inaczej nie byłoby tak, jak psalm mówi: *Nisi Dominus laboraverit civitatem, in vanum laboraverunt qui edificant eum;* — z tym też go przywilejem Szanownego Towarzystwa Tatrzańskiego ze strony kościoła świętego polecam.

I któżby był przed niedawnym czasem marzył, iż na tem, jak się zdawało, tak mało obiecującem miejscu, tak okazały gmach powstanie; przecież przed laty warunków ku temu nie uznawano, z początkiem mojej tu bytności rzadki się turysta pojawił, który oglądnąwszy cokolwiek pobieżnie, wnet stąd znikał. Jednak Opatrzność Boska, jak się zdaje, inaczej postanowiła. Odnaleźli się mężowie, którzy te wyjątkowe dzieła Boże zrozumieli, opisywali i, co więcej, przez dłuższy czas pilnie badając te wysokie skały tu przebywać poczęli. Nareszcie korona pojedynczych zapatrywań, poczucia i chęci, stanęło Towarzystwo Tatrzańskie, a w następstwie i dom ten wspaniały, który opatrznościowym nazywam. Spodziewać się bowiem należy, że się tu będą zgromadzać rozprószone dzieci jednej matki Polski, tu się będą bliżej poznawać, i do jedności, jako bracia i siostry, kojarzyć, i jak na ciele tak i na duchu pokrzepienia nabierać.

Stara bardzo legenda prawi, że w Tatrach śpią starzy polscy rycerze, którzy czekają, aby powstać i waleczne swe czyny odnowić i strapione prawnuki pocieszyć. Schowała ich w ten zakątek, w to zacisze wyobraźnia ludu, pokryła ich olbrzymiemi

mogiłami, aby się stąd nigdzie nie podzieli, przeczuwając, iż powstałych niby z grobu dawnych wojowników, którzyby wielcy duchem, jakby Tatry wyrośli, dla ratunku ojczyzny koniecznie potrzeba. co nam daje wiele do myślenia i do ostatniego spełnienia.

Prawie od początku rodzaju naszego zawsze myślący ludzie do gór podążali, czego świadkiem historya i sam Pan Chrystus nam w tym względzie przykład pozostawił, gdyż na górach swe tajemnice spełniał. Więc nie dziw, że i my się tu gromadzimy: właśnie dziwnie by wyglądało, gdyby nas tu nie było; może nas tu popycha głos w głębi duszy się odzywający, który niedawno temu wielki polski kapłan wyśpiewał:

Na góry, na góry,
Tam bliżej do nieba;
Tu na dole chmury.
Nam nieba potrzeba.

Podziwiajmy więc te śliczne doliny. dziwne źródła. głębokie stawy, kryształowe rzeki, zaś ze szczytów, wznoszących nas ponad zwykły poziom, przedewszystkiem podziwiajmy rękę wszechmocnego Boga, który nam w tej świątyni całej Polski tak wspaniały ołtarz zbudował, mówiąc z św. Dawidem: „Ucieszyłeś mię, Panie, w robocie Twojej, w dziełach rąk Twoich weseliłem się. O, jako wspaniałe są dzieła Twoje, jak głębokie się stały myśli Twoje!“ Potem oglądajmy się na szeroką i daleką ojczyznę naszą, lepiej ją stąd, niż skądinąd widać: wtedy wspomnijmy na tych, co w tych górach spoczywać mają; nie śpią oni zawcze, bo jak legenda dodaje, czasem się budzą i rycerskie swe zbroje czyszczą, jak należy, opatrują, nawet mają być i tacy, którzy podkowy dla koni dniem i nocą kują. A wspomniawszy to, wspomnijmy i drugie, byśmy nie zmaleli, czem to dawne córy i synowie polscy byli; zapewne doda nam to bardzo wiele chęci do służenia Bogu i ojczyźnie, do wypełniania obowiązków św. religii naszej, w której owi nieśmiertelni na rycerskich olbrzymów wyrośli; zaś w tym domu, to czytając, to się wzajemnie budując, hartu duszy nabierajmy, każdy w swoim zawodzie na rycerza się pasując. Powinna się też z tego domu i od wszystkich z różnych stron tu przybyłych, zacnych, znakomitych obywateli dobra oświata, dobry przykład i zachęta do dobrego rozchodzić. aby ten lud prawdziwie polski się nie zmarnił, nie jeno materyalnie, lecz co więcej moralnie skorzystał. Żalby mi było ludu tego i w grobie bym się przewracał, gdybym się do-

wiedział, iż dopiero co z moralnej nędzy wydobyty, znów się do „ciemności śmierci“ wraca. Pamiętać bowiem należy, że materyalna korzyść bez moralnej podstawy, to śmierć, to ostatnia zguba. Dotąd dzięki Bogu i czcigodnym osobom, które tu przybywały, dość dobrze poszło; spodziewam się, iż coraz to lepiej będzie. Więc czy w tę, czy w owę stronę popatrzym, przy pomocy Bożej, można na dobrą przyszłość liczyć. Z tej przyczyny, jak Towarzystwo Tatrzańskie, tak i ten dom nie powinien być dla nikogo obojętnym, i owszem, każdemu powinien utkwić w sercu, jako pospolite dobro i chwałę Bożą na celu mający. Niechajże te czarujące góry, gdzie prześlicznym widokiem człek się uwesela, gdzie tyle siły i dzielności nabrać można, nigdy zapomniane lub lekceważone nie będą. Zatem życzę Szanownemu Towarzystwu Tatrzańskiemu i wszystkim, którzy tu przybędą i progi tego domu kiedykolwiek przekroczą, aby Szanowne Towarzystwo Tatrzańskie w coraz to większe drzewo się rozrastało, pokrywając się zielonym liściem i pożywnym owocem; życzę, aby każdy tu stąd pocieszony, wzmocniony i zahartowany do domu swego powracał z czystem wspomnieniem, jak powietrze i woda tatrzańska, formując sam z siebie w swem powołaniu, to bohatera, to bohaterkę, aby ich, nim powstaną, na teraz zastąpić. Boże daj, aby się stało, jak powiedziałem, a nakoniec z Dawidem za Janem III. powtórzmy: „Nie nam, Panie, nie nam, ale imieniowi Swemu daj chwałę!“.

Mowę swą, po uroczystym akcie poświęcenia Szkoły Snycerstwa, wypowiedział ks. Stolarczyk w sali szkolnej, szczelnie zapełnionej gośćmi i góralami, a nastroiwszy ją na górniejszy ton religijny, po dłuższym wstępie, modelującym różne ustępy z pisma świętego, o samej szkole mówił między innemi, co następuje:

— Zgromadzeni tu Uczniowie i Panowie Nauczyciele! Pierwszą powinnością waszą, religię, jakąście z piersi matek waszych wyssali, bacznie pielęgnować! Chcecieli mieć Boga za sobą i szczęśliwą przyszłość przed sobą, choćby wam anioł z nieba inaczej mówił, nie wie[illegible]! Zresztą słyszeliśmy historyę o marnotrawnym synie i tysiąc różnych smutnych wypadków: na tej drodze pewna zguba i dosyć! Wiara, bogobojność, krzepić was będzie, że c[illegible]z to wyżej rozrastać się, waszymi talentami nie przestaniecie, wyr[illegible] wasze coraz to doskonalsze, będą nietylko pochwały, ale i p[illegible] dziwu godne; pomnażajcie się w mądrości, której początkiem jest bojaźń Boża, wzrastając w łasce u Boga i ludzi!

Szkoła jest przysionkiem k[illegible] Bożego; po[illegible] niej tylko z skromnością i przykładnym obyczajem odpowiada: [illegible]da się.

i słusznie, od szkoły, aby wychodzili stąd pracowici, porządni i uczciwi obywatele, na ustach bez zdrady. Wstępują tu młodzi, wstępują i starsi. Młodsi, przyzwyczajajcie się do przykładnego prowadzenia, starsi, jeżeliby nieprzyzwoite nawyknienia mieli, muszą się ich pozbyć, szatę moralności oblec, by snać który nie usłyszał: „Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szkolnego obyczaju na sobie, wynoś się stąd, nie możesz tu dłużej pozostać!“ i musiałbyś uciekać zawstydzony, z gorżkiem przypomnieniem: Ze szkoły mię wypędzono, bo byłem nicpotem!

Mowa, którą opowiadam, nie jest moją, ale tego, który mię posłał, Jezusa Chrystusa, którą nietylko dla was, ale i dla następców waszych pozostawiam. Jestem kapłanem Najwyższego, nietylko mi o doczesność waszą chodzi, lubo i tę chciałbym widzieć jaknajlepszą, lecz stokroć więcej wagi kładę na wasze zbawienie; wiem bowiem dobrze, iż jak na zbawienie zarabiać będziecie, i pomyślność doczesna was nie minie; wszakże powiedziano: „Szukajcie naprzód sprawiedliwości Bożej, a reszta będzie wam przydana“.

Widzę, niejednakiego gatunku są tutaj roboty; są trudniejsze, są mniej trudne, idą coraz wyżej, aż do Matki Boskiej, którą człowiekowi trudno, jako Niepokalaną Dziewicę, z powagą macierzyństwa, oraz matkę Syna Bożego przedstawić; jeszcze trudniej aż do Pana Jezusa, w którego ludzkiem obliczu niezmiernie ciężko śmiertelnikowi boskość uwydatnić; ręka tu prawdziwie pobożna z pomocą samego Boga coś dokazać może! Więc macie śliczne pole do bardzo miłej pracy! Któżby tu w tym domu o czem innem myślał, tylko jak w doskonałości postąpić aż do wyrobienia niebieskiej piękności Matki Boskiej i dziwnej, ludzko-boskiej twarzy Pana naszego, Jezusa Chrystusa!... Nie równej miary mają wszyscy talenta, lub od Boga nabędą, ale ile komu dane, tyle z lichwą zwrócić winien, by nie wzięto, co ma mniej, a dano innemu, co ma więcej, Boskie bowiem rządy takie!

Były tu pod halami czasy, kiedy religijnie zaniedbani próbowali żyć bez pracy, wygodnie; rozlatywali się po wilczemu za zdobyczą w nocy, nawet często w strony dalekie. Pomarli... pozostały po nich niemiłe bezprawia powieści, ze zdobyczy nic: chyba cierpkie wspomnienia niewynagrodzonej ludzkiej krzywdy! Jednak Opatrzność Boża dla „dziesięciu“ chciała ratować resztę; powstaje kościół, przy kościele szkółki, nareszcie przybywa tu nigdy nie spodziewana snycerska szkoła, która uczciwą pracą szeroko, daleko w świat poleci szukać grosza dla zaradzenia biedzie, lecz o ten

grosz uczciwie nabyty nie będzie na sądzie Bożym ni sromoty, ni zgryzoty! O, jakże dziękować Bogu wszechmocnemu mamy, z którego Opatrzności stało się, co się stało! Niechże więc Boska chwała ma w tej szkole stałą swoją siedzibę! Nie było by dla przeniewierstwa nazwy, jeżeliby się inaczej, czego Boże chroń, stać miało, jużbym dzisiaj rzewnie zapłakał!

A teraz spuśćmy się myślą z nieba na ziemię i dobrodziejów naszych, których nam Opatrzność boska wybrała, poszukajmy, by im z serca, na ile nas stać, podziękować, bo przecież wdzięczność jest jedną z pierwszych powinności człowieka, osobliwie chrześcianina.

Najprzód znajdujemy Najjaśniejszego Monarchę naszego, pod którego rządami szczęśliwe dni nasze: już z tego względu, że wszędzie mamy obronę od złego, zachętę do dobrego! Ze wszech stron wołają na nas: „Pracuj uczciwie, a żyć będziesz!“ Życzliwość Najjaśniejszego Monarchy przeszła na rządy jego, rozlała się wszędzie, czuje ją każdy i dlatego wdzięczność dla niego i Jego całej rodziny jest i powinna być wszędzie. Błogosław mu Wszechmogący Boże w jaknajdłuższe lata!

Widzę dalej i spotykam Towarzystwo Tatrzańskie, które na szczęście nasze Opatrzność Boska jakby ze snu wywołała, ze wszech miar naszym górom przychylne. Na czele tegoż stanęli zaraz dzielni, jak rzadko, obywatele, sprawę szkoły snycerskiej w ręce wziąwszy, swą ofiarą, różnemi kłopotliwemi zabiegami i potężnym swym wpływem u Wysokich c. k. Rządów doprowadzili do tego, aby szkoła stanęła i należycie czynności swe odbywała. Towarzystwo Tatrzańskie naprawdę i sprawiedliwie, jako twórca tego zakładu, na węgielnym kamieniu ku wiecznej pamięci wyrytem być powinno: spływa to na wszystkich, którzy Towarzystwo zawiązywali, którzy niem kierowali i dzisiaj kierują, i na wszystkich, którzy doń należą: wszyscy mają w miarę swej ofiary schowaną zasługę u Boga, którą w swoim czasie odbiorą! Przyczem zbieg opatrznościowy sprawia, iż właśnie na najwyższych stolicach zasiedli z gruntu szlachetni mężowie, którzy, rzecz zrozumiawszy, skutecznie ją popierali: jak c. k. Ministrowie, tak Marszałek Krajowy, na prośby i podania pisali: „Oto macie, tylko róbcie“. Znikąd nie słyszano niechętnego: „Nie“!

W rzędzie dobrodziejów spostrzegam jeszcze nad podziw górskiemu ludowi życzliwego przyjaciela, który o tej szkole już od dawna mówił, radził i nawet, gdzie należało, pisał; a ten jest, którego imię góral z uszanowaniem wspomina: Dr. Chałubiński,

Nie z mniejszą od innych życzliwością dla tej szkoły nadarza się również z imienia głośny Dr. Baranowski, którego staranność uczniowie co rok dobrze czują. Nie mogę pominąć, aby nie wspomnieć pana budowniczego Łuszczkiewicza, który plan szkoły z bardzo rozumnym pomysłem wykonał i wspaniałomyślnie ofiarował. Gmina też Zakopane nie chciała pozostać bez niczego i ile mogła, tyle dała; spodziewa się po szkole wyroku, jak ów kulawy w przysionku jerozolimskiej świątyni: „Powstań z biedy, chodź prosto, nie bieduj i chwal Pana Boga!“ Niepodobna, aby dla tych wszystkich dobrodziejów i innych, których wyliczyć bardzo trudno; do wdzięczności się nie poczuwać. A wy, co ze szkoły najwięcej korzystać będziecie, do śmierci za nimi Pana Boga gorąco prosić powinniście.

Atoli Opatrzność Boża na tym punkcie miłosierdzia swego nie kończy. Ot! c. k. Wysokie Rządy posyłają dyrektora Franciszka Neužila, rzadkiej uczciwości człeka, bez którego, co najmniej ciężko było by poszło. Swą gruntowną nauką, doświadczeniem, wytrwaniem i dobrą wolą, ile można było, zużytkował i na szczeblu teraźniejszej wysokości postawił! Przybyli do pomocy pp. Galet i Selecki, niedawno temu i Regiec, w nowym zawodzie doskonali, nauczyciele wzorowi, po których poznać, iż im szkoła na sercu leży. Dzięki Bogu! wszystko się zbierało na jedno szczęśliwie jako w Tatrach różne prądy do jednego źródła. Źródła tatrzańskie nie ustają i posyłają daleko swe wody. Boże! daj tej szkole trwałe życie, aby wyrobami swymi tryskać nie przestała, póki górskiego ludu stanie!

Uczniowie! Jesteście w tej szkole pierwsi, jesteście początkiem w tem miejscu zamiarów Bożych, co dopiero pokosztowaliście pracy. Starajcie się, by wam do smaku zasmakowała: przykładnymi obyczajami, modlitwą szukajcie pomocy Bożej, aby Ojciec z nieba, co braknie, dodawał i ludzie sprzyjali i dokądkolwiek się rozejdziecie, znać było po was, żeście w dobrej szkole byli. Jak imiona wszystkich dobrodziejów, nauczycieli, tak i wasze zapiszą się w księdze historyi Szkoły snycerskiej w Zakopanem, i po stu latach i dalej czytać ludzie będą, jakimiście byli i coście za jedni, czyście się dobrze sprawowali, pilnie uczyli, śliczne rzeczy wyrabiali, życia utrzymanie sobie ubezpieczyli. A jakby się który sprzeniewierzył i stąd z hańbą wyleciał, i to się zapisać nie zapomni! Jesteście synami polskiej ziemi, której królową jest Matka Boska Częstochowska; doświadczycie od Niej wiele i cudów do-

znacie, czego się nawet nie spodziewacie. i to tem więcej, iż jesteście uczniami snycerskiej szkoły, z której się ta Królowa cieszy, iż ma takową w swem królestwie; lecz musicie tę Matkę Zbawiciela, tę Panią i Królowę naszą, nie na sercu, ale w sercu nosić. Będzie ona na drodze waszego przeznaczenia pewną obroną i stałą pociechą. Nie zapominajcie o tej Matce, Pani i Królowej nigdy a nigdy!

Oddaję wam dzisiaj ten dom czysto wymieciony; jedynie Opatrzność Boża ma tu swoje prawo i siedzibę; pilnuj każdy siebie, byś snadź lekkomyślnie szatanowi powrotu nie ułatwił; bo wtedy zdrada szkoły, a zły, niestety, uczeń, jej zdrajca. Czego, Boże, nie dopuszczaj! Już kilku z was, osobliwie dwóch, Michał Król i Antoni Święch, pięknem prowadzeniem, pracą i zdolnością naprzód się wysunęli; inni za nimi biegną raźnie; smutnie byłoby, gdyby który z lenistwa okulawiał i z wstydem na pół osiadł drogi. Zbierajcie siły rąk i głowy, proście Pana Boga, aż dobiegniecie przeznaczonej wam od Opatrzności Bożej mety.

Zapewne Królowa nasza, Matka Boska, u Syna swego. Pana Jezusa, wyprasza, ze się w narodzie polskim coraz więcej duch prawdziwie katolicki ożywia. który szuka i pragnie, aby z najlichszego kątka współbraci swych wydobywać i do umoralnienia pożytecznej pracy i na godnych obywateli swej ojczyzny podnieść. Dlatego nie masz, ktoby wam dobrze nie życzył. bylebyście zadania wasze jaknajwierniej dopełniali; stąd to przyszła kolej i na podtatrzańskie schronisko, że góralskie syny i dziewczęta do ślicznego zawodu powołano. Spodziewać się należy, że wzniesie się okazały kościół, ku uwiecznieniu katolickiej, bratniej, polskiej miłości!...

Doskonały mówca i pisarz prozą — czego obie te mowy, posiadające wybitną wartość literacką, są aż nadto wystarczającym dowodem, ksiądz Stolarczyk niemniej biegle musiał się wypowiadać wierszem. Bo pisywał i wiersze. Pisywał ich nawet sporo, a niektóre, o ile to były pieśni pobożne, przeznaczone dla ludu, dla parafian, rozpowszechniał w formie drukowanej. na osobnych arkusikach. bezimiennie oczywiście.

Oto n. p. jeden z takich wierszy, zatytułowany *Lament grzesznika nad sobą*, wydrukowany wprawdzie w krakowskiej drukarni Anczyca, jako „nakład ks. Stolarczyka". ale podpisany tylko literami: ks. J. S. w Z.

Dziś, mój Boże, myślę sobie
O mej duszy przyszłym grobie
    Ach, niestety, nic dobrego
    Nic nie widzę pociesznego.

Grzechów mię ciężary męczą,
Wyrzuty sumienia dręczą;
    Samo, samo utrapienie
    Gorsze, niż ciężkie więzienie.

Dręczy mię wszystko i trwoży,
Bo się wiele złego mnoży:
    Grzechy rosną: jak to będzie,
    Gdy raz Bóg sądzić zasiędzie?

Lękam się bardzo, o Boże!
Bez Ciebie któż mię wspomoże?
    Zginęły mi dary Twoje;
    Biedne teraz życie moje.

Grzechy moje powracają,
O pomstę na mnie wołają;
    Chcę je stracić, lecz nie mogę,
    Zewsząd mi zachodzą drogę.

Widzę je w śnie i na jawie
I żyję w ciągłej obawie.
    O, smutna ma dola, smutna,
    Każda ma chwila okrutna.

Czarne chmury przelatują
I coś strasznego zwiastują;
    W oczach mi się ciemno robi..
    Któż wie, co ze mną Bóg zrobi?

Tam mnie kusi, tu mnie zwodzi,
I coś złego przy mnie chodzi;
    Tam iść strasznie, tu urwisko:
    Może już piekło mnie blisko.

Ciężko, smutno na umyśle;
Zdaje mi się, gdy pomyślę:
    Że widzę piekielne męki,
    Że słyszę przeklętych jęki.

Bez pociechy, bez ratunku,
Nie mam folgi w swym frasunku.
    Niemasz, niema ulgi z nieba,
    Niemasz, co mej duszy trzeba.

Trudno znaleźć teraz Boga:
Zginęła mi prosta droga:
  Znaleźć jej teraz nie mogę,
  Zgubię mą duszę niebogę.

Był Bóg moim ojcem w niebie,
Jezus chciał mię mieć u siebie.
  Teraz nic z tego, powiada.
  Ach, biada mej duszy, biada!

Grzechy moje, jako morze,
O, mój Jezu, miły Boże!
  Krew się ścina, serce ściska,
  Gdy na Twój Krzyż spojrzę z bliska.

Widzę rany, bok przebity,
Całyś, Jezu, krwią obmyty;
  A ja, zamiast mej miłości,
  Wracam złości same złości.

Zrobiła mi to niecnota,
Że się tułam, jak sierota:
  Ni na słomie, ni na gnoju
  Nie mogę znaleźć spokoju.

Cóż ja pocznę teraz, Panie!
Miej nademną zmiłowanie!
  Ach, Ojcze! wołam do Ciebie,
  Nie odpychaj mnie od siebie!

Nie potępiaj mojej duszy,
Która boleść straszna suszy,
  Że Cię ciężko obraziła,
  Ojca swego opuściła.

Śmierć, grób, piekło i sąd Boży
Bojaźń, trwogę we mnie mnoży;
  Przecież nie tracę nadziei,
  Chociaż błądzę w tej zawiei.

Cóż dopiero, gdy śmierć przyjdzie?
Dusza moja z ciała wyjdzie?
  Nuż ją pomroki otoczą
  I czarci z piekła obskoczą.

Ale przypominam sobie,
Co słychać, Boże, o Tobie:
  Że grzesznych przyjmiesz w swym dworze,
  Jeżeli wrócą w pokorze.

A więc żałuję, boleję
I łzy żalu z oczów leję;
Nie oschną moje powieki;
Płakać będę, choć na wieki.

Drogi Jezu, Synu Boży!
Niechże mię rozpacz nie trwoży;
Wejrzyj na strapioną duszę,
Zmniejszy, mą straszną katuszę.

Wspomnij na śmierć, mękę Twoję
I na duszę chrzczoną moję;
Niech, gdy była okupiona,
Niechże i będzie zbawiona.

O, poproszę Twe kapłany,
Co to goją duszy rany,
By raczyli mocą Twoją
Uspokoić duszę moją.

Święci także wiele mogą;
Raduję się, że pomogą.
Mam też Matkę, która cieszy,
Kto tylko do niej pospieszy.

O, Maryo ukochana!
Nam za matkę grzesznym dana,
Do Ciebie ręce podnoszą
I o ratunek Cię proszą!

Słysz, Maryo, Twoje dziecko
Płacze, woła: Ma Mameczko!
Grzechy trapią, serce boli,
Poratuj mię w tej niedoli.

Dla mych złości i swawoli
Jeczę w grzechowej niewoli;
Już mię wartują złe duchy...
Broń mię, Matko, dodaj skruchy!

Wszak od wieków głośno wszędzie,
Co Ty, Matko, możesz w biedzie;
Zwróć też na mnie oczy Twoje,
A ustaną bóle moje.

Powiedz, Matko: „Precz Szatany!“
Wnet spadną ze mnie kajdany,
I zaśpiewa dusza wierna,
Żeś Ty, Matko, miłosierna.

Spojrzyj na me utrapienie!
Wyproś, Matko, pocieszenie!
Wyproś koniec mych katuszy,
Niech mam miły spokój duszy!

I wy, Święci Patronowie,
I wy, Anieli Stróżowie!
Pociągajcie mię do siebie,
Bo chcę z Wami wraz być w niebie!

Pragnę w końcu we wieczności
Widzieć niebieskie jasności;
Pragnę, gdy zawrę powieki,
Z Bogiem Ojcem żyć na wieki!
Amen.

Oprócz powyższego *Lamentu* znany jest jeszcze drugi wiersz „księdza kanonika" Stolarczyka, mianowicie jego *Hymn* z r. 1879, wydrukowany w Tarnowie przez Rusinowskiego, a mianowicie, jak i poprzedni wiersz, wydany nakładem autora samego. *Hymn* ten, zdaje się wcześniejszy od *Lamentu*, ma następujące brzmienie:

I.

I grzechy nasze i winy
Naszych boleści przyczyny;
Ach, Bóg ciężko obrażony
Zostawia nas bez obrony.

II.

Niemasz ulgi, odpoczynku,
Bez Twego, Boże, ratunku:
Ach! na te ciężkie niemocy
Już może nie dasz pomocy.

III.

Ależ z Twym Kościołem świętym
Teraz srodze uciśniętym,
Gdy błagać poczniemy Ciebie,
Raczysz wejrzeć na nas w niebie.

IV.

Tej nadziei nie tracimy,
Nigdy jej nie porzucimy,
Za Twe miłosierdzie, Boże!
Nasze za życia być może.

V.

W naszym smutku, utrapieniu,
W naszem wołaniu i pieniu,
Matko Boża, wysłuchaj nas,
Prosimy, nie opuszczaj nas.

W lipcu 1893 roku, przeżywszy lat 77, ksiądz Stolarczyk po stosunkowo krótkiej słabości rozstał się z tym światem. Umarł w Zakopanem, w swojej plebanii, żałowany i opłakiwany nietylko przez górali zakopiańskich, dla których był jakby apostołem wiary chrześciańskiej, ale niemal przez całą Polskę, przez tych przynajmniej, co na lato zwykle przyjeżdżali do Zakopanego, a czytali *Na przełęczy* Witkiewicza.

Pochowany na cmentarzu zakopiańskim.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Germanizacya Śląska Cieszyńskiego

## w II-giej połowie zeszłego wieku.

Wspomnienia i zapiski.

---

Ludowi śląskiemu w hołdzie.

(Ciąg dalszy.)

*Walka o równouprawnienie narodowe.*

Na Śląsku, gdzie niemal do samego upadku Austryi § 19 ustaw zasadniczych pozostawał w całej treści swojej nie wcielonym w życie, wszelka działalność polityczna z natury rzeczy musiała się ześrodkować głównie na usiłowaniach, dążących do równouprawnienia ludności polskiej z niemiecką w urzędach, sądach, szkole i kościele. Rozpatrując owe usiłowania stronnictwa narodowego w ciągu ostatnich 4 dziesiątków lat ubiegłego wieku, łatwo w ich przebiegu zauważyć można liczne wahania a nieraz nawet zbyt długie okresy zastoju, wywołane klęską lub będące następstwem wyczerpania po bardziej wytężonej walce, uwieńczonej w rzadkich bardzo wypadkach zwycięztwem.

Oto niektóre wydatniejsze etapy na tej drodze, jakie znajdujemy w notatkach naszych.

Po epoce reakcyjnej szóstego lat dziesiątka, podczas której oczywiście nie można było podejmować wyraźniejszej akcyi politycznej, pierwszy objaw życia w tym zakresie zaszedł w styczniu 1861 r., gdy z Galicyi wysyłano deputacyę do korony z żądaniami reform. Ślązacy wtedy wystosowali do tej deputacyi petycyę, opa-

trzoną wieloma podpisami, upominającą się o równouprawnienie języka polskiego w urzędach, sądach i szkołach. Od r. 1848, w którym i Ślązacy na krótko odetchnęli innem, wolniejszem powietrzem, drugi to był na Śląsku wypadek tego rodzaju, nie wiele on jednak zaważył na szali wydarzeń, które nie poszły wówczas w kierunku pożądanym.

Gdy zagwarantowane § 19 konstytucyi z r. 1867 równouprawnienie narodowe nie przychodziło, ludność polska na Śląsku już w kwietniu 1870 r. podpisywała petycyę do ministerstwa o przeprowadzenie tego nieszczęsnego artykułu. Zebrano wówczas przeszło 5000 podpisów i takie jeszcze wtedy stosunki panowały, że na petycyi polskiej wielu niemców nie wahało się położyć nazwisk swoich, choć z drugiej strony Vereiny niemieckie w Bielsku i Cieszynie już prowadziły swoją napastniczą politykę, zarzucając Polakom „gwałty“, „ucisk“ i t. p., co zbijała odezwa polska ogłoszona w tymże czasie.

Pomimo równouprawnienia narodowego nie przyjmowano przez długi czas telegramów w językach słowiańskich. Usprawiedliwiano to trudnościami technicznemi, albowiem przy ówczesnych aparatach telegrafista musiał znać język, w którym depesze podawano. Dowcipni Czesi, nie chcąc telegrafować po niemiecku i licząc na tępość umysłową telegrafistów, układali telegramy w taki sposób, że mogły od biedy uchodzić za depesze niemieckie lub francuskie. Naprz. narodowcy z Berna wysłali taki telegram do rodaków w Hradisku pod Ołomuńcem: „Festcomité Klosterhradisch Olmütz. Nasch im Kapital, Nimm hoh um Moravan, um Mühle. Post trafen in Asdar“. Miało znaczyć po czesku: „Naszim kapitalnim hochom Moravanom mile pozdraveni na zdar“. — Z Berna innym razem tak depeszowano do Prościejowa: „Monsieur B. à Prossnitz. Ça frappe or tais! Approche vase temps ne bell eau n'a passe dernier? Vite est je n'ait sot vache blase un“. Co się czytało ortografią czeską: „Panovi B. w Prostiejowie. Safraporte! A procz vas tam nebelo na pazdiernie? Vite, że nesu vasz blazen“. — Pan B. zaś odpowiedział: „Monsieur P. à Brünn. A vue trou belle eau! Dais t'emu peau coit! bol s'aime ou mais genie, bol avez coutier“. To znaczyło po czesku: Panovi B. w Brnie. A vy trubelo! Dete mi pokój Bol jsem u me żeny, bola ve kutie“. Oryginały takich telegramów wystawiano potem na widok publiczny. Czy Ślązacy wpadali na takie pomysły, nie wiadomo mi, prawdopodobnie używali języka niemieckiego, tylko w r. 1866 na powitanie pastora ks. Otto z Warszawy wysłali do Szczakowy

telegram po polsku, korzystając ze specyalnego na to zezwolenia ministeryalnego.

Do r. 1870 w księdze gruntowej w Cieszynie przyjmowano jeszcze „kupy“ (wpisy) polskie i obligacye z polskiemi klauzulami intabulacyjnemi. Działo się to za ministerstwa tak zw. „mieszczańskiego“, najbardziej wiernokonstytucyjnego, tymczasem wkrótce potem mimo kilkakrotnych petycyi lekceważenie Polaków przez urzędy doszło do tego, że podań po polsku pisanych nie przyjmowano, tylko niemieckie, jak również załączników polskich do skarg i podań, lecz wymagano tłumaczeń niemieckich, przez co zwiększały się koszty i kłopoty. Dopiero skutkiem podjętych starań i chwilowo życzliwszego powiewu w sferach rządzących, utrudnienia te zniesiono wyrokiem Trybunału Najwyższego w Wiedniu dnia 21. sierpnia 1879 r.

Lecz to ustępstwo oczywiście było kroplą w morzu. Już więc w r. 1880 dwaj posłowie polscy ze Śląska Jerzy Cienciała i ks. Świeży wnoszą do prezydyum rady ministrów memorandum o stosunkach śląskich, wykazujące konieczność równouprawnienia języka w urzędzie, sądzie i szkole. I to wszakże przeszło bez widocznego skutku.

### *Ruch polityczny wśród ludu.*

W okresie powyższym kilkakrotnie urządzano liczne zgromadzenia ludowe o charakterze politycznym, które uważać należy za początkowe i dość udatne próby propagowania zasad narodowych polskich wśród mas ludu śląskiego. Przedewszystkiem wspomnieć należy o takich zgromadzeniach w Sibicy z r. 1869 i w Ropicy z r. 1871. Właśnie na tem ostatniem zgromadzeniu uchwalono założyć narodowe towarzystwo polityczne celem zszeregowania całego ludu polsko-śląskiego do walki o należne mu prawa. Ułożono statuty, starania o zatwierdzenie tego towarzystwa poparto jeszcze wysłaniem deputacyi do ministerstwa, ale mimo to rząd krajowy w grudniu 1872 r. odmówił zatwierdzenia statutów tego towarzystwa, które „tak co do swego powstania, jako też co do dążności swoich okazuje się niebezpiecznem dla państwa“.

Długo pamiętne było na Śląsku zgromadzenie ludowe podobnego charakteru, odbyte w Sibicy d. 31. lipca 1881 r. Obecnych było do 5000 osób z całego kraju. Zapadłe na takich wiecach uchwały tyczyły się głównie równouprawnienia, a chociaż nie doprowadziły na razie do rezultatów konkretnych, rozbudziły wszakże

wśród ludu zainteresowanie do działalności politycznej. Wciąż jednak dawał się odczuwać brak odpowiedniej organizacyi, bo przewódcy, zrażeni pierwszem niepowodzeniem, przez długi czas nie wznawiali starań w tym kierunku i lud śląski pozostawał dalej niezorganizowanym do walki politycznej, pozbawionym energicznego przewodnictwa i kierunku, bez racyonalnie opracowanego planu działania.

### *Rozdwojenie między ewangelikami a katolikami.*

Klęski, mniej lub więcej dotkliwe, jakie stronnictwo narodowe ponosiło przy wyborach do sejmu i rady państwa w okresie pomiędzy r. 1875 a 1884 r. w połowie przypisać należy brakowi organizacyi politycznej, w połowie zaś powstałemu i bardziej w tym właśnie czasie rozgorzałemu rozdwojeniu pomiędzy katolikami i ewangelikami. Rozdwojenie to najboleśniej i najwyraźniej uwydatniło się d. 30. czerwca 1879 r. przy wyborach z kuryi gmin wiejskich do rady państwa.[1]

Jako kandydaci stanęli z Polaków: ks. Świeży z ramienia stronnictwa katolickiego i Cienciała ze strony ewangelików; ze strony niemiecko-liberalnej Obratschaj. Poniższa tabliczka najlepiej wykaże przebieg tych wyborów i zupełnie jasno przedstawi właściwy powód klęski polskiej.

### *Pierwszy wybór.*

| otrzymał w pow. głosów | Cieszyńskim | Frysztackim | Bielskim | Razem | |
|---|---|---|---|---|---|
| Świeży | 116 { 37 | 58 | 58 | 153 | } 252 |
| Cienciała " | 79 | 20 | — | 99 | |
| Obratschaj " | 108 | 34 | 86 | 228 | |
| | | | Razem | 480 | |

Przy wyborze ściślejszym otrzymali:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| Świeży | 85 | 79 | 51 | 215 |
| Obratschaj | 122 | 30 | 86 | 238 |
| | | | Razem | 453 |

[1]) Śląsk cały wybierał wtedy do rady państwa 3 posłów z kuryi wielkiej posiadłości, 4 z miast i 3 z gmin wiejskich, z tego jeden tylko na Księstwo cieszyńskie.

Gdyby przy wyborze ściślejszym wszyscy ewangelicy Polacy oddali byli swe głosy ks. Świeżemu, zamiast klęski stronnictwo narodowe święciłoby tryumf, tymczasem część ich wolała, jak to wykazuje różnica głosów (116 i 85) w pow. cieszyńskim, usunąć się od głosowania, aniżeli dać swój głos księdzu katolickiemu.

Niemniej ciekawym był rezultat wyborów do sejmu w r. 1884. Separatyzm pomiędzy wyznaniami trwał jeszcze. W okręgu wiejskim Cieszyn - Frysztat - Jabłonków, katolicy-narodowcy przeparli wprawdzie swoich kandydatów ks. Świeżego i Pawła Kanię, Cienciała zaś padł, ale za to w okręgu Bielsk-Strumień-Skoczów Polacy ponieśli klęskę tylko dlatego, że w ostatniej decydującej chwili zabrakło jednego głosu polskiego dla katolika - narodowca Tomaszczyka. W okręgu Frydek-Bogumin zwyciężył wtedy 75 głosami kandydat katolickich narodowców Pitrzyk z Bruzowic[1]) kandydata liberalnego Obratschaja, ale że obaj ci panowie wcale nie różnili się między sobą, to najlepiej świadczy o tem fakt, że owego Pitrzyka, posła *narodowego*, musieli katolicy usunąć ze Związku katolików śląskich za działalność wrogą Polakom przy wyborach do rady państwa w roku następnym 1885. Od tego czasu ów Pitrzyk stale się wysługiwał partyi liberalnej.

## *Związek śląskich katolików.*

Ale nie dziwmy się temu, do roku bowiem 1883 nie było żadnej organizacyi politycznej, którаby w społeczeństwie polsko-śląskiem wyrabiała poczucie siły, wzmacniała ducha karności i solidarności i szerzyła pojęcia o uczciwości społecznej, o honorze narodowym. Stalmach przez wiele lat przemyśliwał nad tem, aby towarzystwo takie założyć, w któremby skupiała się praca nad politycznem wyszkoleniem ludu śląskiego, w któremby ludność obu wyznań jednoczyła się pod wspólnym dla wszystkich sztandarem narodowym. Ale różne okoliczności, między innemi i zawiści osobiste, sprawiły, że sprawa przewlekała się z roku na rok. I dopiero w r. 1883 powstała pierwsza organizacya polityczna p. n. „Związek śląskich katolików“, która jednak, jak nazwa wskazuje, rozpoczęła pracę na gruncie odrębności wyznaniowej. Okoliczność ta miała, jak łatwo zrozumieć, następstwa bardzo niepożądane, bo

[1]) Warto zaznaczyć, że owe Bruzowice należą do tak zw. „czeskiego“ obszaru w pow. frydeckim, gdzie w r. 1910 spis urzędowy wykazał rzekomo tylko 2.1% Polaków.

do organizacyi takiej wstępowało dużo żywiołów niepewnych a nawet szkodliwych pod względem narodowym. Bądź cobądź Związek rozwinął w pierwszych latach istnienia dosyć energiczną działalność. Naprz. w drugim roku istnienia 1884 odbył 13 masowych zgromadzeń, z tych trzy w samym Cieszynie. Najmniej liczne zgromadzenia liczyły do 500 uczestników, zaś pod gołem niebem odbywane liczyły częstokroć do 5000 ludzi i więcej. Członków miał Związek wtedy około 2500. Ten pomyślny stan trwał lat kilka; jedno z dalszych zgromadzeń miało uczestników do 8000 ludzi. Odbyło się ono na górze Praszywej przy kościółku, pono cudami słynącym. Działalność Związku chwalebnie się zaznaczyła przy paru z kolei wyborach do sejmu i rady państwa, kiedy głównie dzięki jemu wybrano posłów narodowych, już jednak po kilku latach daje się zauważyć pewne wyczerpanie, liczba członków w r. 1889 spada do 1600, zgromadzeń odbywa się coraz mniej, ludność coraz mniejszy bierze w nich udział i zaledwie w czasie przedwyborczym działalność nieco się ożywia. W r. 1893 według drukowanego sprawozdania Związek miał już tylko 700 członków, którzy wnieśli wkładki i około 250, którzy już dłuższy czas zalegali z niemi. W ostatnich latach stulecia organizacya ta trzymała się jeszcze dzięki tylko kilku członkom-delegatom, bardziej ofiarnym i bardziej energicznym.

*Obywatelskie przymioty ludu.*

Na ludność miast Związek uwagi swojej nigdy zbytnio nie zwracał, członków z pośród polskiego drobnomieszczaństwa na palcach policzyć było można, rozwijał działalność swoją wyłącznie wśród rolników. Na dowód zaś, jacy ludzie znajdują się wśród ludu śląskiego, jakie istnieje wśród nich poczucie obowiązków obywatelskich, przytoczę następujący charakterystyczny epizod. Pewien wyborca („wahlmann“), członek Związku, dażąc piechotą na pociąg, mający go zawieźć do Bielska na miejsce wyborów, przekonywa się, że już nie zdąży na stacyę, że pociąg już rusza i oto bieży już dość szybko ku miastu. Co tu począć? Spóźni się na wybory. Głosu jego miałoby brakować? W tym właśnie okręgu najgroźniejsze jest zwykle niebezpieczeństwo dla narodowców. Nie! on musi być na czas. Puszcza się pędem na przełaj przez pola, zabiega drogę pociągowi, zatrzymuje go i najspokojniej wsiada do wagonu. Przybył do miasta na czas, oddał swój głos na kandydata narodowego, dopomógł do zwycięstwa, zapłaciwszy 25 złr.

kary za nieprawne zatrzymanie pociągu na linii. Dodać należy, że był to posiadacz drobnej własności rolnej, dla którego wydatek taki poważny stanowił uszczerbek. Epizodów podobnych powyższemu opowiadano mi kilka z różnych okolic kraju i z różnych czasów. Lud, posiadający takich obywateli Polaków między sobą, nie może zginąć i nie zginie.

### *Towarzystwo polityczno-ludowe.*

Wnet po założeniu Związku przez katolików i ewangelicy postanowili coś zdziałać w tym kierunku, aby nie powiedziano, że katolicy zrobili coś, czego nie potrafią ewangelicy. Żeby zaś wskrzesić tym razem myśl, dawniej często wyrażaną przez Stalmacha, że towarzystwo polityczne na Śląsku nie powinno być wyznaniowe, lecz ogólno-narodowe, więc założyli w r. 1884 *Towarzystwo polityczno-ludowe* bez cechy wyznaniowej, przystępne dla osób wszelkich wyznań, które miało zorganizować cały lud polski księstwa pod sztandarem narodowym, a następnie pomiędzy innemi, założyć własne pismo polskie celem zwalczania kierunku katolickiego, reprezentowanego od pewnego czasu przez *Gwiazdkę Cieszyńską*.

Z programu swego, ułożonego zresztą dość trafnie, Towarzystwo nie spełniło właściwie ani jednego punktu. Działalność w paru pierwszych latach ograniczyła się do urządzenia dwu czy trzech zgromadzeń małolicznych, do wydania paru sprawozdań o tem, czego się nie zrobiło, a co zrobić należało, lub o tem, co się zrobiło, a czego czynić nie należało — i na tem koniec. Z początku podobno miało do 300 członków, w ostatnim jednak dziesiątku lat zeszłego stulecia nie okazywało już żadnego żywszego dowodu swej działalności oprócz wydawania kalendarza górniczego o bardzo niewybrednej treści. Wśród członków swoich Towarzystwo polityczno-ludowe liczyło katolików nader niewielu, a do pierwszego zaraz zarządu na 9 członków wybrano 6 ewangelików i 3 katolików, co dawało do myślenia, że towarzystwo kierowane jest głównie przez ewangelików, nie posiada więc tej cechy bezkonfesyjnej, jaką mu w nazwie nadano. A przytem stosunek ten był wprost odwrotny, aniżeli u ogółu ludności polskiej na Śląsku, która składała się i składa w $^1/_3$ z ewangelików a w $^2/_3$ z katolików.

### *Uświadomienie polityczno-narodowe Ślązaków.*

Utarło się u nas błędne mniemanie, jakoby ludność ewangelicka na Śląsku była bardziej uświadomiona narodowo od katolickiej. Chociaż sam ewangelik, muszę stwierdzić, że raczej jest wprost przeciwnie, a przynajmniej tak było w czasach, o których tutaj mówię. W r. 1885 podczas wyborów na 330 głosów polskich narodowych było: 300 i kilka katolickich a zaledwie 20 i kilka ewangelickich. W owej epoce stosunek ten stale się powtarzał, nawet przy wyborze ewangelika. W najlepszym więc razie wyrażał się w stosunku jak 300 do 30, czyli 10 do 1, że zaś ludność polska w $^2/_3$ składała się z katolików a w $^1/_3$ z ewangelików, więc przy równem uświadomieniu udział katolików przy wyborach powinien był wyrażać się cyfrą 6.6 a udział ewangelików cyfrą 3.3. A z tego wynika jasno, że uświadomienie polityczno-narodowe ludności katolickiej było znacznie wyższe niż ewangelickiej.

Naogół jednak to uświadomienie było jeszcze 25 lat temu bardzo niedostateczne. Oto w r. 1893 podjęto starania celem zmuszenia starostw do ogłaszania dzienników urzędowych w dwu językach, do tego bowiem czasu tylko po niemiecku je drukowano. Na zapytanie starostwa bielskiego, wysłane do gmin, czy żądają tej zmiany i zgadzają się na powiększenie kosztów nakładu, natychmiast odpowiedziały *przychylnie* tylko gminy *niemieckie:* Stare Bielsko (Alt-Bielitz), Aleksandrowice (Alexanderfeld), Wapienica (Lobnitz), Międzyrzecze Górne (Oberkurzwald) i Komorowice. Polskie gminy wogóle nie spieszyły się z odpowiedzią a następujące wcale nie odpowiedziały: Ligota, Chybi, Frelichów, Mnich, Zabłocie, Lipowiec, Baków, Drogomyśl, Wisła, Cisownica, Mazańcowice, Próchna, Rudzica i Pierściec. Tu wymienione gminy przeważnie miały ludność ewangelicką.

### *Równouprawnienie narodowe w praktyce.*

„Lud nasz śląski jest potulny, dobroduszny i zahukany, przyzwyczajony znosić cierpliwie wszystko, cokolwiek z nim robią“ — oto charakterystyka, z jaką spotykałem się często przed 25 laty i mogłem stwierdzić osobiście, że istotnie tak było. Obecnie dzięki pracy wielu działaczy charakter ten uległ znacznej zmianie na lepsze, ale wówczas jeszcze lud śląski był ciągle tym kopciuszkiem, którego przewodnia warstwa niemiecka lżyła, kopała i wyzyskiwała, bo nikt się za nim nie ujmował a sam nie posiadał jeszcze

na tyle odwagi, aby stanąć w obronie własnej godności, własnych praw i własnego dobra. Ale dopóki istniał krzycząco niesprawiedliwy podział na kurye wyborcze z chytrze obmyślaną gieometryą okręgów wyborczych, dopóki system ów nadawał prawo garstce kilkunastu właścicieli wielkich wysyłać tylu posłów do sejmu, ile kilku krociom tysięcy ludu, dopóty o istotnem polepszeniu nie było można myśleć na seryo. Dopiero wprowadzenie powszechnego, tajnego, bezpośredniego i równego prawa wyborczego dokonało faktycznego przewrotu w stosunkach na korzyść ludu polskiego.

Sejm śląski składał się z 31 posłów, a mianowicie: z jednego wirylisty biskupa wrocławskiego, 9 wielkich posiadaczy, 10 posłów miejskich, 2 z izby handlowo-przemysłowej i 10 z gmin wiejskich. Z tego na księstwo cieszyńskie przypadało: 4 posiadaczy wielkich, 4 z miast i 4 z gmin wiejskich. W tej ordynacyi wyborczej księstwo cieszyńskie bardzo dotkliwie upośledzono w porównaniu z częścią opawską. Chociaż ludność wiejska w obu częściach kraju jest niemal jednakową liczebnie, to mimo to Cieszyńskie wybierało tylko 4 posłów, gdy Opawskie sześciu. Tak samo do rady państwa: Cieszyńskie wybierało jednego posła, Opawskie dwu posłów.

Dalej trzeba zaznaczyć, że autonomia, konstytucyą zawarowana, na Śląsku nie została całkowicie przeprowadzona, wcale naprz. nie zaprowadzono rad powiatowych, a to w obawie przewagi w nich żywiołu słowiańskiego.

Dziennik urzędowy starostwa cieszyńskiego do r. 1894 wychodził tylko w języku niemieckim. W tym roku dopiero zaczęto go drukować w trzech językach krajowych: niemieckim, polskim i czeskim.

Urzędy polityczne obowiązane były do załatwiania podań polskich po polsku, mimo to jeszcze 25 lat temu odpowiadały tylko po niemiecku. Starostwa, rady miejskie, urzędy skarbowe, pocztowe i t. p. wszelkie obwieszczenia zazwyczaj ogłaszały tylko w języku niemieckim, czasem tylko jako ustępstwo w okolicach lub miastach z ludnością polsko-niemiecką dodawały tekst drugi, ale — p o c z e s k u!

Pod tym względem wszystkie niemal urzędy i władze postępowały sobie w sposób całkiem lekceważący miejscową ludność polską. Oto parę dość jaskrawych faktów. We wrześniu 1892 r. z powodu cholery rozdawano drukowane pouczenia, ale tylko po niemiecku. Wprawdzie „Gwiazdka“ upominała się o doręczanie tych przepisów w języku polskim, ale robiła to tak rzadko i w takiej

formie, że się z tem nikt nie liczył a sama ludność polska zachowywała się obojętnie. Podobna rzecz zaszła w Opawie, ale tam użyto wszelkich środków, aby zmusić władze do wydrukowania i po czesku, chociaż w tem mieście jest daleko mniejszy procent Czechów, niż Polaków w Cieszynie.

W październiku 1895 r. przed wyborami uzupełniającymi do rady państwa na miejsce Kluckiego rozdano wyborcom w Cieszynie karty do głosowania w językach niemieckim i czeskim! O polskim starostwo zupełnie zapomniało i o to już nikt tym razem się nie upomniał. Należy zaś pamiętać, że w Cieszynie było w r. 1890 według spisu urzędowego 8000 i kilkuset Polaków, Czechów zaś tylko 699!

Urzędy wszelkie w ks. cieszyńskiem obsadzane były Niemcami, w znacznym też stopniu Czechami. Tych ostatnich zwłaszcza dużo na pocztach, w skarbowości i w sądownictwie. Tłumaczy się to tem, że gałęzie te administracyi państwowej zależały od wyższych instancyi, mieszczących się w Bernie, gdzie wpływy czeskie są dość duże. Sądy w Cieszyńskiem należały też do apelacyjnego okręgu berneńskiego, skąd do okolic czysto polskich nasyłano Niemców lub Czechów, nie mogących się porozumieć z ludnością miejscową. Jeśli urzędnik jest Czechem, nie wymaga się od niego wcale znajomości języka polskiego. Protokoły w sądach pisano tylko po niemiecku, wszelkie wezwania sądowe wypisywano tylko w języku niemieckim. Urzędników zaś Polaków przenoszono do opawskiej części Śląska lub na Morawy, gdzie nie byli wcale potrzebni.

Na dowód, że nasyłanie Czechów w miejsce Niemców nie usuwało wcale niedogodności, przytaczamy epizodzik komiczny, jaki zaszedł na poczcie cieszyńskiej. W początku r. 1891 ks. Stojałowski wydał kilka numerów gazety p. t. „Polska“, wkrótce potem, gdy wydawnictwa tego zaniechał, wyjechał do Jerozolimy. Tymczasem z Galicyi nadsyłano kilka gazet dla Czytelni ludowej w Cieszynie, adresując mylnie „Czytelnia polska“. Chociaż łatwo można było domyśleć się, że to omyłka tylko, przez trzy tygodnie gazety te zwracano do Galicyi z dopiskiem „Der Adressat nach Jerusalem abgereist“.

W sądzie cieszyńskim w r. 1886 na miejsce 2 Polaków, 1 Czecha i 1 Niemca mianowano nowych sędziów, w tem 3 Czechów i 1 Niemca. W r. 1885 na powiat jabłonkowski był poborcą podatkowym Czech Skuta, który też zaopatrzył swoje biura w napisy czeskie. W tym czasie powiat ten liczył Polaków 24.371

Niemców 949 a Czechów 93! Takich przykładów możnaby przytoczyć setki.

*Obrona Śląska ze strony Galicyi.*

Z kolei warto przypomnieć, jak społeczeństwo polskie w Galicyi zachowywało się wobec krzywd, doznawanych przez ludność Śląska. Odpowiedź wprawdzie nie może wypaść zbyt zadowalająco, ale to z wielu powodów, które poniekąd usprawiedliwić należy. Ludność polska Galicyi sama niezbyt dawno pozbyła się ucisku germanizacyjnego, pokost niemiecki jeszcze obecnie po upadku Austryi przywiera na niej dość silnie, przytem politycznie mało samodzielna i ulegająca do ostatnich czasów wpływom rządzącej kliki konserwatywnej, długi czas Śląskiem mało się interesowała i dopiero w ostatnich latach ubiegłego wieku zainteresowanie to przybierać zaczęło jakieś konkretniejsze formy. Właściwie, jeśli chodzi o prawa polityczne i narodowe ludności polskiej na Śląsku, to społeczeństwo jako takie, bezpośrednio nie wiele mogło dla Śląska uczynić, właściwem bowiem forum, które powinno było słuchać skarg Śląska i krzywdom jego przeciwdziałać, było Koło polskie w Wiedniu, a to, jak wiadomo, nigdy szczerze Śląskiem zająć się nie chciało, bo nie prowadziło nigdy polityki jednolitej ani polskiej, ani słowiańskiej.

Dlatego też nie wiele można przytoczyć faktów tej opieki, jakiej społeczeństwo polskie w Galicyi powinno było użyczać Śląskowi cieszyńskiemu. Parokrotnie rady miast galicyjskich, a między niemi rada krakowska, wysyłały petycye do Koła polskiego o równouprawnienie narodowe na Śląsku, ale to mijało bez najmniejszego śladu i jakichkolwiek następstw.

W marcu 1881 roku poseł Tyszkowski, członek Koła polskiego, postawił w Kole wniosek: 1) aby zniesiono rozporządzenie ministeryalne z r. 1852, tyczące się języka niemieckiego w sądach i wydano nowe, uwzględniające oba języki słowiańskie, 2) aby Koło zażądało założenia w Cieszynie rządowego seminaryum nauczycielskiego oraz szkół średnich z polskim językiem wykładowym oraz takichże zakładów w Opawie z czeskim językiem wykładowym.

W końcu maja tegoż roku dzięki inicyatywie tegoż posła udała się do Wiednia, do ministrów deputacya, złożona z ks. Świeżego, pastora Michejdy, Glajcara z Sibicy i Jana Juroszka, burmistrza z Istebnej, z petycyami od stu blisko gmin w sprawie równouprawnienia narodowego. Rezultatem tych zachodów było

„rozporządzenie językowe“ ministra sprawiedliwości Prażaka, obowiązujące sądy do przyjmowania podań w języku polskim. Podobne rozporządzenie wystosował także hr. Taafe, jako minister spraw wewnętrznych, do władz i urzędów politycznych. O zadośćuczynieniu innym żądaniom ani mowy nie było.

A propos owego wniosku posła Tyszkowskiego dodać należy następujący szczegół. W roku 1896 czy 1897 pojawiła się broszurka p. n. „Silesiana“ p. Wojciecha Gorazdy, opisująca genezę interpelacyi posła Tyszkowskiego i przebieg towarzyszących jej okoliczności i dalszych jej następstw. Rzecz to ciekawa wielce z tego względu, że wyświetla stanowisko Koła polskiego w sprawie śląskiej i całą wartość wystąpień takich ludzi, jak poseł Tyszkowski, który o stosunkach śląskich nie miał najmniejszego wyobrażenia i referował wniosek, podsunięty mu z boku. Coś podobnego stało się w kilkanaście lat później, o czem jeszcze obszerniej powiemy.

W lutym 1882 r. podpisywano znowu petycye w całej Galicyi do Koła polskiego o równouprawnie językowe na Śląsku, co było tylko nową garścią grochu, rzuconego na ścianę. W kilka lat później poseł ks. Kopyciński wystąpił w Kole polskiem w obronie krzywdzonego Śląska, ale podnosić tej sprawy w parlamencie mu nie pozwolono i gwoli też osławionej solidarności Koła zastosował się do tego zakazu.

Fałszywie pojętą zasadę tej solidarności szanował też ściśle poseł śląski do Rady państwa ks. Świeży przez wszystkie kadencye swego posłowania. Przez wiele lat słyszało się ciągłe narzekania narodowców cieszyńskich na Koło polskie, na jego stanowisko obojętne, a nawet jakby nieprzychylne względem Śląska, narzekania i skargi całkiem słuszne, ale — nie wahamy się tego powiedzieć — nieszczere i obłudne, bo nie licujące wcale z postępowaniem właśnie ks. Świeżego. Pamiętamy naprz. zgromadzenie w Mazańcowicach z d. 9. sierpnia 1891 r., na którem ks. Świeży, przyparty do muru, oświadczył, że „jeszcze chce rok poczekać na czyn ze strony Koła polskiego, a jeśli on nie nastąpi, to zabierze się do energiczniejszych kroków“. Tymczasem nie rok, ale wiele lat upłynęło, a ks. Świeży nie odważył się na żaden męski czyn i grząsł w trzęsawisku Koła polskiego aż do śmierci.

Z końcem października 1896 r. za prezydentury gabinetu hr. Kazimierza Badeniego poseł czeski Pacak postawił wniosek nagły, żądający równouprawnienia obu języków krajowych w służbie wewnętrznej władz państwowych w Czechach, na Morawie i na

Śląsku, a na tym ostatnim także równouprawnienia języka polskiego. Okoliczność tę postanowił wyzyskać dla zaszachowania Koła polskiego poseł Karol Lewakowski, ówczesne *l'enfant terrible* reprezentacyi naszej w Wiedniu. Rozprawa nad nagłością wniosku naznaczona była na d. 6. listopada, Lewakowski skorzystał więc z tych kilku dni, aby przygotować się do wygłoszenia mowy w parlamencie w sprawie Śląska. Spostrzegł jednak, że właściwie nie wiele wie o stosunkach śląskich, wsiadł więc na pierwszy pociąg pośpieszny i przyjechał do Lwowa — po konieczne informacye. Redakcya „Kuryera lwowskiego“, do której zwrócił się w tym celu, skierowała go do mnie, wiedząc, że niedawno wróciłem z Cieszyna po paroletnim tam pobycie. Konferencya moja z Lewakowskim trwała parę godzin, lecz już po kwadransie rozmowy nabrałem dostatecznego pojęcia o wartości jego jako polityka-parlamentarzysty. Człowiek niewątpliwie dobrych chęci, ale nieco próżny i przeceniający swoją wartość, mówił dosyć niewyraźnie, zdaje się z braku zębów i nieznośnym akcentem lwowskim („uródziłem się w Snopkowie“). W sprawie Śląska cieszyńskiego okazał przytem grubą ignorancyę. Nie wystarczało dać mu informacye w surowej formie, należało ułożyć całe przemówienie do Izby posłów i na tem stanęło. Pracowałem całą noc i nazajutrz dałem mu na kilku arkuszach materyał, który tylko należało wygłosić w języku niemieckim.

Dnia 6. listopada Lewakowski w debacie nad nagłością wniosku Pacaka zabrał głos za nagłością i mimo słabych zalet oratorskich zrobił swem wystąpieniem pewne wrażenie w parlamencie. Nie wiele to jednak sprawie śląskiej pomogło. Prezes Koła polskiego Jaworski oświadczył, że Koło polskie życzy sobie najszczerzej, ażeby doszło do zgody obu narodowości w Czechach, *głosować jednak będzie przeciw nagłości.* W głosowaniu nagłość wniosku odrzucono.

Epizod z Lewakowskim daje przykład tego, jak Polacy na arenie parlamentarnej bronili sprawy Śląska cieszyńskiego.

### *Przyłączenie Śląska cieszyńskiego do Galicyi.*

Jak wiadomo, Śląsk cieszyński nie graniczy bezpośrednio ze Śląskiem opawskim, obie te części bowiem, pod względem administracyjnym stanowiące całość, oddzielone są od siebie klinem Moraw. Okoliczność ta, stanowiąca jeden z wielu dziwolągów austryackich, powinna była już od nastania ery konstytucyjnej

sama przez się nasuwać Polakom austryackim postulat przyłączenia Śląska cieszyńskiego do Galicyi. Tymczasem dopiero projekt wyodrębnienia Galicyi przypomniał tę sprawę, ale to już stało się w stuleciu bieżącem, więc nie wchodzi w zakres niniejszej pracy. O ile zaś chodzi o drugą połowę zeszłego wieku, w związku z politycznym podziałem Księstwa śląskiego możemy przytoczyć zaledwie parę niezbyt ważnych szczegółów.

W r. 1860 z d. 15. listopada ustało czasowo urzędowanie c. k. śląskiego rządu krajowego i zarząd nad krajem przeszedł pod namiestnictwo morawskie w Bernie. Trwało to do dnia 29. marca następnego roku.

W czerwcu 1871 r. szowiniści niemieccy ze Śląska rozpuszczali pogłoskę, że w sferach urzędowych podniesiono myśl podziału Śląska pomiędzy Galicyę i Morawy, lecz na czem się ona opierała, nie wiadomo nam.

W końcu 1879 r. mówiono o projektowanem zniesieniu rządu krajowego śląskiego, podobno ze względów oszczędności.

Oto wszystko. Od tego czasu nawet pogłoski podobnej treści nie krążyły wcale, co dowodziło, że odnośne koła zgoła czem innem zajęte być musiały.

Wacław Naake-Nakęski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Narcyza Żmichowska

## w świetle swych zwierzeń.

(Ciąg dalszy).

I.

Dzieciństwo i pierwsza młodość Narcyzy bardzo słabe znalazły wspomnienie w jej listach. Kilka drobnych wzmianek i jeden list [1] młodziutkiej dzieweczki opowiadający wypadki, do których pamięć jej sięga. — A szkoda. Bo z dzieciństwa wyniosła Narcyza wiele wrażeń, które odbiły się na jej działalności literackiej. — charakter jej pełen zapału już się wtedy wyraźnie zarysował.

Pierwsza chwila w jej życiu „pamięcią zatrzymana" — to jakiś błękitny pokój, a przy niej matka — tak nazywała stryjenkę Teklę Żmichowską. Matka bowiem umarła przy jej przyjściu na świat. Wiktorja z Kiedrzyńskich Żmichowska była rodem z Poznańskiego. W czasie pierwszego pobytu Narcyzy w Księstwie opowiadano o niej dużo: „dobrą, doskonałą, piękną, rozumną była".[1]) Dumną jest z tego jakby przymioty matki były jej zasługą, „została mi po niej przyjaźń tych co ją znali, jej pamięć za tysiąc zalet mi wystarczy, tysiące brakujących mi zastąpi przymiotów".[2]) Świadomość, że przy jej urodzeniu umarła „tak cnotliwa i święta jak anioły matka" — zbudziło w niej myśl, że może niebo zesłało ją do „wzniosłych przeznaczeń wśród ludzi".

---

[1]) T. III. 496.
[2]) T. I. 45.

Wspomnienie stryjenki wypływało już nie z wyobraźni lecz z uczucia. Wiemy skąd inąd jak dalece pobyt na wsi, na Podlasiu. wpłynął na małą dziewczynkę. Dobre stosunki z ludem — współżycie dworu z nim — dały Narcyzie szereg obrazów, które wpływ wywarły na pierwsze jej utwory [1]) i w ostatniej pracy [2]) odbiły się echem. Kultu dla bajek. opowiadań fantastycznych nie zdołała wyplenić z jej umysłu nawet epoka pozytywistyczna.

Podobno listy [3]) sześcioletniego dziecka świadczą o jej umyśle żywym, wrażliwym, pozostałe fragmenty dzienniczka [4]) o upodobaniach literackich. To też nic dziwnego, że to co w jej małą duszyczkę wszczepiła Tekla Żmichowska na długie lata mogło pozostać nietknięte. Religijność — ostała się pessymizmowi — który zawładnął całą jej duszą przez czas jakiś. Nazywa to dobrodziejstwem, które z za grobu jeszcze działa. Gdy zniechęcona własnemi przykrościami, „w świecie same złe i same nieszczęścia widząc“, nie mogła pojąć dobroci Boga, chciała „w nicość uwierzyć“. Wspomnienie przybranej matki kazało wierzyć w Boga i przyszłe życie: „bo nigdy przypuścić nie mogłam, aby tyle cnoty, miłości, dobrych uczynków, łez nad cudzemi cierpieniami wylanych. tyle własnych cierpień — próżno. bez nagrody i bez celu w prochu ziemi skończyć się miało“ [5]).

Wskutek zmiany stosunków rodzinnych przechodzi Narcyza pod opiekę wujenki Kiedrzyńskiej. Tam spotyka się ze swą najstarszą siostrą. Wogóle w latach dziecinnych mało stykała się ze swem licznem rodzeństwem. Ojciec [6]) nie mógł opiekować się całą gromadką. Więc dzieci były pod opieką różnych krewnych. Ojca widuje rzadko. Wogóle w życiu jej nie grał on żadnej roli, — po śmierci żony, zrozpaczony i smutny mało się dziećmi opiekuje. Kornelia [7]) już podlotek zajmuje się swą małą siostrzyczką, nietylko ją czesze, ubiera, uczy pojętną bardzo dziewczynkę początków czytania i pisania, ale co ważniejsze opowiada śliczne powiastki i pie-

---

[1]) Prządki.

[2]) Czy to powieść. Wiek 1876 i 7.

[3]) Tygodnik Illustrowany. 1877. „Narcyza Żmichowska“ przez W. Żeleńską.

[4]) „Piszę swój pamiętnik choć nie wiem, czy mi go Wikcia na papiloty nie potnie“. Listy I. Wstęp LXXVIII.

[5]) T. I. 21.

[6]) Pisarz żupy solnej w Nowem Mieście.

[7]) Późniejsza Glogerowa.

ści: „jedyna pieszczota, prawdziwie rozpieszczająca, jaką z dzieciństwa pamiętam". [1])

Małe serduszko poraz drugi oderwać się musi od tych, do których się przywiązało. Wyjazd na pensyę p. Wilczyńskiej, najlepszą wówczas w Warszawie, oddala 8-letnią Narcyzę na sześć lat od rodziny. Pobyt ten w Warszawie znów tylko paru wspomnieniami zaznaczył się w listach — choć wiemy ile mu Narcyza zawdzięczała. Świetny, jak naówczas program pozwolił jej nabyć obfity zapas wiadomości, pedagogiczny kierunek dodatnio wpływał na rozwój charakteru, a przedewszystkiem wpływała na to osoba przełożonej, wszystkim swym uczenicom zastępującej matkę. To też na wieść o jej śmierci mogła Narcyza z bólem zawołać: „Ja zawsze byłam sierotą". Zdawało się jej, że poraz trzeci traci matkę, że życie wciąż brutalnie odrywa ją od tego co „złudzenie najświętszego uczucia czyniło". Pamięć tej kobiety zachowała do późnej starości. Charakteryzuje ją w ten sposób: „była dobrą, aż do łatwowierności, ustępną aż do niepostrzeżenia własnej krzywdy, a cichego i miłosiernego serca, jak błogosławieństwo ewangieliczne".

„Lehrjahre" Narcyzy nie są nam z jej listów znane, ponieważ w danej chwili tylko na tym materyale się opieramy, więc musimy zrobić wielki przeskok w jej biografii. Wiemy tylko z jej pamiętnika, w którym notuje wspomnienia z czasów pensyonarskich, że z natury była leniwą, że nigdy nie pracowała z zapałem i łatwością. Jedynie historyę, która przemawia do jej wyobraźni, lubi i uczy się jej chętnie.

Mamy do czynienia już z czternastoletnią dziewczynką — która wita powstanie entuzyastycznie. — Tak przynajmniej w lat parę opowiadała bratu tę chwilę. „Powstanie Polski znalazło mię silną, pełną zapału".[2]) Prosi Erazma by się nie śmiał i my się śmiać nie będziemy. Wychowana w tradycyach żołnierzy Napoleońskich miała wówczas kult dla zbrojnej siły, ruch każdy ku wolności był jej drogim. Już przedtem demonstracyjnie manifestowała swą sympatyę do rewolucyi francuskiej i pomimo próśb ukochanej przełożonej, nie chce się wyrzec swych przekonań. Ta sympatya nie opuszcza jej nigdy, w Paryżu czyta pilnie dzienniki z owych czasów.

---

[1]) Listy. T. II. 548.

[2]) T. I. 15.

Teraz chce pensyę porzucić, stanąć przy boku którego brata „śpiewać zwycięstwo jak nowy Tyrteusz“.

Idąc śladem Aleksandra Macedońskiego zaprawia się do przyszłych niewygód i braków. „W nocy opuszczałam moje łóżko, żeby na twardej zasnąć podłodze, znosiłam przykre zimno bez skargi i narzekania, — a że w ogrodzie była duża ławka z kamienia, tam chodziłam niepostrzeżona mej siły próbować — i trudnoby mi było opisać radość moją, gdy widziałam, że się kamień podług mej woli, siłą moją porusza“.[1]) Te ćwiczenia przerwała choroba, w czasie której uświadomiła sobie, że jeszcze nie czas na czyn i czekała na nowe siły. Próby bowiem z kamieniem na ten raz zawiodły. Dwie jej koleżanki — którym głowy „przewróciła“ plany jej wykonały. O ile wiemy — nie musiały jednak zdobyć sławy Emilii Plater, bo historya o nich milczy. a Narcyza po kilku latach jeszcze się rumieni, że coś podobnego zamyślała — i to w dodatku rumieni się więcej niż „człowiek z wielkiego świata, gdy go przekonają, że ukradł żydom pieniądze, przy kartach zaciągniętego długu nie zapłacił“.[2])

Opuszczamy bohaterską dziewczynę w przededniu jej wstąpienia do instytutu dla nauczycielek. Tu wiemy, że zetknęła się z Hoffmanową, ale ta kobieta wpływu na nią nie wywarła, — przeciwnie wyobraźnia Narcyzy żywa, kołysana baśniami i wspomnieniami przeszłości, nie znalazła pokarmu w wykładzie sumiennym, lecz suchym. Z pewnemi zastrzeżeniami ocenia zalety i znaczenie Hoffmanowej w późnej starości, ale jako młoda dziewczyna nie garnęła się do autorki „Pamiątki po dobrej matce“. W starości nie mogła jej zapomnieć, że nie kochała swych uczenic. Narcyza mówi, że po ukończeniu edukacyi zabrała się samodzielnie do nauki, sądziła, że ją „daleko zaprowadzi“. Nie ulega wątpliwości, że grunt ku temu był przygotowany. Wilczyńska umiała ocenić swe wychowanki i do Narcyzy odnosiła się specyalnie życzliwie, starając się ułatwić jej nabycie wiedzy. I więcej jeszcze — sądzić można, że życzliwością otaczała młodziutką poetkę. Narcyza nieraz mówiła, że należała do tych „biedaczek, którym Wilczyńska dała chleb ciała i duszy, odzież zewnętrzną i umysłowe stroje“.[3])

---

[1]) Listy. T. I. 15.
[2]) T. I. 15.
[3]) Felicya Boberska „Narcyza Żmichowska“. str. 8.

Może zwróciła jej specyalną uwagę deklamacyą swego wiersza „Śmierć zdrajcy Ojczyzny“.[1]) Ze wspomnień uczenicy i przyjaciółki Żmichowskiej wiemy,[2]) że wyjazd brata na emigracyę pożegnała wierszem

„Sama niewiem w którą stronę,
Braterskie posłać westchnienie“

Nie brak pewno było jej poezyi w albumach przyjaciółek.

II.

Ciekawym dokumentem psychologicznym jest pamiętnik młodziutkiej Narcyzy pisany po ukończeniu nauk w ciągu dwu lat z przerwami [od 12. marca 1835 do 3. stycznia 1837]. Przez ten czas jest ona bądź w Mężyninie[3]) u swych wujostwa Kiedrzyńskich, bądź też bawi u której z sióstr zamężnych np. u Lewińskiej Wiktoryi w Rzeczycy. Narcyza jest panną na wydaniu, tak ją przynajmniej traktuje jej ówczesna opiekunka Kiedrzyńska. Między temi kobietami dziwny panuje stosunek. Narcyza jest pełną zachwytu dla tej pięknej mądrej kobiety, której dusza „nie jest z powietrza, ale też nie ze strojów i gazy“. Ale są między niemi tak wybitne przeciwności charakteru, że o zbliżeniu się niema mowy. Egzaltacya młodej dziewczyny, trzeźwość niezwykła dojrzałej kobiety ścierają się na każdym kroku. — rezultatem tego jest, że uwielbiając swą opiekunkę Narcyza jej nie kocha i bardzo się jej boi. Czuje na sobie wciąż krytyczne spojrzenie i radaby pod ziemię się schować, by nie być przedmiotem obserwacyi. Wujenka narzuca jej wciąż swą wolę, każe się uczyć muzyki — wbrew zdolnościom i pomimo braku zamiłowania — natomiast z pogardą patrzy na ulubione książki młodej panienki. Narcyza jest w okropnej często sytuacyi, boi się narazić opiekunce — z żalem więc odrywa się od swych najmilszych zajęć. Rola jej w domu krewnych jest niewyraźna z tego względu, że brak jej pieniędzy i jest w zupełności od nich zależna. „Jestem jak zwierzę domowe, które powinno skakać i cieszyć się, gdy jego panu łaskawy humor drażnienia się z nim przyjdzie“ — wprawdzie czasem „obdarzą słówkiem dobroci i przywiązania“ — ale i „z psami się pieszczą“, dodaje smutnie. To wszystko są kaprysy, którym ulegać musi — natomiast z jej usposobieniem nikt się nie liczy: „moje przyjemności, cierpienia

[1]) Listy. Wstęp LXXVII.
[2]) Tygodnik Illustrowany 1877 str. 26.
[3]) W Łomżyńskiem.

i smutki, wszystko od cudzego zależy humoru. A potem chcą jeszcze, żebym była wesoła, dowcipna, ugrzeczniona. I kiedy mi z nudów serce wyschło, kiedy dusza umarła, oni doskonałości światowej odemnie żądają".[1])

Nietylko tego wymaga się od biednej kuzynki, będącej na łasce krewnych. Gdy goście przyjadą, musi się tak uwijać, że ledwie „nóg nie połamie". Trzeba ustawicznie „latać i kręcić się", wołać na służbę o pośpiech, „kiedy Marysia i Ludwisia spieszyć się ani myślą". Co najgorsza, że Narcyza czuje, iż najpiękniejsze jej lata upływają wśród ludzi, którzy jej nie rozumieją, często wyśmiewają. To też nudzi się i męczy: „Łażę, inna co moment, albo ze mnie się śmieją".

W tych warunkach nic dziwnego, że młoda dziewczyna zaczyna pisać pamiętnik: pisali go ulubieni bohaterzy powieściowi i ulgę im to sprawiało. Ona też sprobuje powierzyć papierowi tajemnice swej egzaltowanej głowy, pierwsze drgnienia niewinnego serca. Rzecz prosta, że o pamiętniku nikt wiedzieć nie będzie, nawet ukochana siostra Lilia dopiero po jej zgonie go odczyta. „Oh! za życia mego nikt tego czytać nie będzie!". Dziennik nie ma obowiązku zawierać tylko jej wynurzeń „to pomieszanie tysiąca, ach! tysiąca rzeczy". Znajdzie się tam też fragment powieści, noszący zresztą wybitny charakter autobiograficzny. Urwie go prędko — za wiele w nim prawdy — a prawdy nie lubi. W powieściach jej późniejszych też wiele „prawdy" znajdziemy.

Poważne miejsce zajmują listy do Ludwiki Michałowskiej, młodziutkiej nauczycielki w instytucie wychowawczym dla kobiet. Poznały się w Warszawie jeszcze i przyjaźń trwa dalej. Listów powierzyć nie można poczcie i jeszcze zdradliwszej okazyi, odda jej przy widzeniu ręka w rękę. Gdy jednak nadzieja spotkania się w stolicy zawiodła — Narcyza decyduje się „wszyć" korespondencye do pamiętnika jako dokument swych przeżyć. Uczucia Narcyzy do Michałowskiej mają charakter gorącego uwielbienia, które niejednokrotnie spotykamy u niej w stosunku do przyjaciółek. Pragnie wyłącznej miłości, jest zazdrosna o każde drgnienie serca nie do niej skierowane. Nazywa Michałowską „kochanką i małżonką" bo, dodaje naiwnie, tylko te tytuły uprawniają do zaborczych wymagań. Dręczy ją bowiem obawa straszna, że ktoś inny miejsce jej zajął, inna przyjaciółka, inna doradczyni. „Zarzucasz ją listami, jak to niegdyś czyniłaś ze mną, dajesz jej te radości, któremi nie-

[1]) 8 październik 1835 r.

gdyś mnie wyłącznie obdarzałaś.[1]) W braku nowych, odczytuje dawne listy przyjaciółki tak piękne, że „umieram z rozkoszy, czytając je w rok po napisaniu". Razem ze wspomnieniami wesele wstępuje w jej serce a potem płacze „nad minionemi radościami". Piękniejsze ustępy deklamuje sobie głośno, pod ich wpływem zrozumiała, że pisać sama musi „żeby nie utracić tej trochy rozumu, jaką jeszcze posiadam". Listy takie „oh! to święta rzecz".

Listy do Michałowskiej pisane są po francusku. Młodziutka ich autorka zaznacza, że nie dla „fanfaronady" używa tego języka. „Języki rozmaite mają charaktery, jeden to, drugi owo lepiej maluje, a gdybyśmy ich więcej umiały, używałybyśmy ich wszystkich, żeby lepiej dać drugiej nasze uczucia do zrozumienia". Zapewne, że młodej duszyczce rozczytującej się w Lamartinie do wyrażenia swych uczuć najwięcej odpowiadał język francuski. W pamiętniku, chociaż gani zły gust Michałowskiej, która wtrąca zdania francuskie w polskie, czyni to samo. A jednak własny zna dobrze. Styl jej prosty, bez ozdób późniejszych zaleca się czystością i mile dziwi w tych czasach, gdy warstwy inteligentne chętniej się uciekały do obcej mowy. Widać tu dodatni wpływ panny Tańskiej. Wogóle zamiłowanie do nauk wyniesione pod wpływem p. Wilczyńskiej, rozwija w sobie dalej. Zajmują ją jednak pewne rzeczy te co do wyobraźni przemawiają, inne tylko nudzą. Pomimo skarg ciągłych na swe próżniactwo „jestem leniwa jak Włoszka", bardzo chętnie nad książką siedzi. Ale cóż kiedy ciotka chętniej ją widzi przy fortepianie lub zajętą rysunkami. Pomimo to Narcyza czyta dużo — raz daje nam spis „bardzo mądrych i poważnych książek": Historya polska przez Rulhiera, francuska przez Segura, życie Napoleona przez Tissot — prócz tego wiele włoskich i angielskich książek. Jeśli to długo potrwa, to się wykieruje na sawantkę — „śmiesznieby było doprawdy"...

Ale naturalnie przedewszystkiem zachwyca ją poezya — Mickiewicz jest jej najulubieńszym autorem i pozostanie nim na długo. Dopiero w starości wyruguje go z zajętego w sercu poetki miejsca Słowacki. Z obcych, przedewszystkiem Lamartine: „cała roztapiam się w jego poezyach, na pamięć się ich uczę, wystaw więc sobie — mówi do Michałowskiej — co to być musi, ja taki próżniak". Zamyka oczy, by nie widzieć drukowanych liter i wtedy zdaje się jej, że to własne myśli snują się po głowie.

---

[1]) Listy są przeważnie bez daty, prawdopodobnie pisane w maju 35 roku.

Narcyza marzy o cichym kąciku, gdzieby nikt jej spokoju nie naruszał, gdzieby mogła czytać i pisać. Czuje, że przez życie nie przejdzie tak spokojnie, jak kobieta przejść powinna. Lepiej więc, by uprzedzając „możliwe szaleństwa“ pozwolono jej energii wyładować się w odpowiedni dla niej sposób.

Mamy więc już wzmianki 16-letniej dziewczyny o potrzebie pisania, nietylko dziennika i listów do przyjaciółek, którym, jak każda niedawna pensyonarka wiele czasu poświęca. Kreśli wszystkie myśli, które przez głowę przejdą, znajduje wielką ulgę, gdy może dać folgę swej wyobraźni.

„To tak miło kiedy rodzą się pod piórem myśli głębokie, pomimo swej pozornej lekkości, pojęcia sprawiedliwe i jasne, wplatać w nie kwiaty wyobraźni, dowcipy, ostre słowa, to takie zabawne“. [1])

Spotykamy wzmianki o drobnych utworach, o jakiejś piosnce zaczynającej się od słów „Jestem wesoła“, której nie chce nucić swym fałszywym głosem. Przeważnie pisze gdy jest smutna, więc wiersze są bardzo smutne — chowa je „pod adresem za lat 50-siąt“ bo wtedy, robi słuszną uwagę, będzie jej jeszcze gorzej i mogą się wydać wcale pogodne. Wagi do swych poezyi żadnej nie przywiązuje i nadziei na przyszłość nie żywi. Pierwsze jej w tej dziedzinie marzenie, to zrobienie na złość swemu profesorowi. Widać, że duszą jeszcze nie daleko odeszła od szkolnej ławy. Jakby się zdziwił ten nieznośny Waga, co zawsze mówił o niej, że musi być słabowita, bo spi na jego lekcyi. A cóż ją mogły jego lekcje obchodzić! „Na złość więc jemu chciałabym wydać na świat jaką książkę, choć by i romans, choć komedyjkę tylko, ale w której bym mogła umieścić jego kopię dość podobną, żeby sam na niej się poznał“. Całą podstępność tego planu oceni Michałowska — zresztą być autorką, wzbogacić polską literature, to miła rzecz.

„Ale cóż kiedy wszystkie te myśli tak mi się przesuwają po głowie jak inne sny wyobraźni. Jest więc wszelka pewność, że nic z tego nie będzie“. W rok potem, pod wpływem pewnych zmian jakie w niej zaszły, myśl o autorstwie podoba się jej ze względu na bogactwo, którego pragnie. Całą naiwność tego rodzaju planów, możemy wyśmiać dziś po stu latach. Zresztą Narcyza sama wkrótce dojdzie do wniosku, że są pewniejsze sposoby zdobycia fortuny. „Obmyślono mi niby stan autorki — Narcyza autorka.

[1]) I. list do Michałowskiej.

Narcyza pisze dzieła". Na razie mówi właściwie o jakiemś tłumaczeniu, które ją zresztą strasznie nudzi, ale widocznie wybiła się inteligencyą i zdolnościami, skoro nawet wujenka zrezygnuje z matrymonialnych dla niej zamysłów i pozwala oddać się pracy umysłowej.

Wracając do pierwszego roku pamiętnika, to trzeba przypomnieć, że Narcyza skrzętnie gromadziła swoje „szalone myśli" — gruby zeszyt podzieliła na wiele części — dając im szumne tytuły: „Bóg, Dusza, Człowiek, Kobieta, Poezya, Napoleon i jego syn (?!), Szczęście, Wieczność, Śmierć". „Widzisz więc — tłumaczy przyjaciółce, — że w tych kilku słowach zawiera się cały kurs moralności, filozofii, egzaltacyi i cała historya mego życia, cały smutek mego serca".

Zazwyczaj w pamiętnikach młodych panienek, dziś jak i przed stu laty, w powodzi słów górnych zapożyczonych z książek, uczuć wzniosłych, naśladowanych od ukochanych bohaterów, gubią się cechy indywidualne autorek. Narcyza, żyjąca ideami zaczerpniętemi z lektury, pełna entuzyazmu i egzaltacyi — daje jednak swym zwierzeniom własną odrębną fizyognomię. Pomimo wspólności z innemi tego typu co ona wrażliwemi duszyczkami, ma wybitne własne barwy zarówno w sposobie pisania, jak i w samej swej istocie. Przedewszystkiem są w niej zadatki na przyszłą pisarkę. Styl nie zdradza autorki Poganki, ale ujęcie przejawów zewnętrznych, charakterystyka osób, zdumiewająca u tak młodej i zdaje się w siebie zapatrzonej dziewczyny, mówi, że z pod jej pióra wyjdzie niejedna postać głęboko psychologicznie ujęta. Mamy tu też to z czem się zawsze u Gabryelli spotykamy: przewaga uczuć, refleksyi, nad faktami, gwałtowne urywanie szeroko napozór zakreślonych sytuacyi i osób. Wynikało to z tego, że poetka nigdy bez głębszego wzruszenia nie zasiadała do pisania — musiał ją temat zajmować, pochłaniać, by go chciała oddać. Kiedyś potem mówi — że nigdy na zimno, rozsądnie nie umie pisać, tylko dlatego, że coś skończyć trzeba.

Przez czas pisania pamiętnika wielkie zmiany zachodzą w naszej autorce — trzeba więc, chcąc scharakteryzować jej psyche z tej epoki — stawiać ją sobie dwa razy przed oczy. Rzecz to zupełnie zwykła — 16—18 lat — to okres, w którym zmiany zachodzą szybkie, nagłe i niespodziewane. Nieomal każdy miesiąc coś nowego przynosi. Zauważyła to sama Narcyza. Zwyczajem panien w tym wieku, odczytuje chętnie swój dziennik, bada w nim siebie; w odsyłaczach zaznacza, jak dalece inaczej się jej pewne kwe-

stye przedstawiają i z powagą prawdy, tym razem niezmiennej, prostuje swe błędy.

Pierwsza Narcyza z 35 r. to wesoła dziewczynka, śmieszka wielka, która przy każdej okazyi „kona ze śmiechu“ tylko sama nie wie dlaczego gdy się zastanowi, przychodzą same smutne myśli, a gdy się zaduma, dumania pełne są żałoby.

Ale przedewszystkiem lubi wracać myślą, do tak bliskich jeszcze czasów pensyonarskich i przewijać „wstęgę haftowaną szaleństwem i uczuciem“, „zawierającą historyę dwojga dziewcząt (jej i Michałowskiej), trochę zalotnych, trochę uczuciowych, z duszą naiwną, z wyobraźnią wybujałą, które śmieją się, żartują, wyśmiewają drugich, płaczą, chcą wstąpić do klasztoru, to znowu iść zamąż, to znów pragną śmierci, lub marzą o życiu, miłości i rozkoszy“. Przed naszemi oczami wstęga ta dalej się rozwija — będziemy widzieli te „wielkie sprzeczności“, które dla Narcyzy są jeszcze „zagadką“, bo dla każdego nowego pokolenia nią będą.

Naiwna w swej przedwczesnej mądrości, którą jej nawet otoczenie przyznaje, dodając naturalnie „egzaltowana“, przyszła poetka patrzy na świat szeroko otwartemi oczami. Trochę jej smutno i przykro, że na tym pięknym świecie ona wcale piękną nie jest. Kocha bowiem wiele rzeczy, przemawia do niej „natura, strojna młoda zielenią, ten świat czarodziejski, jaki otwierają książki, a wreszcie cudniejszy jeszcze świat wyobraźni, zaludnionej aniołami i duchami, jakie ono wytwarza“.[1]) Ale przedewszystkiem i rzecz bardzo naturalna, kocha siebie i sobą jest zajęta. Jedyny raz w życiu Narcyzy chwyciliśmy ją na gorącym uczynku — przeciętności — powierzchowność bardzo ją obchodzi, marzy o sukcesach, miłości. Przez długie lata jej życia nie przewinie się w jej listach tylu młodych ludzi, co w ciągu tych dwóch lat.

Najpierw poznajmy smutki wynikłe Narcyzy z jej brzydoty. Nie waha się już teraz w chwilach goryczy użyć tego wyrazu, którego nie będzie sobie oszczędzać. W wzmiankowanym fragmencie powieści, opisując bohaterkę Zosię, siebie miała na myśli. Przyjrzawszy się w jakiemś krzywem zwierciadle tak pisze: „Zosia jest bardzo niska, bardzo chuda, ma głowę nieco za dużą, a choć jej oczy wyrażają samą dobroć i czułość, przecież można im tę samą wadę zarzucić“. Gdzieindziej mówi o swych oczach, że są „w dole“ — widoczne to na jej późniejszych portretach i fotografiach. Oczy Narcyzy tracą wiele przez to, że były bardzo głęboko osadzone. Wprawdzie

---

[1]) II. list do Michałowskiej.

jakiś młody i „bardzo rozsądny filozof“ dużo w jej oczach komplimentów powiedział „pochwała niewielka bo się nie zna, i uważać na podobne drobiazgi nie powinien“. Ubolewa dalej nad sobą: „Piękności nie posiadam i trzeba właśnie, żeby mnie pierwej pokochano. niż by odkryto jakąś przyjemność w mej twarzy“.[1])

Razem z Mickiewiczem oburza się na tych co:

„Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękność kobiety“.

Ale cóż robić — już świat jest taki — to też wie, że nikt jej nie pokocha i ona nikomu serca nie odda. A jaka szkoda, tak chce kochać, w tak tęczowych barwach miłość się jej przedstawia.

„Być we dwoje, a jednak jednością“, powtarza za Wiktorem Hugo, znaleźć istotę „któraby dla nas żyła, której byśmy całą duszę naszą oddali“. Jedno serce, od którego nawet stałości nie żąda „niech mi da chwilę, chwilę krótką jak uśmiech pociechy, ale tak pełną uroku, tak czarowną, tak upajającą, by mi wspomnienie jej na długie lata, na długie wieki w sercu istniało, by w tej jednej chwili przeszłość i przyszłość ożyła“.

Ale próżne marzenia. „Miłość nie dla tego świata“, a co ważniejsza „miłość nie dla mnie stworzona“. „Niema pod słońcem mężczyzny, któryby tak kochać umiał, jak ja chcę być kochaną“.[2]) „Kto mnie nie pozna, nie będzie mógł kochać, a kto pozna, jak się kochać odważy“. Z tego zwierzenia widać, że Narcyza nie była pozbawioną pochlebnego w oczach swoich „przekonania, że jest w niej pewna doza demonizmu“. Zapewne, że nie było „pod słońcem“ mężczyzny podobnego jej ideałowi. Świetna to synteza niedawnej lektury „Mój ideał jest to Werther, ale bez przesady, bez rozkołysanej czułości, tylko z duszą namiętną, z umysłem Sanda, z imaginacyą Schillera, z sercem swego biografa“.[3]) Do tego ideału nie byli podobni, ani Czarnecki, którego „Picard mógłby wziąć za bohatera swoich komedyalnych romansów“ — ani Podziemski „bardzo dobrze ułożony, bo nigdy nic nierozumnego nie powie“, z którym tak się mile gra w zielone ani młody wojskowy, względem którego ma długi wdzięczności, bo winna mu kilka mazurków, gdy jako instytutka bywała na balach w [illegible], ani Adolf Doliwa,

[1]) 3. czerwca 1835 r.
[2]) 27. sierpnia 1835 r.
[3]) 8. maja 1835 r.

o którym tak wiele myślała w czternastym roku życia, tak wiele mówiła w piętnastym, tak wiele pisała w szesnastym. Nawet spotkany na balu filozof, który z nią trzy godziny rozmawiał i jej dał palmę pierwszeństwa w tańcu, nie zdołał się zbliżyć do ideału, nie mówiąc już o kasyerze z Łomży, który zbadawszy, że panienka niema pieniędzy zaczął się do innej umizgać.

Oto zresztą mniejsza: „majątek daje mężów, ale nie kochanków“. A gdzież materyał na kochanków? Ludzie są tacy śmieszni, a przecież śmiesznych kochać nie można. Są na świecie mili, dowcipni chłopcy, takich się lubi, ale takich których się lubi, też kochać nie można. Gdyby tak jaki artysta, malarz lub poeta — ale i temu jeszcze takie warunki postawi, że ich spełnić nie można.

Aurelia Wyleżyńska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# „Przyjęcie chrześcijaństwa" w Polsce w 965 r. wobec wykopaliska bizantyńskiej świątyni na Wawelu z IX. w.

Z trudem musi się nasza nauka wyłamywać z ciążących na niej naleciałości obcych, z czasów zaborów. Najczęściej zaś, dotąd jeszcze, jarzmo germańskie przytłacza poszczególne działy naszych umiejętności, mącąc światło czystej prawdy, jakie powinno przyświecać z najbardziej oficyalnych dziedzin wiedzy, jakiemi są: dzieje ojczyste i historya literatury narodowej. Owe fałsze, czy przeżytki, wkradły się do dzieł naszych pisarzy najczęściej mimowolnie; w rzadkim tylko wypadku przez opurtunizm, lub względy na Niemców, — tych Niemców, którzy nas Słowian, już od zarania dziejów tępili bezlitośnie krzyżem i mieczem, owemi tak podobnemi do siebie w ich ręku narzędziami.

Właśnie o owym nacisku kulturalnym niemiecko-łacińskim, łącznie z naszem wystąpieniem na widownię dziejową, tudzież o sposobie dotychczasowego pojmowania i przedstawiania tegoż nacisku przez naukę polską pragnę powiedzieć słów parę.

Aż dotąd wszyscy nasi dziejopisarze i historycy literatury uznawali wyłącznie datę 965/6 za początek dziejów Polski i wytyczną jej kultury. Powodem przyjęcia tej daty było przedewszystkiem zapisanie jej w „odpisie odpisu" pergaminowego rocznika. Data owa znalazła wyznawców bez zastrzeżeń wśród takich powag w zakresie historyi literatury (bo o nią specyalnie mi idzie), jak Tarnowski (I., str. 5), Chmielowski (I., str. 23) — któremu prócz zapisania daty idzie także o „nieprzerwalność" historycznego ciągu, wreszcie Brückner — który podaje bez zastrzeżeń (I., str. 3):

„Na widownię dziejową wstąpił ten naród za Piastowiców i przyjęcia chrześcijaństwa (965)“.

Powyższe jednak sądy można było wyznawać i podawać innym do wierzenia aż do ubiegłego roku: do wielkopomnej daty w dziejach odbudowy królewskiego zamku na Wawelu, kiedy to z podziemi wyłoniła się przysypana odwiecznymi gruzami najstarsza w Polsce murowana bizantyńsko-słowiańska budowla z wieku dziewiątego, przezwana kaplicą św. Feliksa i Adaukta. Świątynia owa, ten niczem nieprzepłacony dokument naszej prastarej kultury z pogranicza przełomowego pogaństwa w chrześcijanizm, starsza o całe stulecie od „uznanej“ daty 965, zarysowuje się jako wyznacznik i dokument przyniesienia do Polski (ściśle: Małopolski) wiary chrześcijańskiej (tylko nie w łacińsko-niemieckim, czyli zachodnim, ale w słowiańskim obrządku) przez uczniów apostoła Słowiańszczyzny św. Metodego z Moraw, około r. 883, — która to data i fakt zapisane zostały w naszym wypadku nie kilkoma literami w pergaminowym odpisie („Mesco dux baptisatur“), lecz wspaniałą budowlą wawelską, uznaną jednogłośnie za przynależną wymienionemu okresowi cyrylo-metodejskiemu.[1])

Jeżeli więc koniecznie potrzeba dla naszych dziejów, dla historyi cywilizacyi i kultury namacalnego punktu wyjścia, to bez porównania silniej, niż pergamin, przemówić powinna imponująca kamienna tetrakoncha wawelska.

Najważniejsza dla nas, bo najświeższa i będąca podręcznikiem gimnazyalnym, literatura polska Chrzanowskiego, jakgdyby w przewidywaniu poruszanej przez nas tezy, tak przeciwko niej występuje: Mianowicie stwierdziwszy fakt istnienia w Europie dwu ognisk cywilizacyi, Rzymu i Bizancyum, — w miejsce zaznaczenia potrzeby unifikacyjnej słowiańskiego Wschodu z Zachodem, zainicyowanej przez apostołów Słowiańszczyzny, Cyryla i Metodego, utrwala tylko w czytelniku wiadomość o zerwaniu tej jedności i odosobnieniu obu kultur (przyczem nie powstrzymał się prof. Chrzanowski od dodania uwagi, że: „wpływ narodów zachodnich na Polskę zaczyna się od chwili przyjęcia przez Mieszka I. wiary chrześcijańskiej, ta bowiem ucywilizowała i oświeciła nasz naród“).

Przygwóźdźmy odrazu powyższe twierdzenie zapytaniem: A cóż znaczy ów cywilizacyjny objaw i dokument pierwszej murowanej w Polsce budowli wawelskiej? Skąd wzięła się kulturalna wyższość

---

[1]) A. Szyszko-Bohusz: „Rotunda św. Feliksa i Adaukta“ (Kraków, 1918).

Małopolski, powodująca Piastowiczów do przeniesienia stolicy z Gniezna do Krakowa?

Przy rozpatrywaniu powyższego problemu powinniśmy sobie uświadomić to. że trwające od zarania dziejów Słowiańszczyzny aż po dzisiejsze dni najzacieklejsze walki między Bułgarami a Serbami, Serbami a Kroatami, między nami a Pomorzanami, Czechami i Rusią — możeby i nie miały miejsca, a w każdym razie nie toczyły się tak eksterminacyjne. gdyby wymienione ludy posiadły były wspólną kulturę. którą podówczas tylko i przedewszystkiem na religii oprzeć można było! I w tem właśnie leżała doniosłość dzieła apostolskich braci z Salonik. — Dziś dopiero stanowi Polska centrum Słowiańszczyzny. Ongiś to centrum leżało bardziej na Zachód, w ośrodku państwa Wielkomorawskiego, otoczonego wtedy jeszcze od północy, a szczególnie zachodu. rozległemi dzierżawami słowiańskiemi. Misya morawska Cyryla i Metodego (862) zmierzała do wytworzenia w tem ówczesnem Centrum słowiańskiem punktu stycznego, ogniska łączącego Wschód słowiański z Zachodem. Jednak Bizancyum nie doceniło wartości tej siły prężącej: najście zaś Węgrów pomogło Rzymowi i Niemcom do „zwycięstwa“. (Dzieło Cyryla i Metodego dostało się potem za pośrednictwem wygnanych przez niemiecki prąd uczniów Metodego do Bułgaryi, a stąd do Kijowa. budząc tam do życia potężny kulturalny ruch, dorównujący swą bujnością zachodniemu).

Jak w 100 lat później nasz Mieszko I. znalazł w religii rzymskiej ochronę przed falą germańską, tak morawski Rościsław szukał w liturgii słowiańskiej wyzwolenia od wpływów niemieckich (Ludwika niemieckiego). zdając sobie sprawę z tego, że owo wyzwolenie może mu dać tylko slawizujący Carogród. w czasie gdy drogę do Rzymu przecięli swoimi wpływami Niemcy. Widział Rościsław. że przemoc germańska kończyła właśnie dławić pannońskich Słowian (Słoweńców). że złamała i zhołdowała ich księcia Priwinę i że macki niemieckie w postaci misyonarzy z krzyżami w ręku wysunęły się ku Morawom. że za mackami stały jak potężny polip - katedry biskupie najzacieklejszych germanizatorów bawarskich: w Salzburgu i Passawie (już drące się między sobą o skórę żyjącego jeszcze słowiańskiego niedźwiedzia). — Gdy jednak księciu morawskiemu przyświecała tylko myśl doczesnego zbawienia i ocalenia swej władzy, to apostoł Cyryl, wynalazca alfabetu głagolickiego, tłumaczył na słowiańskie pacierz. homilie, pismo św. i wprowadzał mszę w języku słowiańskim dla idei samej. łamiąc ówczesną średniowieczną zasadę, „trinitas lingnarum“, głoszącą, jakoby

Boga można chwalić tylko w trzech (faktycznie w dwóch) językach: łacińskim, greckim (i hebrajskim). Za złamanie na naszą, t. j. Słowian, korzyść owej zasady, winniśmy Mu czynne wyznawanie swej wdzięczności. Była to rzecz tem trudniejsza, że barbarzyński Zachód (a jako taki łatwo romanizowany i latynizowany) bezwzględnie uległ wszechwładzy kościelnej łaciny. I tylko Wschód mógł nam przynieść narodowo-kościelne (— o ile terminu „narodowy“ można użyć) „równouprawnienie“, — ten Wschód, który (w czasie, kiedy tłumiono w Gallii odrębną gallikańską liturgię) dopuszczał do Kościoła prócz języka greckiego także inne języki: syryjski i koptyjski. Cyryl był orędownikiem powszechności jedynego Kościoła, który nie miał być ani greckim, ani łacińskim, lecz — przy różnicy obrządków — miał dopuszczać wszystkie języki do siebie.

Mimo pozwolenia Rzymu na liturgię słowiańską, biskupi bawarscy okazali się zaciekłymi jej wrogami. Z pobudek, krystalizujących się w haśle „Drang nach Osten“, stali w obronie łaciny, na stanowisku bardziej papieskiem, niż sam papież, — całkiem podobnie, jak dziś jeszcze koloniści włoscy na kroackiem Pobrzeżu są przeciwnikami zachowanej tamże po dziś dzień słowiańskiej liturgii głagolickiej, gdyż przez swoją liturgię łacińską pragnęliby odebrać dalmatyńskim Kroatom ich narodowość i zlać ich z Włochami.

W walce o język liturgiczny i narodowość, należy zauważyć, że bardziej narodowym, niż inteligencya, okazuje się prosty lud. Przykładem bieżącym są dalmatyńscy Kroaci, przykładem historycznym Morawianie: Gdy wśród walki niemiecko-słowiańskiej o Kościół książę morawski Świętopełk i jego dwór lgnęli do niemieckiej łaciny, to msza słowiańska stawała się coraz powszechniej religią prostego ludu i dopiero pod naciskiem dworu ustąpiła na rzecz obrządku łacińskiego z końcem XI. w., zachowując się tu i ówdzie szczątkowo.

Niemieckie uroszczenia Karolingów do Moraw szły nierozdzielnie: kościelne obok państwowych: i przy pomocy Rzymu i jego oportunizmu w chwili osłabienia, uzyskały swe zrealizowanie. Jeżeli do tego dodamy prawdziwie czeską niestałość książąt wielkomorawskich w stosunku do podjętej idei, to zrozumiemy, że tylko polskie, wschodnie peryferye państwa morawskiego, miały wszelkie dane podjęcia i krzewienia zapoczątkowanej pracy apostolskiej, tem bardziej, że nie wdarła się tu, przez Karpaty, dzicz węgierska, która zniszczyła Morawy (907), zaś Niemcy od Polski byli

jeszcze daleko. Za słabą była jednak Polska do podjęcia tego kroku, lecz sama z dobrodziejstwa nowej wiary szeroko korzystała: „Pierwszym promykiem historycznym jest nam niewiadomego nazwiska książę wiślicki, którego książę wielkomorawski. Świętopełk. (870—894), chce skłonić do chrześcijaństwa, a którego podbija w r. 883“ — pisze J. Szujski (w „Historycznej wędrówce po Krakowie“, str. 53). Prof. Szyszko-Bohusz tak zaś pisze o tem: „Jeśli nie stał on (kościółek) już jako świątynia pogańska, to powstać mógł za Świętopełka z końcem IX. wieku, po ochrzczeniu księcia Wiślan, jako świątynia obrządku słowiańskiego i widomy znak włączenia ziemi Wiślan do chrześcijańskiego państwa wielkomorawskiego (str. 29). Inni historycy podają, że kraj Wiślan należał do państwa wielkomorawskiego już od roku 874; państwo zaś to obejmowało od strony wschodniej: Pannonię, Słowaczyznę, część Ślązka, Małopolskę i część ziem czerwieńskich aż po rzekę Styr — czyli przestrzenie zakreślone mniejwięcej dzisiejszą linią: Magdeburg—Lwów—Belgrad.

Przywiedźmy teraz sobie na pamięć, że Małopolska, to nie jest jakaś Polska, drugiego rzędu, mała, tylko dolna, niższa, — podobnie, jak w takimże stosunku do Moraw wielkich czyli górnych, pozostawały Morawy bułgarskie, niższe, dolne. Wysuwany tu przeto postulat równouprawnienia obu Polskich Siostrzyc, górnej i dolnej, względnie oddania każdej, co się jej należy: Podkreślanie daty 965 zamiast 883 uważam za jednostronne, prawdę — za połowiczną, tem bardziej, że zachowała się wiadomość, iż Kraków w początkach dziesiątego wieku, a więc przed datą 965, miał już słowiańskich biskupów, a znane są nazwiska późniejszych: Prochora w latach 965—976, Prokulfa 986—995.[1])

Spadkobiercą upadającej pod razami Węgrów Wielkiej Morawii stały się Czechy i one to chciały sięgnąć po polityczną i kościelną opiekę nad Małopolską — po Kraków. Istotnie udało im się to, ale na czas krótki, w w. X-ym. W roku 999 łączą się obie Polski pod berłem Chrobrego. (Stąd też jedzie św. Wojciech (Czech) do Gniezna przez Kraków; stąd po śmierci Mieszka II. czeski Brzetysław pustoszy i rabuje ziemię krakowską...).

---

Naturalnie, że jak długo pozostawaliśmy w niewoli zaborców, tak długo nie mieliśmy możności wypowiadania plemiennych naj-

[1]) Długosz: „Historya“.

szczerszych intencyi. Jak długo pierwszą potęgą w Słowiańszczyźnie była jeszcze Rosya i posługiwała się ideą cyrylo-metodejską dla krzewienia prawosławia i panslawizmu, a jej trabanci czescy w Pradze do szerzenia moskalofilizmu, tak długo ta kwestya mogła i musiała być nam obcą. Jak długo byliśmy równocześnie uzależnieni duchowo od preponderencyi Wiednia, wyrosłego na trupie i ruinach Słowiańszczyzny pannońskiej, — jak długo Austryą komenderował Berlin, wyrosły również na gruzach słowiańskiej osady i całych słowiańskich państw i ludów, a nas, Polaków, w piewszym rzędzie, tak długo nie była nam dana możność wypowiedzenia skutecznego narodowego protestu i objawienia ekspanzywno-ideowych aspiracyi państwowo-polskich. Dziś, na gruzach antisłowiańskich marchii i potęg, na gruzach Prus, Austryi i Węgier, wreszcie Rosyi, wyrasta potężna Polska — w samem centrum Słowiańszczyzny, łącząca geograficznie Wschód z Zachodem, a mająca sięgnąć na słowiańskie południe!

Polska sięga po pierworodztwo, po pryzmat, w Słowiańszczyźnie, bo niema drugiej dorównującej jej potęgi, bo chyba nie sprusaczeni Czesi, lub zbolszewiczali Ukraińcy, czy też rozbita Rosya!

W takiej chwili nawrócić nam do wielkich dziejowych wspomnień, przyznać się gorąco i głośno do uczestnictwa w wielkiem dziele przeszłości, stać się wykonawcami apostolskiego testamentu: Pojednanie się z ziemiami wschodniemi, kontakt z Jugoslawią, współzawodnictwo z Czechami na Słowiańszczyźnie! To wszystko niech weźmie swój początek od zaszczepienia w sercach poszanowania i miłości dla daty: koniec IX. wieku! — daty przyjęcia chrześcijaństwa w Polsce.

---

W praktycznej konsekwencyi poruszanej tutaj kwestyi, wysnułbym postulat, abyśmy (od chwili upadku carsko-bizantyńskiej Rosyi) przestali się odnosić z odrazą do terminu: „bizantyjski“ — gdy mowa o stylu; i nie obawiali się terminu „słowiański“ — bo za nim nie stoi już żandarm lub kozak z nahajką. Faktowi wykopaliska wawelskiego należy się dać przekonać, wysnuć z niego konsekwencye i przedewszystkiem w gimnazyalnej nauce zastosować. Naturalnie, że przytoczone na początku sądy naszych historyków literatury mogły wypaść tak, jak je określiłem — wobec braku tego realnego podkładu, jaki dla nas dziś stanowi tetrakoncha bizantyńska na Wawelu, za ich czasów jeszcze nie istniejąca.

Najwięcej chodzi mi o zaznaczone już niedomówienie w literaturze Chrzanowskiego, które koniecznie powinno być uzupełnione, względnie zastąpione, ustnym wykładem pp. polonistów. O ile wierzę w łatwość tego uzupełnienia w najbliższym wydaniu podręcznika prof. Chrzanowskiego, to z drugiej strony z trudnością dopuszczam możność podobnej zmiany w innej literaturze, prof. Brucknera: Albowiem bardzo widocznie zaciężył nad nim wpływ środowiska berlińskiego — co uzewnętrzniło się jaskrawo w omawianej przez nas sprawie: Prof. Brückner, o ile jako wybitna siła naukowa w Berlinie stanowi polską chlubę przed światem, o tyle z drugiej strony właśnie dzięki temuż Berlinowi, dzięki mimowolnym wpływom berlińskiej atmosfery, posunął się niedawno (w r. 1903 i 1908) wprost do zignorowania i zanegowania posłannictwa i apostolstwa salonickich braci, powodując swem wystąpieniem zgorszenie w naukowym słowiańskim świecie i szereg replik i naukowych protestów.

Dla uspokojenia jeszcze ewentualnych wątpliwości, mogących się niejednemu nasunąć z racyi prawowierności kościelnej (bo to sprawa o ile narodowa i szczepowa, o tyle także kościelna) przypominam, że obaj święci uroczyście zostali uznani przez Kościół rzymski za apostołów Słowian w r. 1880 przez bullę „Grande munus“, podczas tysiącletniego obchodu i jubileuszowych uroczystości w Rzymie, gdzie na „zjeździe słowiańskim“ papież Leon XIII. ze szczególną serdecznością i oznakami poważania przyjął Nestora zjazdu, poetę Bohdana Zaleskiego.

Tyle co do wychowania szkolnego.

---

Do zaszczepienia zaś tej idei posłanniczej, idei unii, w narodzie winien posłużyć w najbliższym czasie wielki, uroczysty obchód cyrylo-metodejski w Krakowie, zdolny przewyższyć ilością i jakością uczestników podobne czeskie w Pradze, połączony: 1) z poznaniem świata słowiańskiego z odnalezioną czworolistną kaplicą na Wawelu, 2) z poświęceniem pomnika soluńskich apostołów w Krakowie na Salwatorze, gdzie dotąd pokazują (kaplica św. Małgorzaty, zwana Gontyną) miejsce, na którem kazali do krakowskich Wiślan misyonarze — uczniowie św. Metodego, wreszcie 3) z poświęceniem pamiątkowej tablicy przy ulicy Długiej, w miejscu, na którem stał zbudowany w r. 1390 przez Jadwigę i Jagiełłę

kościół słowiańskich Benedyktynów, sprowadzonych z Pragi do Krakowa — dla wzniosłego celu i pracy: połączenia schizmatyków z Kościołem katolickim. Obchód — o zyskach ideowych i następstwach politycznych dla Polski wprost nie dających się przewidzieć i obliczyć.

Lwów.

Dr. Karol Kwieciński.

# Dramat w polskiej twórczości ludowej.

## CZĘŚĆ DRUGA.

## Żywioł dramatyczny w twórczości ludowej.

(Ciąg dalszy).

Niemniej awanturnicza, o zakroju farsowym, jest inna osnowa: Królewicz dowiedział się o pięknej królewnie. Chcąc ją poznać, zgłosił się do jej ojca, króla, na błazna. Ponieważ bardzo dobrze występował w swej roli, bardzo się wszystkim podobał, a gdy król raz wyjechał z żoną z zamku, pozostawił błazna przy córce. Błazen piękne zabawy urządzał po grodach, a wieczorem gdy jeszcze lepiej się bawiono, królewna oddała się błaznowi. Gdy król wrócił, królewna wyznała mu prawdę, a wtedy oboje wrzucono do piwnic, i mieli być straceni. Uciekając, przychodzą do rodziców królewicza, tam dają się poznać etc. [1]).

§ 45. Na motywach historycznych znów osnute jest podanie o zamku w Ojcowie. Wśród starych lasów, wznosił się zamek Ogrodzieńcem zwany. Działo się to za Krzywoustego. Na zamku mieszkała cudna dziewica, Witysława. Sierotą była, bo po ojcu, niedawno zmarła jej matka. W żałobnych szatach ze łzą w oku, zwlekała z tą chwilą, w której zaślubić ją miał wybrany przez matkę i wybrany jej serca, Piotr Szczebrzyc. Matka bowiem, na

---

[1]) Kolberg: Lud. Ser. XIV. (67).

łożu śmierci złączyła ich dłonie, a nim dzień ślubu miał nadejść, opiekunem swej córki mianowała rodzonego swego brata Skarbimira, wuja Witysławy.

Hetmanem królewskim i wojewodą był Skarbimir. Natura harda, popędliwa i okrutna, długo był w łaskach u króla, póki nie stracił ich swemi postępkami. Przybył parokrotnie na zamek siostry, przez nią wezwany, i z dziwnym patrzał na siostrzenicę swą płomieniem w oku. Podobały mu się niewinne jej, a niezwykłe wdzięki. A nie bacząc na blizkie pokrewieństwo, zapłonął ku niej namiętną miłością. I przeczekał aż umarła siostra, i goniec przybieżał z wieścią o zgonie i o wyborze małżonka dla osierociałej Witysławy. Wtedy szybko udaje się na zamek, spotyka Witysławę na grobie matki i tu oświadcza jej swą miłość występną i żąda bądź dogodzenia jego żądaniom, bądź śmierć wybierać jej każe. Dziewica truchleje, jednak śmierć wybiera. Skarbimir porywa ją tedy i uwozi do zamku, który pod jego stał strażą, do Ojcowa. Nieszczęsnego zaś Szczebrzyca w kajdanach z sobą wieść każe. Używając różnych sposobów, już grozi śmiercią kochanka w oczach dziewczyny, jeżeli mu powolną nie będzie. Dziewica wahać się poczyna. Niespodziewanie wpada do zamku dzielny Krzywousty, w gniewie na Skarbimira, a dowiedziawszy się o nowem bezprawiu każe mu wyłupać oczy i odbiera godności, a nieszczęsnych kochanków bierze pod swą opiekę i łączy ich ślubem.[1])

Oto skończony już temat dramatyczny, rysujący nam zapomocą wielkiej, jednolitej akcyi, szereg charakterów ludzkich, wypowiadających się w poruszeniach duszy i aktach woli, skupionych około postaci głównej bohatera, owładniętego namiętnością i działającego pod jej wpływem okrutnie i samowolnie.

Ta akcya dramatyczna ma w sobie wszelkie cechy niezbędne dla dramatu artystycznego: 1) jest ona o pewnem znaczeniu i interesująca, 2) w miarę wielka i przejrzysta, 3) jednolita i ciągła, 4) prawdopodobna i wewnętrznie konieczna, 5) wierna oddająca życie.[2])

Staje się tu zadość wszystkim tym wymogom techniki dramatu. Osoby tu występujące są w zupełności postaciami dramatycznemi, ich aktywne działanie jest pełne znaczenia dla przebiegu głównej akcyi: jest to jednem słowem dramat w narratywnej formie, o konstrukcyi tak doskonale pomyślanej, że nie można go

[1]) Kolberg: Lud. Serya XXI. str. 138.
[2]) G. Günther: Grundzüge der trag. Kunst. S. 395.

nazwać materyałem surowym, lecz niescenicznym dramatem, któremu trzeba tylko dyalogu stylistycznego i aktorów, a stałby się właściwem widowiskiem scenicznem.

Weźmy pod uwagę jeszcze jeden z tematów o wątku erotycznym, który zamyka szereg osnów dramatycznych tej grupy.

Bogaty szlachcic mieszkał we dworze nad Wisłą. Od dziecka nieszczęśliwa świeciła mu gwiazda: miał bowiem oczy uroczne. Rodzice poumierali mu ze zgryzoty, wszyscy go opuścili, ostał się jeno stary dworzanin, który go wypiastował i jemu nie szkodziły oczy uroczne. Dwór jego był postrachem dla okolicznych mieszkańców. Ale raz w zimę ktoś wołał o ratunek pod dworem. Stary jakiś szlachcic prosił o gościnę, bo mu osłabła żona w drodze, więc z żoną i córką szukał schronienia pod dachem „uroczego" pana.

Miłość zrodziła się w sercu gospodarza ku pięknej córce gościa. Po kilku dniach, gdy szlachcic musiał się zatrzymać z powodu słabości żony, oświadczył się pan uroczny i pojął za żonę piękną Maryannę. Ale niedługo żyła w szczęściu młoda para. Służba zgodzona szybko poczuła zły wpływ urocznych oczu pana i rozbiegła się, a przy nim pozostała tylko chora żona, bo i na nią działał uroczny jego wzrok. Wtedy mąż wzniósł się do szczytu bohaterstwa. Chcąc uratować życie ukochanej żonie, sam sobie oczy wyłupał. (Edyp). Z jękiem jego bolu, ozwał się jęk małżonki, która szczęśliwie porodziła dziecko. Odtąd szczęście zapanowało w domu, już nikt nie omijał „białego dworu", a mała piękna jak anioł córeczka oprowadzała ślepego ojca. Stary sługa zakopał oczy swego pana w ziemię. Aż raz z ciekawości odgrzebał je, by spojrzeć czy się zachowały. Gorzały niby świece, a blask ich odbił się o twarz jego, że padł na ziemię i skonał.[1])

§ 46. *e)* Ujrzeliśmy więc w przeróżnych przejawach miłość, która owłada serca ludzkie, a potężniejąc w namiętność nieokiełznaną, krępuje i obezwładnia wolę człowieka, podszeptując mu czyny pełne dramatycznego napięcia, pełne następstw i owoców. Skala miłosnych odcieni wcale obszerna w poezyi ludowej: spotykaliśmy czystą, idyliczną erotykę dwojga kochanków, przez los prześladowanych, w której afekt przybierał formy szlachetnej wyżyny, skłonnej do poświęcenia i męki za cenę miłości. Obok tamtej wyższej, miłości, nie brak było i czysto zmysłowych odruchów,

[1]) W. Wójcicki. Baśnie i podania ludu polskiego. Warszawa. „Oczy uroczne".

gdzie rozkosz cielesna kusiła dusze do grzechu, choćby przez krwawy czyn morderstwa, a na tle tej pierwotnej, żywiołowej tęsknoty, wyrastały zbrodnicze charaktery żon wiarołomnych, mężobójczyń okrutnych, popełniających bez wahania mord — dla złudy szczęścia. Śmierć wogóle czyha na plemię ludzkie. Drobny bunt, silniejsze pragnienie, tęsknota nieprzewalczona, zawód nieszczęsny, wszystko to w aktywnem działaniu bohaterów, pociąga za sobą bujny posiew krwi, okrutne pokosy śmierci.

Tkwią w duszach bohaterów te nieszczęsne zawiązki zła. Przy sprzyjających warunkach rośnie i rozwija się gwałtownie ów czerw czy zemsty, czy zazdrości i wiedzie w przepaść bezdenną. W uczuciu erotycznem wznosi się konflikt dramatyczny do wyżyn tragizmu. W tym jedynie momencie dochodzi twórczość ludu, zdolność konstruowania starć psychicznych, aż do szczytu wielkości, gdzie płomienny żar uczuć wynosi bohatera ponad tłum ludzi, a w bohaterstwie poświęcenia i w głębi tragicznego cierpienia ukazuje się głęboko czująca, wrażliwa na dramat serca dusza ludu.

Zmysłowe życie ludu w miłości dochodzi do najpełniejszego wyrazu. Odwieczny motyw walki i doboru dwu płci stanowi najistotniejszą treść zawikłań dramatycznych codziennego życia. Ta szeroka skala motywów miłosnych jest dowodem bogactwa psychicznego ludu, jego temperamentu, wrażliwości i wrodzonego idealizmu. Bujny, uczuciowy temperament stwarza mimowoli sytuacye, których konflikty kryją w sobie zawiązki sprecyzowanej akcyi dramatycznej.

Ale to zmysłowe tło życia nie ogranicza się tylko na sferze uczuć erotycznych. Konflikty na tem tle dochodzą do wyrazu także pod wpływem innych uczuć, będących pobudką działania, a które poniżej okażemy. Jednem z takich uczuć, ogarniających całą istotę człowieka i pobudzających do czynów zbrodniczych, jest chciwość. Pragnienie ujrzenia się bogatym nie małą odgrywa rolę w życiu ubogiego ludu. Odpowiednie warunki sprzyjające, stwarzają pokusę, której nie może się oprzeć wola człowieka.

Karczmarz oto zamordował wójta jadącego z podatkowemi pieniędzmi i zakopał go w ziemi. Na spowiedzi ksiądz kazał mu zwrócić pieniądze wdowie i dzieciom, lecz zbrodniarz tego nie uczynił. Po trzydziestu latach zalała woda całą karczmę i zatopiła morderce. [1])

---

[1]) Wiad. do antrop. t. XI. Podania (3).

Także w innem podaniu karczmarz jest bohaterem dramatu chciwości. Syn karczmarza ze wsi był żołnierzem i po długiej nieobecności wracał do domu. Po drodze szedł przez wieś, w której służyła jego siostra; ta poznała go, ucieszyła się, obiecała wieczorem przyjść do karczmy. Żołnierz przyszedł do karczmy rodziców, niepoznany wypił szklankę piwa, a gdy płacił karczmarz ujrzawszy u niego dużo pieniędzy, postanowił wraz z żoną go zabić i obrabować. Trupa skryli w piwnicy. Wieczorem przyszła siostra, dopytywała się o brata — żołnierza i wtedy rodzice poznali, że zabili własnego syna. Zerwała się burza i piorun zabił bezbożnych rodziców. [1])

Widzimy, jak się tu zaznacza światopogląd ludu w jego wierze, iż czyn zbrodniczy znajduje karę, by stało się zadość etycznym przekonaniom kary za winę.

W innem znów podaniu sąsiad umierając powierza syna i grunt sąsiadowi, aby ten gdy syn dorośnie oddał mu gospodarstwo. Sąsiad jednak sprzedaje swoje i sieroty pole, a sam przenosi się gdzieindziej. Kupuje wiele pola, a syna sąsiada nazywa znajdą, z łaski przyjętym do domu. Gdy córka jego podrosła, i dojrzał także ów Franek-sierota, miłość się między nimi zrodziła. Ale chciwy ojciec umyślił córkę wydać za jakiegoś bogacza, a sierotę wygnał z domu. Dopiero we śnie zjawił mu się nieboszczyk sąsiad i tak mu pogroził, że ten wkrótce wydał córkę za Franka i oddał mu jego majątek. [2])

§ 47. *f)* Omówimy wreszcie szereg osnów dramatycznych, w których dochodzi do konfliktu na tle różnych uczuć zmysłowej natury, a które nie podpadały pod kategorye podziału, powyżej scharakteryzowane. Jedna cecha daje się zauważyć, jako panująca w powikłaniach dramatycznych: jest to dążenie do zguby lub śmierci przeciwnika, wynikające bądź z odpowiedniej sytuacyi, bądź z charakteru osób działających. Okaże nam to samo materyał osnów poniższych:

Dziewka została sama w domu. Nagle widzi, że przez wykopaną dziurę w podłodze wkradają się zbójcy. Wtedy po kolei zabija jedenastu braci, a dwunastego tylko rani. Niedługo przyjechał do niej kawaler pięknie ubrany i poślubił ją. Wiezie ją do swego pałacu, a wtedy okazuje się, że to ten dwunasty zbójca. Z zemsty

[1]) Wisła, t. VIII., str. 722.

[2]) Mater. do antrop., t. VI. str. 181.

za śmierć braci każe on napalić w piecu i w kipiącej wodzie żonę ugotować. Tej jednak udaje się za radą jego matki umknąć.[1])

Ten motyw zbójecki spotykamy w innej powieści: ojciec pewien miał dwóch synów, z których jeden był myśliwym a drugi księdzem. Przed śmiercią ślubował, iż pójdzie do Rzymu w pielgrzymkę, lecz umarł nie spełniwszy ślubu. Po śmierci objawił się synom i żądał, by spełnili ślub za niego. Obaj wybrali się więc w drogę. W lesie ogromnym spoczęli. Brat myśliwiec czuwał. Gdy poszedł w bok, ujrzał wspaniały dom, a przez szyby spostrzegł dwunastu ludzi ucztujących. Przez swój celny strzał, którym wystrzelił jednemu z nich kubek z ręki, podobał się im, a byli to rozbójnicy, więc wzięli go z sobą, by w pewnym pałacu, gdzie była piękna córka, zastrzelił psa i koguta, który budzi stróża. Tak się stało. Teraz myśliwiec pierwszy wszedł do pałacu, a tych dwunastu zbójców, co szli za nim kolejno zabił. Dopiero wtedy wszedł do komnaty, gdzie spała ta dziewczyna, wziął jej pierścień i chustkę, a nazwisko swe wpisał na spodniej stronie tafli stołowej. Potem zszedł na dół i ruszyli z bratem w dalszą podróż. Tymczasem sługa jeden podszył się pod sprawcę owego czynu i teraz w nagrodę za obronę pana i córki, żąda jej ręki. Ona jednak naznaczyła mu termin rok i sześć tygodni. Wtedy właśnie wracali pielgrzymi z Rzymu i jeden z nich pokazał ów pierścień i chustkę a na dowód swe nazwisko na tafli stołu. Pan dał pielgrzymowi córkę za żonę, a brat ślubu im udzielił.[2])

Wątek dążenia do czyjejś zguby z powodu zawiści spotykamy w następujących osnowach: Pewien król wyjechał na polowanie i w chacie leśnika spotkał przepiękną córkę, którą zabrał na zamek, wyedukował, a potem z nią się ożenił. Musiał potem wyjechać na wojnę, a wtedy królowa powiła mu synka. Tego wykradła jedna z pań dworskich, a na jego miejsce dała pieska. Napisała o tem do króla, stało się tak trzy razy. Wtedy król wygnał żonę. A raz ruszył na polowanie i w chacie leśnika zastał żonę i trzech synów. Wtedy zabrał ją do siebie, a tamtą ukarał.[3])

W innej opowieści fabuła streszcza się do tych momentów akcyi. Po królu została wdowa z dwojgiem dzieci. Syn jej gdy dorósł pojechał do królestwa, w którem był królewicz w jego wieku. Wtedy pokazał mu raz portret swej pięknej siostry. Ów

[1]) Wiad. do antrop. II. Klechdy (10).
[2]) Kupiec: Powieści i bajki śląskie Cz. II. (138 s.).
[3]) Wisła. t. XIX., str. 372.

prosi, by ona przyjechała. a on się z nią ożeni. Wybrała się więc ta królewna a z nią córka księcia, brzydka dziewczyna. Po drodze wysiadły z powozu i wyszły nibyto na jagody, a ta brzydka wyłupiła pięknej oczy i przywiązała do drzewa, a sama kazała się wieść do królewicza. Ten ujrzawszy brzydką dziewkę rozgniewał i brata tamtej uwięził. Następuje cudowne przywrócenie królewnej wzroku, małżeństwo i kara dla okrutnej sprawczyni. [1])

Wątek znów obrażonej dumy występuje w podaniu o bogatej pani, która posyłała codzień pustelnikowi jadło. Gdy zapytała służącego. czy pustelnik podziękował, ten odrzekł, że nie dziękował, lecz powiedział: „Kto dobrze robi, sobie dobrze robi, a kto źle robi, sobie źle czyni". Obrażona pani posłała mu zatrute bułki. Do modlącego się pustelnika zajechał tymczasem syn pani, a będąc głodnym poprosił o jadło i zjadł te zatrute bułki. [2])

I tu więc zbrodniczy czyn pani mści się na niej samej utratą syna.

§ 48. Przechodzimy do dwóch ostatnich osnów, zamykających cały ten cykl konfliktów na tle życia zmysłowego.

Jeden z tych tematów to jakby daleki ślad motywu Labdakidowego.

Do karczmarza, którego żona ma powić dziecko, zajeżdża król. Na nocleg udaje się do izby na górze. Przybyło także dwóch dziadków (mają to być P. Jezus i św. Piotr). Ci opowiadają sobie. iż ten chłopiec co się narodził. będzie kiedyś jeździł w karecie królewskiej. Król posłyszawszy to, poprosił karczmarza, by mu dał swego syna. Wywiózł go i chciał po drodze zabić, ale wreszcie wziąwszy za nogi wyrzucił z powozu do lasu, by go zwierzęta pożarły. Karczmarz znalazł jednak swego syna, a nie wiedząc, że to jego dziecko, wychował. Raz król przejeżdżał obok karczmy i podobał mu się chłopiec już dorosły. Dowiedziawszy się, że to znajda, bał się zawsze proroctwa, dlatego posłał go z listem do żony, z tem. iżby go zaraz zabiła. Po drodze dziadek jakiś przemienił list na inny (por. Hamleta), w którym było polecenie, by królowa ożeniła go z swą córką. Tak stał się on zięciem króla. Król podstępnie chciał go zgładzić, ale sam padł ofiarą swych podstępów. [3])

---

[1]) Biblioteka Wisły t. X. str. 170.

[2]) Wiad. do antrop. t. XII. (69).

[3]) Wiad. do antrop. t. XII. (675) t. V. (25).

Na wątku komedyi przemiany oparty jest temat następujący: Książę ożenił się z piękną dziewczyną i o swem szczęściu opowiadał przyjacielowi. Ale ten odrzekł, że jeśliby zechciał, to ją uwiedzie. Stanął zakład. Przyjaciel począł bywać w domu księcia, a nie mógł nic wskurać. Wtedy namówił matkę tej żony i ułożył się z nią, że ta włoży go do kufra i zawiezie do domu księcia. Ten kufer postawiono w tym pokoju, w którym księżna zwykła się była ubierać. Nie spodziewając się świadka, księżna zdjęła szaty i pierścionek i poczęła się myć. Wtedy przyjaciel dojrzał znamię rodzinne na piersi księżny. Po umyciu księżna zapomniała pierścionek. Wtedy on go schował i przymknął wieko kufra.

Przyjaciel na dowód uwiedzenia wspomniał mężowi o znamieniu na jej piersi i pokazał pierścień. Mąż przekonany wypędził żonę z domu, a ta poszła się utopić z rozpaczy.[1])

Waryant tego podania mówi, iż nie przyjaciel, ale wójtowa, co miała ładną córkę i zazdrościła szczęściu żony tego pana, wysyła żebraczkę, co podpatruje to samo. A księżna później wraca do męża.[2])

Przedstawiliśmy tu materyał większych dramatycznych całości, które kryją w sobie konflikty na tle zmysłowego życia wytworzone. Mieliśmy przed oczyma akcye obszerne, konstruowane niemal wedle zasad techniki dramatycznej, przyczem możnaby śledzić linię rozwojową dramatu od ekspozycyi do punktu kulminacyjnego i katastrofy. Widzieliśmy w narratywnej formie przedstawione za pomocą aktywnych osób wielkie, jednolite działanie, wyrażone w poruszeniach duszy i aktach woli, a poruszające się w około jednej osoby bohatera. Już w segregowaniu materyału podkreśliliśmy główne odcienie, jakie zaznaczyły się w treści osnów. Skonstatowaliśmy istnienie całej gamy tonów erotycznego uczucia w oscylacyach jego między czystą formą miłości, a niższemi kategoryami rozkoszy zmysłów, przyczem różne te modulacye uczucia wytwarzały też odpowiednie typy ludzkie, od kochanków idyllicznych, opromienionych nimbem piękna wzniosłej miłości, do postaci pierwotnych, nieco brutalnych w dążeniu do konkretnych przejawów szczęścia, zaślepionych w nawałnicznej namiętności i nieobliczalnych w czynach, jeśli chodziło o usunięcie przeszkód.

Pełne siły jest uczucie miłości u ludu. Ona jest głównem podłożem konfliktów dramatycznych, uczucia erotyczne są punktem

---

[1]) Wiad. do antrop. t. XI. Podania i bajki litewskie (24).
[2]) Kolberg: Lud. Ser. III. 120.

centralnym życia zmysłowego ludu, iż w tych tylko przejawach codziennego bytowania dochodzi do starć drmatycznych, niekiedy nawet tragicznych. Podkreślamy: cały dramat na tle zmysłowego życia wyrosły, nie wychodzi poza sferę życia erotycznego, stosunku do siebie wzajemnego dwu płci. Miłość, zazdrość, zawiść, nienawiść, zemsta, oto są jedyne przejawy powikłań sytuacyi życia u ludu, i on poza nie zdaje się tak w życiu, jak i w umysłowej twórczości nie wychodzi. Prowadzi to w konsekwencyi do pewnego rodzaju zacieśnienia się horyzontu myślowego, jest w tem pewne niebezpieczeństwo zastoju i monotonności. I nie może nas to dziwić u ludu. Jeśli weźmiemy pod uwagę, iż konflikty dramatyczne na tle życia zmysłowego znajdują kiedyindziej wyraz w uczuciach dumy, hardości, popędliwości, żądzy panowania, żądzy sławy, ambicyi, to znów w uczuciu niezdecydowania, słabości, lekkomyślności, rozczarowania i t. d. [1]), dziwić się nie można, iż te uczucia nie odgrywają tak wybitnej roli w twórczości ludowej, jak w artystycznej. Inny jest teren walk życiowych i konfliktów na szerokim świecie, na arenie stołecznych miast, pośród wiru pragnień, dążeń i zmagań się milionowych mas ludzkich, a inne konflikty wyróść mogą pod słonecznem, jasnem niebem wsi naszej, pośród czterech ścian nizkich, zadymionych chałupek wieśniaczych, których mieszkańców nie stać na szeroki gest uczuć powyżej wymienionych. W sercu ludu skupia się jego życie i życia całego urok. Stąd dramat ludowy to przeważnie ów dramat serca, to dramatyczne starcia o szczęście, o miłość, o płomienny kwiat uczuć serdecznych.

## II. Tło moralnego życia.

§ 49. W rozdziale o wątkach dramatycznych określiliśmy nasze założenie w stosunku do konfliktów na tle moralnem. Pierwiastek moralny nie odgrywa w osnowach dramatycznych tej roli, jak tło zmysłowego życia. Nie jest on przedmiotem przedstawienia, a stanowi tylko podłoże, na którem dochodzi do zawikłań dramatycznych.

Podobnie, jak to okazało się przy omawianiu wątków, i w osnowach także twórczość umysłowa ludu nie wychodzi w konfliktach dramatycznych na tle moralnem poza naruszenie obowiązków względem najbliższego otoczenia, względem rodziny.

[1]) Por. Günther: L. c. str. 462 i 469.

I tu także istnieje niejakie zacieśnienie w tematach dramatycznych.

Rzecz charakterystyczna, iż nawet te osnowy, kryjące w sobie konflikty moralne, nie są wolne od pierwiastka erotycznego, który splata się tu z tamtymi konfliktami tak, że właściwie znaczna część tych osnów możnaby włączyć do grupy poprzedniej zmysłowego świata dramatycznego, gdyż i tu na tle życia erotycznego dochodzi do konfliktów moralnych. Parę zaś tylko osnów zawiera w czystej niejako formie to starcie na tle moralnem.

Ujrzymy to w zestawionym poniżej materyale.

Syn poszukujący wraz z matką ojca, znachodzi po drodze pierścień, dający wielką siłę, szablę która wszystko pokona i koszulę, w którą ubrany przez nikogo nie będzie raniony. Spotkawszy po drodze bandę zbójecką, zabił wszystkich z wyjątkiem herszta bandy. Ten wszedł w bliższe stosunki z matką i postanowił syna zabić. Zatem matka w zmowie ze zbójem udaje chorą, wysyła syna po leki, których osiągnięcie grozi mu zgubą. Ale syn zabija wilczycę i mleko jej matce przynosi, to znów dostaje złote jabłka strzeżone przez trzy smoki. A gdy powrócił do domu, matka za radą zbója, przygotowała mu kąpiel (Klytajmnestra), i gdy on zdjął do kąpieli ową koszulę, pierścień i szablę, matka wdziała na siebie te rzeczy, i teraz oczy mu wydłubała i na mrowisku uwiązała. Cudownie uratowany mści się syn na matce i zbójniku [1])

Waryanty tego motywu mówią o siostrze w miejsce matki [2]), lub o żonie, która podobnie dybie na życie męża.

Stosunek znów ojca do dzieci zaznacza się w następującej osnowie: panu umarła żona, pozostawiając mu troje dzieci, dwóch chłopców i córkę. Chcąc się drugi raz ożenić, pojechał daleko i udał kawalera. Gdy wrócił z żoną, wygnał dzieci z domu. Dziewczyna była w lesie i tam ją spotkał polujący królewicz i zabrał do siebie. Później ożenił się z nią. Niesnaski z matką królewicza zakończone wreszcie przychylnie dla dziewczyny. [4])

Kazirodcze związki dzieci (syna) z własną matką spotykamy w dwóch osnowach o motywie L a b d a k i d o w y m.

Król miał stosunek z siostrą. Gdy poznał, iż będą owoce tego stosunku, postanowił pójść na pustynię pokutować. A królewna

---

[1]) Wisła, t. II. str. 15.
[2]) Zb. wiad. do antrop. t. VII. (73).
[3]) Wisła t. XVII. str. 559.
[4]) Wisła t. XIV. str. 600.

powiwszy syna kazała sporządzić skrzynię, smołą wysmarowaną, dziecko włożyła do niej wraz ze znaczną ilością złota i srebra, i skrzynię puściła na morze, opatrzywszy ją tabliczką z napisem, że kto to dziecko znajdzie, ma je wychować i kształcić. Syna, gdy podrósł, gniewało, że gdy ktoś się na niego rozgniewał, nazywał go znajdą. Dowiedział się wreszcie prawdy, wtedy poszedł w świat, by szukać rodziców. I przyszedł do kraju, w którym toczono wojnę. Okazawszy swą dzielność, został zwycięscą. Wtedy ożenił się z królową tego kraju, nie wiedząc o tem, że to jego matka. Ale nieraz w smutku spoglądał na swoją skrzynię i tabliczkę. Ciekawa żona otwarła raz tę skrzynię, a poznawszy, że to jej syn, o wszystkiem mu powiedziała. Wtedy syn oddalił się w odludne miejsce na pokutę, aż został papieżem etc.[1])

Waryant tego podania zużytkowanego w pierwotnej formie w tragedyi greckiej (król Edyp), w przeróbce zlokalizowanej na sposób ludowy podaje dzieje kazirodczych związków w ten sposób: ojciec gospodarz, gdy mu żona rodzi dziecko, czeka w sieni i słyszy głos jakiś, który powiada, iż narodzi się syn, a jak dorośnie ojca zabije, a z matką się ożeni. Ciąg dalszy tego podania, jak w powyższej osnowie. Następnie, gdy chłopiec ów znaleziony na morzu, już dorósł, przychodzi do jakiegoś gospodarza na parobka. Gdy ktoś stale obrywał jabłka w sadzie, parobka wysłano w noc by pilnował. Gospodarz chcąc się przekonać, czy on dobrze pilnuje, potrząsł gałęzią, a parobek sądząc, że to złodziej, zabił go. Później ożenił się z gospodynią. To była jego matka.[2])

§ 50. Do konfliktu moralnego na tle uczuć erotycznych dwóch braci, dochodzi w opowieści o dwóch braciach, którzy kochali się w jednej dziewczynie. Gdy ta skłaniała się ku młodszemu, starszy w lesie zabił młodszego, a wróciwszy do domu krzyczał, że po drodze złe duchy ich napadły. Uwierzono temu wykrętowi. Zaczem bratobójca ożenił się z dziewczyną, aż po dłuższym czasie przyznał się do zbrodni. Ona doniosła o tem do sądu, a morderca z obawy przed karą sam się zabił. Kobieta ta, znienawidzona teraz, iż stała się przyczyną śmierci obu braci, odebrała sobie życie.[3])

Podobny konflikt między siostrami znajdujemy w podaniu p. t. „Piszczałka“.[4])

---

[1]) Zbiór wiad. do antrop. t. VII. (70) t. XIII. str. 105.

[2]) Wisła t. XIX. Podania.

[3]) Zb. wiad. do antrop. t. VII. str. 19. War. t. XII. (52).

[4]) Zb. wiad. do antrop. t. XI. (17) Waryanty podaje St. Zdziarski w książce p. t.: Pierwiastek ludowy w poezyi XIX. w.

Wójt ma dwie córki. Jedna z nich piękna, na drugą nikt spojrzeć nie chciał. Gdy raz poszły do lasu na jagody, starsza zabiła młodszą i zakopała ją pod wierzbą. Na pytanie, co się stało z siostrą, odrzekła, że nie wie, bo się w lesie rozłączyły. Dopiero raz gdy wójt jechał przez las, ujrzał iż pasterz ma piszczałkę, która nuci o tem, jak siostra zabiła siostrę. (Balladyna).

Zawiść jest też tłem konfliktu między pasierbicą, a córką macochy. Pasierbica wyszła za królewicza, a po roku przyjechała z mężem i dzieckiem odwiedzić rodziców. Wtedy córka macochy namówiła ją, by poszła się z nią kąpać i podstępem utopiła ją w stawie. Sama zas, iż była do niej podobna, przebrała się w jej suknie i pojechała z królewiczem do zamku, jako jego żona. W nocy przyszła topielica dać ssać dziecięciu, zapukała do okna kucharza i weszła do pokoju. Gdy się to powtarzało, kucharz przytrzymał królewiczową i powiedział o tem panu, który żył z nią potem długo, a córkę macochy kazał końmi rozszarpać.[1])

Podobny wątek zawiści w konflikcie moralnym znajdziemy w podaniach Łotewskich: Starzec ma trzy córki. Z nędzy wyprowadza je w las i tam porzuca. Królewicz je spotyka i jedną z nich bierze za żonę. Wtedy inne postanawiają zemstę z zawiści. Po wyjeździe króla na wojnę, żona rodzi mu syna. Siostry wyrzucają synka do lasu, gdzie go osadnik jakiś znachodzi. Ojciec po powrocie, szuka syna, znachodzi a siostry zbrodniarki karze śmiercią.[2])

Konflikt na tle rywalizacyi dwóch braci występuje w podaniu o kościele żywieckim. Budowało ów kościół dwóch majstrów braci. Mieszczanie chcieli, by wieża była bardzo wysoka i tak się stało. Ale gdy wieża była gotowa mieszczanie nie chcieli zapłacić tyle ile obiecali. Majstrowie odeszli ale wieża się zwaliła.[3]) Podanie to uzupełnia waryant, zachowany w podaniach o wieży Maryackiej, a podający, iż przy budowie tej wieży rywalizowali o pierwszeństwo dwaj bracia, przyczem doszło do sprzeczki między nimi, a wreszcie do bratobójczej walki.[4])

Kolizyę wysoce dramatyczną na tle stosunków brata do siostry spotykamy w dumie, której treść następująca: Do karczmy zajeżdża młody chłopiec i szuka tu noclegu, tudzież ładnej dziewczyny. „Czy to twoja córka?“ pyta się karczmarki, widząc dziew-

---

[1]) Wisła t. XII. str. 187.

[2]) Biblioteka Wisły t. X. str. 82.

[3]) Zb. wiad. antrop. t. VII. (102).

[4]) Wątek ów stał się materyałem dramatycznym dla Leop. Staffa w dramacie pt. „Wawrzyny“.

czę usługujące. „Nie. to do posługi. Daj talarów sześć i możesz wziąć dziewczynę“ — odpowiada karczmarka. Dziewczyna z płaczem poszła ścielić łoże. Gdy noc przespali, pyta on kto ona. Dowiaduje się z nazwiska. że to jego siostra. „Podaj mi miecz!“ — woła, by ściąć siostrze głowę.[1])

Wyczerpujemy powyższym materyałem szereg osnów, na podłożu moralnych konfliktów powstałych, przyczem obserwujemy dowodnie fakt ów, w rozdziale o wątkach dramatycznych. zaznaczony, iż lud w tej sferze powikłań dramatycznych nie wychodzi poza teren sobie najbliższy, jako też poza konflikty w zakresie rodzinnych scysyi i niesnasek. Tu się zaznacza to podkreślane już wyżej zacieśnienie widnokręgów myślowych: twórczość ludu ma mimo wszystko charakter lokalny. nie odtwarza bowiem ona w tematach swych niczego. poza realnem codziennem życiem. na tle sielankowem, iście wiejskich stosunków. Codzienne życie wiejskie, drobne kolizye z światopoglądem moralnym, związane zwłaszcza z życiem uczuciowem. zaznaczają się w twórczości ludowej w drobnym tylko stopniu.

Jeśli zważymy, iż konflikty na tle moralnem występują w następujących kategoryach: w pogwałceniu obowiązków człowieka względem 1) samego siebie (a więc obowiązek samozachowawczy, obrony osobistej czci i praw), 2) względem osoby najbliższej (więc: przyjaciela, kochanka. dobroczyńcy, mistrza, pana), dalej 3) względem rodziny (rodzice, bracia i siostry, mąż i żona, dzieci). 4) względem państwa (naczelnik państwa, prawa i ustawy. dobro ojczyzny i narodu). 5) względem ludzkości (a więc: humanitarność. wolność i prawda) a wreszcie 6) względem Boga i jego boskich przykazań (zatem: pokora, posłuszeństwo i wiara, religijność)[2]) — to jak z tego przeglądu widzimy, w ludowej twórczości konflikty te ograniczają się do jednej tylko grupy, i to najmniej dramatycznej, t. zn. do powikłań na tle rodzinnem.

Że to wypływa z charakteru życia ludowego, nie trzeba zbytnio podkreślać. Tamte kolizye na wyżynie życia psychycznego, przerastają wprost zasoby umysłowe ludu. Twórczość ludowa jest tylko wiernem odbiciem jego życia i uczuciowej, niezbyt zresztą skomplikowanej jego duszy. Stąd płynie ów fakt istotny. iż w dramacie serca wypowiada się lud swobodnie i z pewnem bogactwem

[1]) Kolberg: Lud. Serya I. (20).
[2]) Por. Günther: L. c. str. 464. 465.

odcieni uczucia, gdy wchodzą w grę pierwiastki głębsze, kwestya pewnego światopoglądu i kolizyi na tem tle bardziej pogłębionem, trudno nie dojrzeć pewnego ubóstwa i powierzchowności tematów. Nic w tem dziwnego. Są to niezbędne korrelacye:

Sztuka i twórczość to dusza ludzka. A mówimy o twórczości ludowej.

## III. Dramat fantastyczny.

§ 51. „Cuda uznajemy tylko w świecie fizycznym; w moralnym świecie musi wszystko biedz utartą koleją".

Takiem określeniem usuwał Lessing w swej „Hamburgische Dramaturgie" wszelkie cuda z teatru. Szedł on w tym razie ściśle za określeniami „Poetyki" Arystotelesa, który także nie uznawał cudowności w dramacie. „Pierwiastek cudowności i elementów nieuznawanych przez rozum — twierdził on — nie może mieć miejsca w dramacie, ponieważ tu wszystko widzimy przed oczyma; w eposie mogą istnieć te akcesorya cudowne, bo tu fantazyą, nie oczyma, śledzimy akcyę; w dramacie rzeczy tego rodzaju są nie do zniesienia. A jeśli nawet tych elementów sprzecznych z rozumem nie można w zupełności ominąć, to muszą one występować poza samą fabułą, poza akcyą i są dopuszczalne w danym razie na początku sztuki, zanim jeszcze akcya się rozpoczyna".

Na tem stanowisku greckiego teoretyka dramatu, stoją i dzisiejsi estetycy. Zagadnienie to omawia bardzo trafnie Freytag[1]:

„Jeśli poeta dramatyczny — powiada on — wprowadza do dramatu pierwiastek nieziemski (świat duchów, widm etc.) to może to tylko wtedy uczynić, gdy ów nieziemski pierwiastek został już poetycko przygotowany przez wyobraźnię ludu, wyrażony w odpowiedniej ludzkiej osobowości i uzmysłowiony rysami, jak najbardziej wyraźnymi. Tak więc świat duchów, czy dyabłów, obok przez lud stworzonych białych pań, dzikich strzelców, mógłby zostać użyty w dramacie. Jednak przy ostrym świetle desek scenicznych tragedyi, postacie te rozpływają się w cienie bezcielesne. Współczesna scena trzyma je zdala od siebie. Postaciom tym bowiem brak walki wewnętrznej, wolności osobistej w wyborze, one stoją poza moralnością i prawem.

Przeto nie mówi się jednak, że pierwiastek tajemniczości, owego „niezbadanego" przez umysł ludzki, ma być zgoła wygnany

[1]) Technik des Dramas str. 51 isq.

z dziedziny dramatu. Sny, przeczucia, wieszczby, widma, wtargnięcie świata duchów w życie ludzkie, mogą być użyte w dramacie dla spotęgowania wrażenia scenicznego. Trzeba się jednak z tem liczyć, że gdy Szekspir wprowadzał na scenę takie momenty, miały one jeszcze w wyobraźni ludu pełne prawo obywatelstwa; my dziś patrzymy już na to z większym sceptycyzmem".

Zdajemy sobie z tego sprawę, że cały ten świat nadzmysłowy znajduje po dziś dzień u ludu pełną wiarę, że te postacie nierealne żyją dla ludu pełnem, rzeczywistem życiem, czy to będą złośliwi płanetnicy, czy chytre dyabły, lub inne czarownice, dziwożony i rusałki, wogóle cały ten świat nadziemski, o którego istnieniu lud jest święcie przekonany.

Nie dziw więc, że ten pierwiastek cudowności odgrywa tak wybitną rolę w całej twórczości ludowej, a zwłaszcza w jego poezyi. Przy poszukiwaniach żywiołu dramatycznego w tejże twórczości, musieliśmy wyeliminować cały ten materyał konfliktów poniekąd dramatycznych, w których brak się okazywał wszelkiego p r a w d o p o d o b i e ń s t w a.

Skoro bohaterami pewnej akcyi stawały się bądź zwierzęta, lub ptaki, to znów jakieś smoki i potwory cudowne, wtedy trudno mówić o istotnym dramacie. Wzięliśmy pod uwagę tylko ten materyał tematów dramatycznych, w których w akcyę realną przez postacie ludzkie przedstawianą, wplatają się motywy fantastyczne, a w nich — mówiąc za Freytagiem — ów nieziemski pierwiastek został już poetycko przygotowany przez wyobraźnię ludu, wyrażony w odpowiedniej ludzkiej osobowości i uzmysłowiony rysami, jak najbardziej wyraźnymi.

Rzecz charakterystyczna dla dramatu fantastycznego, że cały on niemal obraca się w sferze uczuć zmysłowych. I tu na plan pierwszy wysuwa się miłość, tylko wyjątkowo, jak w owych podaniach o Twardowskim następuje splot konfliktów na tle życia zmysłowego i moralnego. Ujrzymy to wyraźnie przy przeglądnięciu treści naszego materyału.

§ 52. Spójrzmy najpierw na drobne wątki fantastycznego dramatu, w których szczupły jeszcze występuje konflikt dramatyczny.

Do weselących się gości, wchodzi czarno odziany nieznajomy, a nikogo niewitając, usiada w izbie przy stole i zaczyna jeść: to śmierć.[1])

---

[1]) Zb. do antrop. t. XII. (57).

Podobnie w wieczór sobotni, gdy dziewczyna przędzie len samotnie, przychodzi do niej czarownica i chce prząść wraz z nią. Każe jednak przynieść wiele lnu, bo inaczej jej żyły poprzędzie.[1])

W jednej z bajek, „O szczęściu“ brat wyjeżdżając z domu prosi ubogiego brata, aby nie wchodził do jednej izby i nie otwierał szafy w tej izbie. Ten obiecał. Nie było tamtego przez rok cały. Raz brat pozostały otworzył z ciekawości ową szafę, a w niej był stary, siwy człowiek: było to szczęście tamtego brata. Od tego czasu, już tamtemu się nie wiodło.[2])

Ten wątek znany w folklorze pod nazwą „Zakazany pokój“ powtarza się w następującem podaniu: Miał ojciec trzy córki. Zbójnicy wzięli jedną do siebie niby to na służbę. A dając jej klucze od jedenastu pokoi, zakazali zbliżać się do dwunastego. Dziewczyna miała korale na szyi, które zbladły, gdy zajrzała do dwunastego pokoju z ciekawości. Wtedy ją zbójnicy zabili. I wzięli z kolei drugą córkę do siebie i z nią tak się stało. Trzecia zaś przed pójściem do dwunastego pokoju zdjęła korale i w ten sposób ocalała. Podpaliła zamek i wróciła do ojca.[3])

Wiarę w istnienie duchów zmarłych osób na ziemi, wyrażają dwa wątki zbliżone w pomyśle. W pierwszym pijak przechodząc przez cmentarz zaprasza żartem dusze do siebie na wieczór. Te gromadnie przychodzą. Ksiądz dopiero doradził mu, aby postawił na stole kielich i patynę.[3])

Podobnie dzieje się w innej opowieści: Chłopiec szedł przez cmentarz i prętem uderzył czaszkę trupa. Ukazało się za chwilę widmo i rzekło, że go odwiedzi podczas jego wesela. Przyszło wesele, wszyscy ochoczo się bawią, w tem ktoś puka do drzwi i chce się widzieć z chłopem. Pan młody schował się między muzykantów, ale widmo zapukało po raz drugi i trzeci. Wreszcie pan młody wyszedł do niego. Stanęła ta sama postać, co wtedy na cmentarzu. „Czy wiesz kto ja jestem?“ spytało widmo i odwinęło zasłonę na twarzy, na której ukazała się czerwona pręga. „Ja jestem twoim ojcem, dlatego ci daruję, ale na drugi raz nie rób tego“. I znikło. Pan młody umarł za trzy dni.[4])

---

[1]) Mater. do antrop. t. VIII. s. 178.
[2]) Zb. wiad. do antrop. t. V. str. 33.
[3]) Zb. wiad. do antrop. t. V. Podania (7).
[4]) Mater. do antrop. t. IV. str. 26.

Zbliżony w pomyśle wątek wiary w duchy zaklęte spotykamy w następnej opowieści: Bogaty syn gospodarski pokochał ubogą dziewczynę, obiecując się z nią ożenić. Ale tymczasem pokochał inną bogatszą, a tamtą porzucił. Porzucona umierając wyrzekła zaklęcie, by on po śmierci przemienił się w kamień. Tak się stało. Kamień ów wzięto do kościoła. W dzień zaduszny, gdy w karczmie się zabawiano, ktoś zwrócił uwagę, że należy przerwać zabawę, bo duchy się o tej porze zjawią i nie godzi się im przeszkadzać. Gdy jeden z chłopaków w to wątpił kazano mu przynieść kamień ów z kościoła. Gdy go przyniósł i odniósł, kamień go przytrzymał i kazał mu pójść na jego grób posypać sobie głowę szczyptą ziemi, a później podążyć do kościoła i niewiastę klęczącą w kościele prosić o przebaczenie.[1])

Wymienimy teraz pokrótce parę wątków, w których w zasadzie w bardzo tylko nieznacznej mierze występuje pierwiastek dramatyczny, a notujemy go głównie dla ścisłości.

Matka chora chce uzdrawiającej wody z pewnej krynicy. Najstarsza córka idzie z dzbankiem, ale tu wciąż z wody wynurza się żaba (smok) i nie pozwala wody nabrać, chyba, że dziewczyna będzie jej ślubowała. Ta nie chciała, podobnie i średnia, aż wreszcie najmłodsza ofiarowała się z ślubowaniem. Więc żaba wchodzi do domu, siada do stołu, potem chce iść z nią spać. Gdy spali, matka ujrzała, iż to piękny królewicz śpi, a skóra żaby leży obok. Spaliła więc tę skórę, a wtedy królewicz znikł mówiąc, że pokaże się, aż ona zedrze trzy pary żelaznych butów. Ostatecznie złączyli się.[2])

Motyw wybawienia ukrytej w skórze potwora ludzkiej postaci powtarza się w opowieści o Zamku sieradzkim. Miejsce, na którem stał ów zamek było zaklęte. Niedaleko zamku, w ubogiej chatce mieszkała wdowa po rybaku z siedmiu córkami. Co dzień inna pasła krowy wdowy, a raz przyszła kolej na najmłodszą. Pociągał ją ku sobie zamek tajemniczy; raz też cudownie (na krowie) przepłynęła rzekę i poszła do pałacu, omówiwszy się z ową krową, że na trzeci ryk jej ma opuścić pałac. Gdy weszła do wnętrza, oślniły ją skarby, szaty itd. Dziewczę ubrało się w strojne szaty, gdy naraz rozległo się trzecie ryczenie. Ona śpieszy do drzwi, a te już zamknięte. Dziwne hałasy, śmiechy szatańskie się rozlegają, ale dziewczę mimo to modli się bez obawy, aż najstra-

[1]) Wisła t. III. str. 74.
[2]) Kolberg: Lud. I. str. 298. Wisła t. VII.

szniejszy potwór, co groził jej śmiercią zmienia się w pięknego młodziana i dziękuje jej za wybawienie, bo tylko niewinna istota szczerą modlitwą, mogła go uwolnić od zaklęcia. Następują wyznania miłosne, ostatecznie uboga dziewczyna została żoną pięknego rycerza i panią na zamku.[1])

Inny wątek opowiada o ojcu, który dwom córkom obiecuje przywieść suknie, a jedna prosi o różę. Statek na którym kupiec jedzie ulega rozbiciu, a on dostaje się do zamku, gdzie spostrzega różę. Gdy ją zrywał, ukazał się zwierz ohydny i kazał mu za to córkę przywieść sobie za rok. Córka ta przybyła, a gdy raz pocałowała potwora, stał się z niego piękny królewicz.[2])

Kiedy indziej znów następuje przemiana ludzi w ptaki za karę. Zła królowa buduje pałac — zamek ogromny, w którym ucztuje i bawi się, gdy lud jej głodem przymiera. Zła na syna, iż ożenił się z dziewczyną nie królewskiego rodu, prosi ich do siebie, a korzystając z tego, iż syn na pewien czas wyjechał, przemienia królewnę w kaczkę. Ale modlitwy młodej królowej obudziły litość Boga, więc posłał swego anioła, by ją wybawił, a starą królowę przemienił w czarną kaczkę, a gości jej w kruki, wrony i nietoperze.[3])

§ 53. Nowym jest już ten świat postaci, które mieliśmy powyżej przed oczyma. W wątkach podanych brak jeszcze właściwie akcyi dramatycznej. Są to jeszcze jakieś niby alegorye: Śmierć, Prządka — Czarownica, niby owe Parki starożytne. Szczęście w zamkniętej ukryte szafie, zazdrośnie strzeżone, to znów duchy pokutujące po cmentarzach, widma zmarłych ludzi, których piszczele walają się po ścieżkach cmentarnych, duchy zaklęte czy w kamień, czy w potworze, monstra, żaby jakieś i smoki, to znów zwierzęta ohydne i ptaki. A wokół tych postaci fantastycznych, przerażony jakby i onieśmielony staje człowiek: raz jako współwinny, lub nawiedzony za karę przez te istoty nieziemskie, to znów jako ich wybawiciel przez wzniosły akt poświęcenia, co prawda nieraz tylko zewnętrznego, jak ów pocałunek dany przez dziewczynę wstrętnemu potworowi, lub przez akt czystej modlitwy.

Opromienione są te wszystkie podania, jako też te nowe „dramatis personae“, gorącą wiarą ludu: zabobonny strach i trwożne onieśmielenie wobec pewnych zjawisk przyrody, wytwarza

---

[1]) Lud. t. VII. str. 124.

[2]) Wisła t. VII. str. 26. t. VIII. str. 260.

[3]) Wisła t. XIV. str. 300.

u ludu gromadę duchów i codzienność cudów. Dlatego takim tłumnym orszakiem wchodzą one w świątynię ludowej twórczości, w zmorach i majakach fantazyi wyrażone, a choć głosem i postacią niekiedy do ludzi zbliżone, to jednak tajemnicze i nieuchwytne.

Przypatrzmy się, teraz, jak te postacie widmowe, fantastyczne wchodzą jako część integralna do większych osnów dramatycznych, w których występują jako aktywne postacie dramatu, łącząc się ściśle z osobami realnymi w akcyę jednolitą.

Sąsiad — opowiada jedno z podań ludowych — zaprosił grajka garbatego do gry na zabawie. Przy jego grze córka najlepiej tańczyła. Grajek zakochał się w pięknej dziewczynie i poszedł do ojca z prośbą o jej rękę. Ale ten go wyrzucił. Poszedł więc w świat grajek nieszczęsny ze skrzypcami pod pachą, a gdy już był daleko, ktoś go potrącił nagle. Była to królowa czarownica. Prosiła go, by zechciał grać na ich balu. A na balu tak szybko one tańczyły, że grajek widział tylko nogi kogucie, wilcze itd. Po skończonym balu królowa kazała mu uklęknąć i prosić o nagrodę, jaką zechce. Wtedy wyznał, że kocha się w pewnej dziewczynie, lecz z powodu biedy i garbu nie chcą mu jej dać. Królowa kazała przynieść wielką skrzynię. Do niej włożyła jego garb i dała mu wór pieniędzy, kazać iść się oświadczyć. Tak muzyk się ożenił. Brat jego, również garbus, dowiedział się od niego o wszystkiem i sam poszedł nieproszony na ów bal czarownic i grał. Obrażone czarownice dały mu w nagrodę garb brata, tak, że miał teraz dwa. Wtedy popadł w obłąkanie i umarł.[1])

Pomoc czarodziejska w miłości dwojga kochanków jest także podłożem innej opowieści. Oto młody, przystojny chłopiec zakochał się w Marysi, córce bogacza. Ona jest mu przychylna, ale ojciec słyszeć nie chciał o ubogim zięciu i powiada, że nie chce go widzieć na oczy, póki czapki pełnej złotych pieniędzy mieć nie będzie. Daremnie płakali oboje kochankowie. A w owym czasie włóczyła się po wsi czarownica Kunda, i ta wskazała Jaśkowi sposób, jak ma zdobyć potrzebne pieniądze. Oto ma na raczkach wdrapać się na szczyt Siwnli, a gdy znajdzie się w lochu, ma wziąć tylko czapkę pieniędzy, a więcej nic pod żadnym warunkiem. Chłopiec dostał się do lochu, nabrał pełną czapkę, ale już u wyjścia ujrzał śliczne skrzypki, a obok parę złocistych pier-

---

[1]) Wiad. do antrop. t. XII. (51).

ścieni, i złakomił się na nie. Lecz ledwie zeszedł ze szczytu całe odzienie na nim płonąć zaczęło, aż skonał w męczarniach.[1])

Uzmysłowienie procesów psychicznych na tle wyrzutów sumienia, obciążonego trwogą i obawą, spotykamy w opowiadaniu o rodzinie, w której już kilka osób odebrało sobie życie. Młody mąż powiesił się, pozostawiając wdowę Magdę. W dwa miesiące potem wdowa wybierała się za innego. Tymczasem w chwilę ślubu zjawia się samobójca, groźnie dopytuje się, czy to prawdzie, i zapowiada, że prześladowne ją będzie, dopóki i ona sobie życia nie odbierze. Przerażona wdowa chciała zerwać małżeństwo, ale narzeczony uspokoił ją, że potrafi ją od ducha obronić. W noc weselną usłyszała ona z komory wołanie: „Magda! Magda!“. Spieszy ze świetlicy na wezwanie i spostrzega przed sobą widmo pierwszego męża, które grozi, iż opowie teraźniejszemu mężowi takie rzeczy, iż ją znienawidzi. Potem następuje szereg przykrości ze strony widma, które dokucza młodej parze, aż odpędnono je różańcem.[2])

§ 54. Mamy w tej osnowie cały dramat sumienia, spotęgowany w dramatycznym efekcie przez to ucieleśnienie dręczących duszę młodej wdowy wyrzutów i obaw. Dla ludu zjawa widma samobójcy-męża jest zgoła rzeczą realną, nie widzi on w tem nic nadnaturalnego: dramaturg nowoczesny musiałby wyrazić te kolizye psychiczne bohaterki w inny sposób. Dramat nowoczesny ignoruje prawie zupełnie zewnętrzność. Wszystko odbywa się w duszy bohatera, w jego sercu jest początek i koniec dramatu. Bohater greckiego dramatu jest zabawką w ręku bogów, w twórczości ludowej bohater występuje w szranki wraz z całym światem duchów, widm i potworów, co na się biorą postać ludzką; bohater nowoczesnego dramatu jest również zabawką, ale własnych instynktów, sporności i przełomów własnej swej duszy, nieznanych, a zaledwie przeczutych potęg swego serca.

Dawny dramat jest walką życia indywidualnego z kategoryami zewnętrznemi, t. zw. fatum. Nowy dramat polega na walce indywiduum z sobą samym, t. j. z kategoryami psychicznemi. Dramat staje się dramatem uczuć i przeczuć, wyrzutów sumienia, szamotania się z sobą samym, dramatem niepokoju, lęku i strachu.[3])

---

[1]) Wisła t. XIV. str. 302.

[2]) Wisła XIII. str. 628.

[3]) Stan. Przybyszewski: O dramacie i scenie.

Stąd już krok tylko do t. zw. dramatu symbolicznego. Twórca wyławia z duszy bohatera to wszystko, co stanowi tragedyę jego życia i tworzy nowe postacie, jako projekcyę wewnętrznego stanu bohatera.

Twórca greckiej tragedyi widział Orestesa otoczonego i ściganego przez ucielesnione Furye. Późniejszy dramaturg wkłada ten krąg Erynii w duszę bohatera, a u Goethego w „Ifigenii“ tkwią one w samym Orestesie, w jego duszy.

Twórca nowoczesny wywołuje w danym momencie na tle spotęgowanego nastroju wizyę, jako projekcyę wewnętrznej walki i rozterki: na deskach sceny jawią się usymbolizowane zjawy, występują fantastyczne: „dramatis personae“, będące objektywizacyą wewnętrznych stanów bohaterów; i one wchodzą w dramat realny, jako postacie aktywne. (Maeterlinck, Ibsen, Wyspiański, Przybyszewski).

W twórczości ludowej jest to jeszcze oczywiście faza pierwsza konstruowania walki psychicznej bohatera za pomocą ucieleśnionej zjawy: zmarły mąż-samobójca, jawi się tu nie jako usymbolizowany wyrzut sumienia, lecz jako realna postać-widmo, co głosem ludzkim grozi swej żonie-wdowie prześladowaniem, jeśli odważy się wyjść za innego.

Dzieje się to w myśl prymitywnej techniki dramatu, która jeszcze i na twórczości Shakespeara pozostawia ślady, a tłómaczy się wiarą ówczesną w istnienie całego tego świata duchów, widm i czarownic.

Spójrzmy teraz na dalsze osnowy, w których ów świat fantastyczny odgrywa w akcyi niemałą rolę.

U stóp Czarnohory żyło dwóch sąsiadów, z których jeden miał syna, a drugi córkę. Oboje młodzi od dziecka bardzo się lubili, a gdy podrośli uczucie zmieniło się w miłość namiętną. Raz gdy Iwan w poranek przyszedł na łąkę, widział, że Marysia śpi na trawie. Chcąc zrobić jej niespodziankę zbliżył się po cichu, by pocałunkiem ją obudzić. Lecz z przerażeniem ujrzał, że żmija wystaje z ust kochanki, a jad jej uśmiercił dziewczynę. Niezmierna była rozpacz chłopca. Szukał on teraz śmierci. Raz jednak gdy usnął rozmyślnie na trawie, chcąc aby go podobna śmierć spotkała, jak ukochaną Marysię, zbudził się nagle ze snu i ujrzał przed sobą przepiękną kobietę, która oświadczyła, że musi być odtąd jej kochankiem. Zapomniał teraz Iwan o dawnej ukochanej, a oddał się nieznajomej zupełnie. Lecz zbyt szybko począł się zmieniać, blednąć i chudnąć. Przyjaciel jego oświadczył mu, że

powodem tego jest stosunek z leśną (nimfą) i że na to jest sposób. Oto pasem poświęconym, którym się ksiądz przepasuje przy mszy schwycił ją Iwan, a towarzysz mu dopomógł i leśną powiedli do kościoła. gdzie ksiądz ją ochrzcił i zaślubił z Iwanem. Odtąd szczęście zapanowało w chacie Iwana. Ale żona jego oświadczyła. że szczęście to będzie trwało tak długo, dopóki on jej nie spyta, kim ona była. Niestety Iwan po kilku latach szczęścia spytał o to, a nimfa leśna uniosła się w górę i znikła.[1]) (Lohengrin).

Dramat tęsknoty mężczyzny po stracie ukochanej żony mamy w historycznem jakby podaniu p. t. „Cień Barbary Radziwiłłównej".[2])

Oto król Zygmunt August po stracie ulubionej swej żony, cień jej przynajmniej ujrzeć pragnął. W wychowaniu niewieściem nasłuchał się tysiącznych powieści, jak dusze osób zeszłych ze świata, wywołane sztuką czarnoksięską, ukazywały się żyjącym. Zwierzył się ze swych pragnień dworalom, a ci za nagrodą sprowadzili Twardowskiego. ten zaś przyrzekł królowę pokazać królowi. Ostrzega tylko Twardowski Zygmunta Augusta, aby w milczeniu siedział. na widok królowej z miejsca swego się nie ruszył. inaczej za duszę i życie króla nie ręczy. Poddaje się król warunkom, byle ujrzeć widziadło. Z cieniów wywołana jawi się mara śmiertelna. Ledwie zdołał Twardowski na miejscu króla zatrzymyć. tak żywo się porwał i chciał lubą żonę uściskać. Aż w tem widmo znikło.

---

[1]) Lud. t. VI. s. 354.

[2]) Luc. Siemieński: Podania polskie, ruskie, lit. Poznań 1880. Zesz. II.

Dr. Adam Brzeg-Piskozub.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR STANISŁAW ROSSOWSKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ"